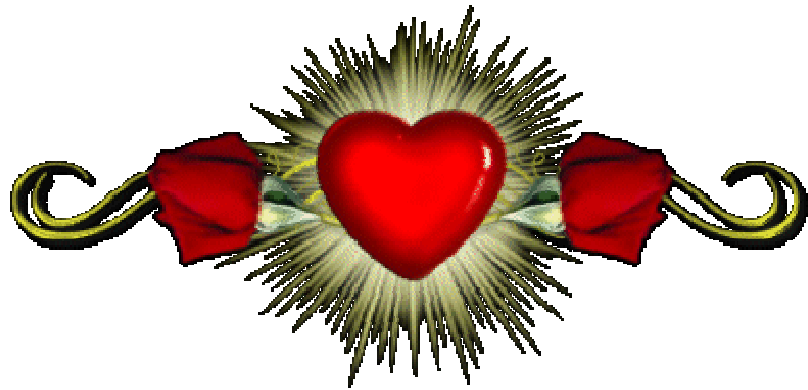




KATY HAYES



ODSŁONY

Początek końca

Styczeń 1997

Zapadał zmrok. Arlene siedziała w swoim biurze, wpatrując się tępo w ścianę. Od czasu do czasu wyciągała rękę po szklankę i pociągała łyk whisky. Od czasu do czasu obgryzała paznokcie, z których i tak już niewiele zostało. Od czasu do czasu zapalała papierosa, zaciągała się głęboko, jakby od tego zależało jej życie, i strzepywała popiół na podłogę. Jej umysł był pusty, zupełnie pusty, czysty jak papier do drukarki. Nie czuła nawet, jak obezwładnia ją whisky. Czuła rozkoszne nic.

Nie była w biurze od tygodnia, więc dookoła piętrzyły się sterty papierów. Kupka listów, których nie otworzyła, i te, na które nie odpowiedziała. Kosz na śmieci, wyglądający jak rozek z topniejącymi lodami - przynajmniej wtedy, kiedy nie chciało jej się skupić na nim wzroku. Zabawne. Mogłoby się wydawać, że skupienie wzroku na jakimś punkcie dokonuje się instynktownie - wystarczy przestać zwracać uwagę na świat dookoła. Teraz dopiero okazało się, jaki to morderczy wysiłek.

Spędziła w łóżku cały tydzień. Nic nie jadła. O niczym nie myślała. W gruncie rzeczy przez tydzień nie była ludzką istotą. To zdumiewające - uważała się za tak istotny tryb w maszynie życia, a teraz odkryła, że wcale tak nie jest. Była nieobecna, a życie toczyło się dalej, spychając ją w zapomnienie. Nie było żadnych dowodów na to, że życiu choć trochę jej brakowało. Przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że życie ma ją gdzieś.

Pociągnęła nosem. Nie tak, jakby zbierało jej się na płacz, ale tak, jakby poczuła nieprzyjemny zapach. Wstała i przeszła się po pokoju, podchodząc do kosza na śmieci i stolika, aż w końcu uświadomiła sobie, że to ona sama wydziela ten nieprzyjemny zapach. Podniosła rękę i powąchała się pod pachą. Tak, teraz nie miała już żadnych wątpliwości.

Powinna wziąć prysznic. Postanowiła, że wróci do domu i weźmie prysznic. Umyje się. Higiena jest najważniejsza, zaraz po... ech, po czymś tam. Tak, przestanie nurzać się w brudzie i użalać nad sobą. Weźmie się w garść. Weźmie się za swoje życie. Spróbowała zrobić pewną siebie minę, ale nie bardzo jej to wychodziło. Wyglądała jak szeroko uśmiechnięta ofiara losu.

Wstała, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- O kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa - wybełkotała ze śmiechem.

Siedząc na podłodze, dokonała szybkiej oceny sytuacji. Miała trzydzieści sześć lat i zawsze czuła się młodo, aż do tej chwili, kiedy nagle wydało jej się, że jest już bardzo stara. Czuła się jak

Oisin, jakby po całym życiu spędzonym w Tír na n-Óg, krainie wiecznej młodości, pierwszy raz postawiła stopę na *terra firma* i proces starzenia, sztucznie wstrzymany, teraz gwałtownie przyspieszył, szalejąc w żyłach i uczując w stawach.

Zadzwoił telefon. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. O wszechmocne automaty. Nic dziwnego, że połowa tego kraju jest bezrobotna. Arlene wyteżyła słuch.

- Cześć, tu Shannon Mercier, chciałabym rozmawiać z Arlene Morrissey. W Nowym Jorku jest teraz jedenasta rano, środa, ósmego...

Głos był głuchy i odległy, jak zwykle, gdy dzwoni ktoś z bardzo daleka.

- Tak, tu Komitet Przyjaźni Amerykańsko-Irlandzkiej z Nowego Jorku. Cześć. Planujemy właśnie festiwal... prawda... festiwal sztuki irlandzkiej, tu, w Nowym Jorku, w marcu i zastanawialiśmy się właśnie, czy nie mogłaby pani dostarczyć nam siedmiu przedstawień *Na księżycu*? Tej sztuki Isobel Coole? Zarezerwowaliśmy teatr od siedemnastego do dwudziestego trzeciego marca.

Amerykanie, tacy zorganizowani!

- No, to może pani do mnie oddzwoni? Mój numer to: kierunkowy 212, a potem 78 40533. Dziękuję.

A to dobre. Arlene zaczęła się śmiać na cały głos. Paroksyzmy niepohamowanego śmiechu. Ktoś zażyczył sobie, żeby mu „dostarczyła” siedem przedstawień *Na księżycu*. Wcale nie musiała o to zabiegać. Po prostu spadło jej to jak z nieba. Niewiarygodne!

Jeszcze jakiś czas temu skakałaby z radości. A teraz? Cóż, teraz miała ochotę na jeszcze jedną whisky. Podniosła się z trudem i naląła sobie kolejną porcję. Stuknęła szklanką o butelkę.

- Twoje zdrowie, przyjaciółko - czknęła.

- Brzdęk - odpowiedziała butelka.

Ale zanim Arlene podniosła szklankę do ust, poczuła obezwładniający ból głowy.

Arlene Morrissey siedziała, bębniąc sztucznymi paznokciami po blacie biurka z imitacji drewna orzechowego, i spoglądała przez okno na wlokący się po mokrym lśniącym asfalcie ulic sznur samochodów. Właśnie zapadł wczesny zimowy wieczór i marny neon Baggot Street świecił skromnie w mroku. Tylko kilka jasnych świateł: śmiały zielony Carlsberg, szykowny znak tureckiej knajpy. Las Vegas to nie było. Może i dobrze. Jakbyście się czuli, siedząc w biurze w Dublinie i widząc Las Vegas za oknem? Dziwnie. Bylibyście zaniepokojeni.

Myśli Arlene uparcie odbiegały od tego, czym się właśnie zajmowała.

Nie miała nic pilnego do zrobienia, przeglądała więc listy zalegające na jej biurku, niektóre od wielu miesięcy. Było tego sporo; mnóstwo życiorysów zawodowych, z którymi powinna się zapoznać, a następnie na nie odpowiedzieć; sterta pękatych scenariuszy, które powinna przeczytać, a potem odpisać ich autorom; formularze wniosków o przyznanie nagród i dotacji; pozew przeciw

firmie, która nie dostarczyła zamówionego oświetlenia na jedną z promocji, przez co Arlene musiała zwrócić wszystkim pieniądze (ooch!). Pozew przeciw Seftonowi Collinsowi, ponieważ wszedł na scenę pijany, a następnie z niej spadł, chociaż zgodnie z kontraktem nie wolno mu było pić w czasie jego obowiązywania. Ale jak pozwać kontuzjowanego faceta, którego żona właśnie wyrzuciła z domu za nieróbstwo? (Uuch!) Na samą myśl o tym Arlene robiło się niedobrze.

Synchronizacja

Styczeń 1996

Kiedy robiła sobie kawę, zadzwonił telefon. Jeśli nie była zajęta jakimś projektem, kiedy nic jej nie goniło, zostawiała odbieranie połączeń automatycznej sekretarce. Unikała w ten sposób bezpośredniego kontaktu z szesnastoletnimi, pączkującymi Meryl Streep. Te młode zawsze były wielbicielkami Meryl Streep. Arlene zupełnie nie rozumiała dlaczego, w końcu mamy lata dziewięćdziesiąte. To pokolenie, które od dziecka siedzi przed odtwarzaczami wideo. Ten, kto dzwonił, nie zostawił żadnej wiadomości. Arlene nie cierpiała ludzi, którzy dzwonią i nie zostawiają wiadomości (wrrr!). Może powinna była odebrać? Wtedy ten ktoś musiałby się do niej odezwać. Kto to mógł być? Możliwe, że...

Już była gotowa wyruszyć na kolejną przechadzkę po bezdrożach swego umysłu, skupiła się jednak z trudem na stercie listów leżącej na biurku, grożąc sobie samej przeglądem ksiąg rachunkowych (tylko nie to!), jeśli natychmiast nie zabierze się za korespondencję. Sięgnęła najpierw po papiery dotyczące pozwu przeciw firmie oświetleniowej, bo doszła do wniosku, że to może być nawet zabawne. Dokumentów było sporo, co oznaczało, że jej prawnik prawdopodobnie zarabiana tym krocie (hmm!).

Dziesięć minut później rozległo się ciche pukanie do drzwi, w których zaraz potem ukazała się zaskakująco ciemna głowa.

- Dzień dobry, czy pani Arleen Morrisey?
- Owszem, to ja, ale moje imię wymawia się Ar-le-na. Nie Arleen.
- Przepraszam. Miło mi. Jestem Isobel Coole. Czy wie pani, kim jestem?

Ostatnie pytanie, któremu towarzyszyło skromne pochylenie głowy, nie zabrzmiało arogancko, było raczej rodzajem próby, wyrazem szczerego, wydawałoby się, pragnienia, by poznać odpowiedź.

Arlene odłożyła długopis i spojrzała na Isobel Coole, która weszła już do środka i zatrzymała się przed biurkiem.

Wysoka i szczupła. Długie, proste włosy, tak czarne, że niemal granatowe, wyglądały, jakby je wyprasowano żelazkiem. Szare, szeroko rozstawione oczy, teraz spuszczone, były smutne i puste. Nieco wampiryczna. Błada skóra, która najlepiej wygląda nocą. Odrobina słońca na pewno by jej nie zaszkodziła. Małe wakacje w Torremolinos? Arlene widziała ją w programie Pata Kenny'ego - Isobel wyglądała zjawiskowo. Arlene podejrzewała, że to jedna z tych kobiet, które przepuszczają spore sumy w sklepach z luksusową bielizną. Żeby to stwierdzić, wystarczyło spojrzeć na jej kaszmirowy sweterek, który na pewno nie został naciągnięty na stanik z supermarketu.

- Oczywiście, że wiem, kim pani jest. Nie można otworzyć gazety, żeby się nie natknąć na pani buźkę. Proszę, niech pani usiądzie. Niezły numer. Właśnie o pani myślałam.

- Przecież mnie pani nie zna.

Arlene miała zamiar odpowiedzieć, ale Isobel mówiła szybko:

- Dzwoniłam do pani jakieś dziesięć minut temu, z budki na dole, ale nikt nie odbierał, tylko automatyczna sekretarka.

- Ach tak - powiedziała Arlene - telefon rzeczywiście dzwonił, ale nikt się nie...

- Nie cierpię gadać do tych automatów. Brakuje im empatii. Trudno mi wyrazić, o co chodzi, kiedy nikt nie słucha. Postanowiłam więc, że przyjdę i zostawię to - powiedziała bez tchu, machając dużą brązową kopertą - Dlaczego myślała pani o mnie?

Słowa Arlene zdawały się docierać do niej z opóźnieniem. Kobieta-tornado. Wyglądało na to, że przygotowała sobie dokładnie to, co miała zamiar powiedzieć. Wyrzuciła z siebie słowa, jakby bała się, że o czymś zapomni.

Arlene odczekała chwilę, chcąc się upewnić, że trąba powietrzna ustała.

- Cóż, mam właśnie na biurku formularz wniosku o przyznanie Nagrody Jubileuszowej Teatru Lunar. Potrzebuję więc nowej sztuki debiutującego dramaturga, więc pomyślałam o pani, a jeśli ta koperta istotnie zawiera to, co myślę, że zawiera, to mam farta.

- Rany! To niewiarygodne. Pomyślała pani o mnie? Podobały się pani moje książki?

- Cóż, na razie nie udało mi się żadnej z nich przeczytać, ale na pewno wkrótce to zrobię.

- Och. - Twarz Isobel przygasła.

- Ale przeczytałam wszystko, co pisali o pani w gazetach i zastanawiałam się, czy nie zechciałaby pani poprobać swoich sił w dramacie - ciągnęła Arlene pogodnie, nie zwracając uwagi na wyraz rozczarowania na twarzy Isobel. Nikt, kto zwraca uwagę na rozczarowanie na twarzach ludzi, do niczego w życiu nie dojdzie.

- Rany! To naprawdę niesamowite! Przyszłam tu dziś, bo właśnie napisałam sztukę. Chciałam ją pani pokazać i zapytać, co pani o tym sądzi. Rozmawiałam z wieloma osobami i wszyscy uważali, że powinnam przyjść z tym właśnie do pani. To zdumiewające! Ściągnęłyśmy się myślaniami!

- Synchronizacja - powiedziała Arlene.

Zauważyła, że Isobel nadużywa wykrzykników i ma lekką skłonność do przesady. Popada ze skrajności w skrajność. To było trochę męczące.

- Spotkałyśmy się kiedyś, na przyjęciu z okazji przyznania Nagrody Longfoot, którą pani dostała jakiś rok temu. Książka wyglądała świetnie. Kapitalna okładka. *Szczera*, taki był tytuł? Kupiłam ją, o, jest tu, na tej półce. Przykro mi, ale jeszcze nie zdążyłam jej przeczytać.

- Och, nic nie szkodzi - powiedziała Isobel, czując, że może wyglądać na odrobinę rozczarowaną.

- Trudno mi znaleźć czas. Nie mam czasu nawet na zrobienie prania. Wyrzucam brudne rzeczy i kupuję nowe.

- Co za niewiarygodny zbieg okoliczności! Nie mogę przestać o tym myśleć! - powiedziała Isobel.

- Ostatnio znowu dostała pani jakąś nagrodę, prawda?

- Tak, Nagrodę Carletona. Lekki ruch dłonią. Nic więcej.

- Zgadza się. Czytałam o tym w gazetach. Jaki jest tytuł tej książki?

- *W kącicie*.

- Urodziła się pani, żeby zbierać nagrody.

To była prawda. Isobel zawsze wygrywała. Jako dziecko wygrała czterdzieści funtów, nie stawiając na Bena Nevisa w jego pierwszym biegu w Grand National. Ben Nevis poniósł sromotną klęskę. Miała szczęście.

Kiedy trochę podrosła, wykazała się wielkim sprytem i wygrała bieg z jajkiem na łyżce. Przyklejony sprytnie kawałek gumy do zucia sprawdził się znakomicie, utrzymując chybrotliwe jajko na trzęsącej się łyżce. Na mecie Isobel po prostu włożyła gumę do ust. Miała szczęście, ale miała też talent. Sukces. Isobel była żadna sukcesu.

- Więc naturalnie pomyślałam o pani w kontekście Nagrody Teatru Lunar. To duża kwota; pięć tysięcy dla autora i dwadzieścia pięć tysięcy w formie dotacji do budżetu realizacji. Jeśli to dostaniemy, będziemy w połowie drogi do wystawienia pani sztuki.

- Ile to w sumie będzie kosztowało?

- To zależy od sztuki. Niektóre przedstawienia są droższe niż inne. Jak nazywa się ta sztuka?

Isobel wyciągnęła z koperty pękaty skrypt i podała Arlene, która spojrzała na okładkę, potem na ostatnią stronę, powąchała go dyskretnie, po czym przerzuciła strony, żeby nabrać do niego przekonania.

- *Na księżycu*. Niezły tytuł - powiedziała. - Proszę posłuchać, rzucę na to okiem dziś wieczorem albo jutro i zadzwonię za parę dni. Jest już prawie wpół do piątej. Może pójdziemy się czegoś napić?

Arlene zgasiła światło i zamknęła biuro. Była szczęśliwa, że może uciec z pracy. Nie była dzisiaj w formie. Wyszła z Isobel na ciemną moką ulicę i zaprowadziła ją do pubu tuż obok.

Cunningham's był znakomitym lokalem, gdzie wiedziano, jak należy traktować stałych klientów. Arlene bardzo się to podobało. Lubiła tu bywać. Dawało jej to miłe, anonimowe poczucie przynależności.

Pub został niedawno odnowiony. Arlene poleciła firmę remontową, Angels Design, która często pracowała dla Arlene przy jej przedstawieniach. Nieźle zarobili na tym lokalu. Arlene przypomni im o tym we właściwym momencie, który niewątpliwie wkrótce nadejdzie.

Właściciele byli zachwyceni pomysłem Angels Design. Wystrój nawiązywał teraz do lat dwudziestych. Szklane wizerunki chudych kobiet bez biustu, z długimi sznurami pereł na szyjach, dym snujący się z papierosów w kosztownych cygarniczkach trzymany między długimi palcami. Ikony cynicznych kobiet cynicznej epoki. Wtedy kobiety miały wiele powodów do cynizmu.

Arlene odpowiadał ten lokal i jego wystrój, czuła się tu jak u siebie.

Zaprowadziła Isobel w kąt sali, gdzie usiadły pod jednym ze szklanych malowideł.

- Jak ci się podobają? - spytała Arlene, wskazując dłonią oziębłe damy nad swoją głową.

- O tak, są w porządku - stwierdziła Isobel. - Bardzo sztywne, bardzo kruche. Bardzo zimne.
- Zadrzała.

Podeszła do nich Sheila, barmanka. Nie było zbyt tłoczno, obsłużyła je więc przy stoliku. Arlene zapłaciła za oba drinki.

- Takim to dobrze, wychodzą z roboty za dwadzieścia piąta - powiedziała Sheila

- Sheilo, to moja nowa znajoma, Isobel Coole. Jest pisarką.

- Siemanko - powiedziała Sheila z uśmiechem. - Wiesz chyba, że wpadłaś w złe towarzystwo? - dorzuciła na odchodnym.

- Złe towarzystwo - powtórzyła Isobel. - To mi się podoba.

- No, a dlaczego właściwie postanowiła pani napisać sztukę? - Arlene zmieniła temat.

- Cóż, powieściopisarstwo to bardzo samotne zajęcie. Nawet nie ma się z kim napić.

- No tak, rzeczywiście.

- Myślę też, choć może wydam się pani pretensjonalną gęsią, że to właśnie teatr jest ośrodkiem życia intelektualnego. Ajschylos, Szekspir, Czechow, Beckett - to były mózgi. Żeby dzieło sztuki miało prawdziwie intelektualną wartość, nie może być produktem kultury masowej.

- To rzeczywiście dość pretensjonalne. W żadnym z wywiadów, które czytałam, nie opowiadała pani takich frazesów.

- Cóż, nigdy nie opowiadam takich frazesów dziennikarzom. A dlaczego pani zajmuje się teatrem?

- Dla pieniędzy.

- Więc dużo pani zarabia?

- Żartowałam, dziecinko. Teatr to nie biznes, to czarna dziura, w którą trzeba ciągle wlewać forszę - Arlene nie kryła cynizmu. - Zarabiam głównie na mojej agencji castingowej, a na promocjach czy pokazach mody, które czasem organizuję, nawet sporo.

- Och - powiedziała Isobel.

- Dlaczego pracuję w teatrze? Prawda jest taka, że nie wiem, dziecinko. Sama ciągle zadaję sobie to pytanie. Chyba mam nadzieję, że zrobię fortunę na jakimś wielkim przedstawieniu, które objedzie cały świat, ale chociaż mam na koncie kilka przebojów, fortuny jeszcze nie zrobiłam.

Isobel zjeżyła się trochę, kiedy została nazwana „dziecinką”. Arlene, bystra jak zawsze, natychmiast to zauważyła.

- Przepraszam za tę „dziecinkę”. Wszystkich tak nazywam. Nawet sprzątaczkę, która dobija już siedemdziesiątki. Ją zwłaszcza. Dzięki temu czuje się młodsza.

- Och, nie mam nic przeciw temu, nawet nie zwróciłam na to uwagi. Proszę mi mówić po imieniu. - Isobel zarumieniła się lekko.

Arlene czytała w niej jak w otwartej książce.

- Masz kochanka? - Wyczuła, że dziewczyna jest wytracona z równowagi i skorzystała z okazji, by zadać wścibskie pytanie. Arlene lubiła przypierać ludzi do ściany. Lubiła takie gierki.

Kochanek? Isobel wydało się to dziwne. Bardzo osobiste pytanie, zadane przez prawie obcą osobę.

- Nie, tak się składa, że nie.

Nie była to prawda. Isobel mieszkała z mężczyzną. Nazywał się Conor.

- Tak myślałam - powiedziała Arlene.

- Dlaczego pytasz?

- Życie to niezwykle widowisko. Interesuje mnie dynamika stosunków międzyludzkich. Ty jesteś okazem irlandzkiej kobiecości, wychuchaną córeczką, powiedziałabym. Ja jestem typem barowego antropologa. Studiuję formę. Obserwuję ludzkie zachowania.

- Interesujące - powiedziała Isobel. - Obserwujesz życie innych ludzi, bo wtedy nie musisz przeżywać własnego?

Dość bystre, pomyślała Arlene.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- To tylko takie przypuszczenie. - Isobel uśmiechnęła się szeroko.

Arlene odpowiedziała jej uśmiechem. Spodobało jej się to. Isobel była dziewczyną w jej typie. Nie bała się.

- Opowiedz mi o swoich obserwacjach. To fascynujące.

Arlene nie była do końca pewna, czy Isobel przypadkiem jej nie podpuszcza.

- Może właśnie dlatego tak lubię teatr - powiedziała - że stwarza idealne warunki dla studiowania zachowań gatunków. - Patrzyła na Isobel, chcąc sprawdzić, czy się z niej nie śmieje. - Poza tym - ciągnęła - jestem wścibska. Bardzo wścibska. Niektórzy powiedzieliby może, że interesują mnie plotki. Ja powiem, że to informacje.

Arlene uwielbiała być dobrze poinformowana. Uwielbiała wiedzieć. Gromadziła informacje w swojej pamięci, skrupulatnie posegregowane, z zachowaniem ich wzajemnych powiązań. I nigdy ich nie ujawniała. Była pod tym względem bardzo skąpa. Umiała doskonale strzec tajemnic. Nigdy nie ulatywały z jej skarbca.

- Mój zawód istnieje dzięki informacji. Jeśli czegoś nie wiem, zawsze znam kogoś, kto to wie.

- A dlaczego doszłaś do wniosku, że nikogo nie mam?

- Jest wpół do siódmej, a ty właśnie pijesz trzecie piwo. Ludzie, na których w domu czekają czyjeś ciepłe objęcia, nie przesiadują wieczorami w knajpach, więc albo jesteś sama, albo masz go dość.

- No dobrze, a ty? - spytała Isobel.

- Nie - odparła Arlene, już trochę wstawiona - na mnie z pewnością nie czekają w domu niczyje objęcia, bo gdyby czekały, nie siedziałabym tu z tobą, plotąc trzy po trzy.

Doszła do wniosku, że chce dokładniej zbadać przypadek Isobel.

- Chodź, już siódma, wszyscy porządni ludzie jedzą o tej porze. Zabiorę cię na kolację, jeśli pozwolisz.

Nie czekając na odpowiedź, Arlene chwyciła ich płaszcze i postawiła Isobel na nogi.

Isobel zaśmiała się i ochoczo włożyła płaszcz. Wiedziały, że się zaprzyjaźnią.

Arlene zauważyła, że Isobel właściwie nie jadła, tylko przez chwilę goniła po talerzu fasolkę w sosie curry. Isobel nie przeszkadzało, że Arlene zostawiła jej sztukę w restauracji, co odkryły dopiero o drugiej nad ranem w nocnym klubie i musiały wracać biegiem, żeby jej poszukać. Arlene

nie przeszkadzało, że Isobel nie była w stanie utrzymać w ręku szklanki i że trzeba ją było zanieść do taksówki. W windzie ewakuacyjnej Arlene po prostu przerzuciła ją sobie przez ramię. Była bardzo silna. Jako dziecko trenowała podnoszenie ciężarów. A Isobel była lekka jak damska torebka. Arlene zabrała śpiącą królową do domu, ponieważ, choć bardzo się starała, nie mogła wydobyć z przyćmionej pamięci długości i szerokości geograficznej, na których przecięciu znajdowało się mieszkanie Isobel. Arlene miała w domu dodatkową kanapę, na której złożyła chrapiącą Isobel.

Isobel Coole.

Nie była taka znowu *cool**, kiedy leżała, chrapiąc i zalatując alkoholem, z cienką strużką śliny spływającą w dół pięknego podbródka. Nie. Wcale nie taka *cool*.

* *Cool* (ang.) - chłodny, opanowany lub fajny, świetny (przyp. tłum).

Reżyser

To, co przede wszystkim powinnaś wiedzieć o Marcusie Harmonym - powiedziała Arlene do Isobel - to, że jest biseksualistą. Mówię ci o tym nie w formie plotki czy prostej informacji, ale by uświadomić ci, że to człowiek otwarty na różne rozwiązania. Właśnie dlatego na moją propozycję odpowiedział „może”. Jest także świetnym reżyserem, w przeciwnym wypadku nie myślałabym o nim, oczywiście. Sztuka mu się spodobała, chociaż zasugerował kilka zmian, które chciałby dokładniej z tobą omówić. Przedyskutuj z nim swoje pomysły, poznaj go trochę i zobaczmy, czy nadajecie na tej samej fali. Jeśli tak, to jesteśmy w domu.

- Okropnie się denerwuję, Arlene. A jeśli on uzna mnie za gęś?

- Nie pękaj. To jasne, że nie jesteś gęsią. A nawet gdybyś była, to co? Większość ludzi w dzisiejszych czasach to gęsi. - Arlene roześmiała się z własnego żartu. Isobel nie. - Masz przecież chyba jakiegoś redaktora w tym wydawnictwie, które cię drukuje?

- Owszem, mam, ale dobrze go znam. Na początku było między nami trochę tarć, ale on nauczył się w końcu, jak ze mną postępować, i teraz mamy spokój.

- Jezu, jesteś rozwydrzona do granic możliwości. Ale nie bądź głupia. Marcus to świetny chłopak. Jeśli ci się nie spodoba, znajdziemy kogoś innego. To wszystko jest bardzo proste. Tylko nie ustawiaj się od razu w pozycji obronnej. Pamiętaj, że on też będzie zdenerwowany.

Był mroźny lutowy poranek. Arlene i Isobel siedziały w biurze, dygocząc z zimna, bo właśnie wysiadło ogrzewanie. Czekały na Marcusa Harmony'ego. Pierwsze ważne spotkanie dotyczące

nowego projektu. Arlene była podniecona. Lubiła to napięcie towarzyszące pierwszym chwilom pracy nad nowym przedstawieniem. To było jak seks. Nie, to było lepsze niż seks. No dobrze, to było lepsze niż dobry seks, ale nie tak dobre jak świetny seks. Arlene była bardzo pozytywnie nastawiona do tej sztuki. Karma wydawała się w porządku. Tak, to naprawdę będzie coś szczególnego. Uśmiechnęła się do Isobel, której nerwowość była tyleż irytująca, co rozczulająca.

Rozległo się pukanie do drzwi. Isobel natychmiast oblała się rumieńcem. Arlene od razu to spostrzegła. Trochę ją to niepokoiło.

Isobel często się rumieniła. Siedziała sobie spokojnie, opanowana jak kot, i nagle jakiś drobiazg, jakiś nic nie znaczący drobiazg sprawiał, że jej piękna blada skóra nagle czerwieniała. Była to wada. Bardzo denerwująca wada. Z rumieńcem na twarzy Isobel wydawała się słaba i krucha. Arlene wcale się to nie podobało.

Wszedł Marcus. Arlene spojrzała na niego z uznaniem. Dzisiaj robił naprawdę dobre wrażenie. Zazwyczaj wyglądał tak, jakby jego ubranie zostało pożyczone od jego siostry, a następnie wrzucone na niego widłami. Arlene często widywała go w stroju składającym się z ledwo trzymających się na tyłku sfatygowanych spodni, starego wystrzępionego swetra i adidasów zasnurowanych kawałkiem sznurka. Ale przed tym pierwszym spotkaniem naprawdę się postarał. Właściwie trochę przesadził. Okulary Raya Bana w srebrnych oprawkach nie były konieczne. Ale czarna marynarka prezentowała się świetnie, podobnie jak srebrna walizeczka. Klasa. Marcus miał klasę. Nawet w swoim wystrzępionym swetrze. Arlene uznała, że on i Isobel na pewno się dogadają. Byli w tym samym wieku, trzydzieści jeden lat. Oboje uważali się za intelektualistów. Będą mogli rozmawiać o Kafce i innych bzdetach.

- Nie wiem, na Boga, dlaczego się spóźnił - powiedział Marcus.

- Nie spóźniłeś się, Marcus, jesteś przed czasem. Niepokoi mnie, gdy lecisz Szekspirem.

Isobel wstała, nieśmiało wyciągając rękę.

- Cześć - powiedziała.

Marcus ujął jej dłoń i uściśnął mocno. W uścisk dłoni zawsze wkładał tyle siły, ile tylko był w stanie z siebie wykrzesać.

- No, dzieci, nie muszę was chyba sobie przedstawiać. Zabiorę was na dół do Cunningham's i posiedzę z wami pięć minut, tylko żeby się upewnić, czy się czasem nie kłóćcie. Potem znikam, a wy przedyskutujcie co trzeba, bo za to w końcu będę wam płacić.

- Jaką truciznę pijecie? - zapytała, gdy byli już w barze.

- Ja poproszę dietetyczną colę. Wiesz, że nigdy nie piję w pracy - odparł Marcus.

Była to prawda. Nigdy nie pił podczas spotkań ani na próbach. Nadrabiał to sobie wieczorem po premierze.

- Ja napiję się kawy - powiedziała Isobel.

Wyglądała ślicznie, jak zawsze. Ciepło opatulona, bo dzień był zimny. Sprawiała wrażenie kogoś, kto odczuwa zimno bardzo intensywnie, podobnie jak wszystko inne.

Zadzwoniła komórka i Arlene przeszła w róg sali, żeby ją odebrać, zostawiając Marcusa i Isobel z ich sprawami.

Arlene większość czasu spędzała przy telefonie. Miała dwa telefony w biurze, jeden w samochodzie, komórkę, telefon w kształcie ryby w łazience, a w kształcie fortepianu w salonie. Fortepian był prezentem od kompozytora, z którym kiedyś pracowała. Wygrywał kilka prostych melodii, a czasami też gamy. Jego repertuar zawierał V symfonię Beethovena, *Świeć nam, świeć, gwiazdeczko mała* i muzykę ze sceny pod prysznicem z *Psychozy* Hitchcocka. Wszystkie telefony w domu i w biurze były wyposażone w automatyczne sekretarki, udzielające szczegółowych informacji o jej poczynaniach: „Arlene nie ma w tej chwili w biurze, można się z nią skontaktować, dzwoniąc na komórkę o ósmej” i tak dalej, po czym następowała jakaś uroczą melodyjka. Arlene Morrissey zawsze była osiągalna pod którymś z tych numerów.

- Przede wszystkim - powiedział Marcus - sztuka bardzo mi się podoba. Uważam, że jest świetna i że masz prawdziwy talent. To zresztą oczywiste, biorąc pod uwagę twoje książki.

- Och, podobały ci się moje książki?

- Cóż, jeszcze żadnej z nich nie przeczytałem, ale za to czytałem wszystko o tobie i o twoich książkach. Od kilku lat jestem tak zajęty i właściwie nie mam czasu żeby przeczytać cokolwiek, co nie jest bezpośrednio związane z przygotowaniem do przedstawienia, nad którym akurat pracuję. Twoje książki są oczywiście bardzo istotne dla wystawienia *Na księżycu*.

- Och - mruknęła Isobel, trochę zbita z tropu, nieco zawiedziona, odrobinę zawstydzona.

- Nie mam czasu na nic. Ani na czytanie, ani na pisanie. Kiedyś pisywałem wiersze - ciągnął Marcus - ale teraz i na to nie mam czasu.

- Napisałeś kiedyś sztukę?

- Nie. Ale mam dar realizowania tego, co sobie wymarzyli inni ludzie.

- To piękne, co powiedziałeś. - Isobel zdjęła czapkę i szalik. Wyraźnie odtajała.

Marcus umiał postępować z ludźmi. Jako reżyser musiał szybko zdobywać ich zaufanie. Miał swoje sposoby: drobne dyskretne pochlebstwa, subtelne środki nacisku, pełen czaru terroryzm.

- Wracając do sztuki. Jak już mówiłem bardzo mi się podoba. Problemy. Tym musimy się teraz zająć.

- Och, proszę, powiedz mi jeszcze coś o mojej sztuce. Naprawdę tego potrzebuję.

- No dobrze, dobrze. Cóż, jestem zachwycony główną bohaterką. To elektryzująca mieszanka niewinności i zmysłowości. Nuala. Sądzę, że Nuala jest symbolem swojego pokolenia. Jest dzieckiem koniunktury, przemawia bardzo silnym głosem. Nie dosłownie, oczywiście, w tym sensie jest raczej cicha, ale efekt jest piorunujący. Jest kluczową postacią, pod każdym względem. To, czy wykorzystamy cały potencjał twojej sztuki, zależy od siły tej jednej roli. No i, oczywiście, to wszystko jest rozdzierająco smutne. Pod koniec przedstawienia wszyscy będą ocierać łzy, obiecuję. Teatr to jedyne miejsce, gdzie można poddać publiczność działaniu prawdziwej psychicznej przemocy. Zapewniam cię, twoja pierwsza sztuka będzie sukcesem.

Isobel westchnęła i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Jakie to miłe - powiedziała i uśmiechnęła się trochę szerzej.

W domu najlepiej

Arlene była zadowolona z porozumienia między Marcusem a Isobel. Marcus był człowiekiem, z którym łatwo się pracowało. Wszyscy lubili z nim pracować. Wszyscy go kochali. Dobrze się składało, bo Marcus bardzo potrzebował akceptacji. Nie potrafił znieść myśli, że mogłyby zrobić na kimś niekorzystne wrażenie. Nawet na kimś zupełnie obcym. Sam był pełen dobroci w stosunku do całego świata. Wytrącał kalekom kule z rąk, usiłując wrzucić datek do ich żebraczych kapeluszy.

Arlene kiedyś się z nim przespała. Nie sposób było się z nim nie przespać. Jego potrzeba, by darzyć miłością cały świat, często prowadziła do tego, że uprawiał miłość z całym światem. Odznaczał się wielką powściągliwą charyzmą. W innej epoce zostałby może zakonnikiem. Jednym z tych braciszków, którzy robili to ze wszystkimi dookoła. Rozprzestrzeniając miłość jak dżem po kromce chleba. Typ Rasputina. Jednak mimo swojej delikatności i łagodnego spojrzenia pod koniec dnia miał bardzo szorstki zarost, Arlene cierpiała więc po tym spotkaniu z powodu poważnie otartego podbródka. Incydent ów, o dziwo, sprawił, że bardzo się polubili.

Arlene doszła Baggot Street aż do mostu nad kanałem, ale zamiast skrócić w stronę swojego mieszkania, ruszyła na spacer wzdłuż brzegu. Nie przepadała za spacerami, ale kanał bardzo lubiła. Przyroda: zgeometryzowana i spełniająca użyteczne funkcje. Ucywilizowana. Pojawiająca się zniecka, jakby w szczelinie na powierzchni miasta.

Była zadowolona, że może chodzić do pracy piechotą. Jej apartament zajmował całe ostatnie piętro georgiańskiej kamienicy nad kanałem. Było to miłe przestronne mieszkanie, składające się z bardzo dużego salonu, malutkiej rupieciarni, sypialni, łazienki i niewielkiej kuchni. Wszędzie do-

minowały blade róże i szarości. Eleganckie barwy pozytywnie wpływające na zestresowaną psychikę. Arlene kupiła to mieszkanie w 1989 roku. Po bardzo okazyjnej cenie.

Cena była przystępna po części ze względu na obłąkanych sąsiadów z dołu. Deweloper, od którego Arlene kupiła mieszkanie, nabył cały dom, przeoczył jednak fakt, że lokatorzy z dołu mieli prawo dożywocia. Była to para starych ludzi, mówiących z akcentem, który wyraźnie wskazywał, że nawykli do czegoś więcej niż tylko jedno piętro starej kamienicy. Nazywali się Cartwright. Brat i siostra. Arlene podejrzewała, że oddają się zakazanej namiętności, której owocem jest złowieszcze potomstwo: koty, tysiące kotów.

Kiedy Arlene mijala ich drzwi, zawsze dolatywał ją dziwny zapach zgnilizny i kociej uryny. Cartwrightowie nazywali koty rodziną Tickles. W skład tej rodziny wchodziła lady Tickles, jej wspaniała małżonka sir Tickles i cała horda małych Ticklesiatek. Cartwrightowie byli zupełnie nieprzewidywalni: czasem ciepło pozdrawiali Arlene, a czasem traktowali ją jak powietrze.

Arlene podejrzewała, że deweloper miał zamiar jakoś pozbyć się staruszków z kamienicy, ale pod koniec lat osiemdziesiątych nawrócił się i jako Odrodzony Chryścijanin musiał porzucić swoje plany.

Arlene nie przeszkadzała para staruszków ani ich kocie imperium. Wszystko to było tylko jeszcze jednym szczegółem widowiska, jeszcze jednym składnikiem gęstej zupy życia.

Weszła do mieszkania i odruchowo spojrzała na automatyczną sekretarkę, na której mrugała cyfra 2.

Arlene nacisnęła guzik.

- Cześć, Arlene. Niespodzianka...

Tego głosu Arlene nie mogła pomylić z żadnym innym.

- ...w przyszłym miesiącu będę przez kilka dni w Dublinie, dokładnie od jedenastego do piętnastego marca. Udało mi się dostać twój numer w informacji telefonicznej, więc dzwonię. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Bardzo chciałbym się z tobą spotkać. Zatrzymam się w Shelbourne. Zadzwoń, proszę. Piiip!

Arlene odetchnęła, wpatrzona w automatyczną sekretarkę, jakby ten, kto się nagrał, siedział w jej wnętrzu. Serce zaczęło jej bić bardzo szybko, wzdrygnęła się z odrazą. Dick Whelan. Czy to naprawdę on?

Druga wiadomość:

- Arlene, właśnie sobie uświadomiłem, że się nie przedstawiłem, a ty mogłaś przecież zapamiętać mój głos. Mówi Richard Power albo Dick Whelan, jak się kiedyś nazywałem. Zadzwoń, proszę.

Piiip!

Dick. Od dziesięciu lat nie miała od niego wiadomości. Co on tu robi? - pomyślała, ale zaraz poczuła nadciągającą migrenę. Cierpiała na dziedziczne migreny, jak niemal wszyscy w jej rodzinie. Koszmarny, otępiający ból głowy. Jej dwaj bracia także się na to skarżyli, ale teraz obaj mieszkali w Kalifornii, gdzie na wszystko można dostać lekarstwo. Poddawali się hipnozie. Kiedy byli zahipnotyzowani, wmawiano im, że nie mają migreny. Chociaż ją mieli. Arlene była pewna, że to niezdrowe.

Zgasiła światło, położyła się na sofie i spróbowała myśleć o czymś przyjemnym. Zadzwoił telefon komórkowy.

- Słucham. - Na tym etapie w jej głowie odbywał się pokaz laserowy.

- Cześć, Arlene, mówi Marcus. Myślę, że wszystko się ułoży. Isobel jest świetna.

- Miło ci się z nią gadało?

- Fantastycznie.

- I sądzisz, że problemy z tekstem są do załatwienia?

- Tak. Pamiętaj, że ona jest powieściopisarką. Nie wie nic o scenie.

- A to okropne zakończenie?

- Zabiorę ją do teatru i pokażę wszystkie trudności, jakie się z tym wiążą. Wszystko będzie dobrze.

- To dobra wiadomość, przyjacielu. Miłe stworzenie, prawda?

- Super. To co, przypuszczam, że teraz pogadamy o pieniądzach?

- Nie dziś. Boli mnie głowa. Jutro.

- Doskonale. Zabieram teraz Isobel do jakiejś knajpy. Mam wrażenie, że jest samotna.

- Świetnie. Ja umieram. Na razie.

Arlene znowu położyła się na sofie, próbując oczyścić swój umysł z wszelkich myśli. Zadzwoił telefon. Ten śliczny, w kształcie fortepianu. Jezu. Telefony ją zabijają. Pozwoliła odebrać automatycznej sekretarce i powlokła się do sypialni.

Nie był to głęboki sen, tylko niespokojna drzemka pełna majaków. Śniło jej się, że na parkingu za domem trzymała dwa słonie. Z powodu nieprzewidzianej suszy i faktu, że zapomniała je napoić, jeden ze słoni, ten bardziej przedsiębiorczy, zbiegł. Przeskoczył przez trzymetrowy parkan. Wiedziała, że słonie nie skaczą, ale to nie był zwykły słoń. Szukała go po całym Dublinie. Błąkała się po zaułkach i skwerach, prosząc o pomoc taksówkarzy i policjantów. Słoń wtargnął do działu spożywczego Marksa & Spencera, gdzie zatrzymał się na chwilę, by skubnąć trochę świeżej sałaty. Czy słonie jedzą sałatę? Po przekąsce ruszył pędem do centrum handlowego Stephen's Green, a ona goniła go w górę i w dół po ruchomych schodach. Obudziła się kilka godzin później, półżywa ze zmęczenia.

Wstała i odsłuchiwała wiadomość na automatycznej sekretarce.

- Witam, pani Morrissey, to znowu ja, pani Życzliwy Przyjaciel. Widziałem panią w mieście dzisiaj rano, przechodziła pani przez ulicę na South King Street i omal nie wpadła pani pod rozjeżdżone granatowe volvo, które jechało na północ. Bardzo zaabsorbowana? Musi pani uważać. Brzdęk!

Znowu on? Tylko nie to. Co za świr! To już szósty albo nawet siódmy telefon. Te telefony właściwie jej nie przerażały, raczej niepokoiły. Arlene doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli jednak zawiadomi policję. To zaczęło już wykraczać poza granice niewinnego żartu.

Rozważała możliwość zmiany numeru, charakter jej pracy wymagał jednak, aby zawsze można było się z nią łatwo skontaktować. Poza tym Arlene nie lubiła, kiedy ktoś próbował ją zstraszyć. Nie lubiła ulegać presji. Zastanawiała się, kto to może być. Na pewno ktoś, kto ją zna, wie, czym się zajmuje, wie, co robi. Tego jej tylko było trzeba. Szaleńca, łączącego za nią krok w krok. Jakby nie znała już dość szaleńców.

Zrobiła sobie filiżankę kawy. A więc Richard Power przyjeżdża do Dublina. To zdumiewające, że do niej zadzwonił. Teraz niewielu ludzi o tym pamiętało, ale piętnaście lat temu Arlene była żoną Richarda Powera, znanego wówczas jako Dick Whelan.

Poznali się, kiedy Arlene pomagała w teatrze, pracując za grosze przy inscenizacji *Wujaszka Wani*, w której grał Richard. Ona miała dwadzieścia lat, on trzydzieści pięć. Nie udało im się. Bardzo delikatnie powiedziane. Była to miłosna katastrofa na skalę „Titanica”. On odniósł potem spory sukces i zmienił nazwisko na Richard Power. Było to nazwisko panińskie jego matki. Arlene wróciła do nazwiska Morrissey. Nie było już Dicka i Arlene Whelan. Zginęli pod rumowiskiem, które zostało po tym kataklizmie.

Arlene od dawna o nim nie myślała, teraz jednak skóra ścierpła jej tak jak kiedyś. Zadrzała. Jedzenie. Od śniadania nie miała niczego w ustach. Zamówi sobie pizzę.

Zadzwoniła do Domino's pizza i zamówiła małą pizzę z ananasem i pepperoni. Teraz już sama nie gotowała. A kiedyś była w tym naprawdę dobra.

Od dnia, kiedy się rozstali, nie miała z Dickiem kontaktu. Została po nim tylko wielka czarna rana, która jątrzyła się jeszcze przez długi czas. Mijały lata. Arlene czytała o nim dziwne artykuły, w których nigdy nie wspominał o swoim małżeństwie. Wszyscy uważali go za starego kawalera. Arlene zawsze była ciekawa, dlaczego nie postarał się w Anglii o rozwód. Zapewne uważał, że wówczas wszyscy oczekiwaliby od niego, że się ponownie ożeni. Może tego właśnie teraz chce? Rozwodu. Na pewno o to chodzi. Przyjeżdża, żeby poprosić ją o rozwód.

Arlene przypuszczała, że gdy Dick zadzwoni, umówi się z nim na spotkanie. Była pewna, że teraz sobie z nim poradzi. Tak, będzie się rozkoszować siłą, którą daje jej sukces. Nie jest już tym

dzieckiem, którym kiedyś była, i chętnie mu to pokaże. Niech zobaczy, jak jej dobrze idzie. To dobry aktor i znane nazwisko. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Zadzwoił domofon. Arlene spojrzała na mały biało-czarny ekran interkomu i zobaczyła człowieka w kasku trzymającego pizzę. Nacisnęła guzik, ale nic się nie stało. Cholera. Domofon znowu się zepsuł. To przeklęte urządzenie ciągle się psuło.

- Zaraz zejdę! - krzyknęła do słuchawki. Zbiegła szybko na dół i otworzyła drzwi.

- Jedna mała pepperoni z ananasem, porcja pieczywa czosnkowego i jedna sałatka. Zgadza się? - spytał dostawca.

- Jasne - odparła Arlene. - Umieram z głodu.

Podpisała rachunek.

- Pani Morrissey - powiedział dostawca - przepraszam, że zawracam pani głowę, ale czy mógłbym pani dać moje CV?

Pod kaskiem czaił się aktor. Podał jej życiorys.

- Nazywam się Brendan Coffey.

Arlene kiwnęła głową. Byli wszędzie. Nie zdziwiłaby się, gdyby jeden z nich siedział w pizzy.

- Widziałam pana w paru rzeczach - powiedziała. - Jeśli coś się pojawi, będę o panu pamiętać.

- Naprawdę bardzo potrzebuję pracy. Moja dziewczyna właśnie urodziła dziecko i dlatego rozwożę pizzę.

Łzawe historyjki. Arlene ich nie znosiła.

- Umiem też śpiewać - dodał i stojąc w otwartych drzwiach, zaintonował, całkiem melodyjnie, swoją interpretację *There Ain't Nothing Like a Dame*.

Arlene uśmiechnęła się kwaśno. Pizza stygła.

Nadszedł ten dzień

Arlene przybyła do swojego biura o ósmej rano. Szczerze wierzyła w teorię rannych ptaszków, uważała jednak, że powinna zostać ładniej ujęta. W końcu kogo, u diabła, interesują robaki? Postanowiła wziąć się ostro do roboty i zrobić wszystko, żeby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja. Wiedziała, że Isobel została nominowana, ale niczego poza tym nie była w stanie dowiedzieć się od swoich licznych informatorów.

Nadszedł czas, by skończyć te dyskretne indagacje i przystąpić do ofensywy. Ceremonia rozdania nagród miała się odbyć dziś wieczorem, a organizatorzy chcieli utrzymać wszystkich w niepewności. Jakby rozdawali jakieś cholerne Oscary. Postanowiła dowiedzieć się wcześniej, bo nie chciała, by Isobel publicznie doznała rozczarowania.

Arlene podejrzewała, że Marcus i Isobel mają się ku sobie. Nie była pewna, ale uważała, że coś się święci. Byłoby to równocześnie cudowne i przerażające rozwiązanie. Cudowne, bo to otworzyłyby przed nimi doskonałe perspektywy porozumienia. Przerażające, bo prędzej czy później na pewno doszłoby między nimi do kłótni, która mogłaby wysadzić cały projekt w powietrze. Arlene będzie trzymać rękę na pulsie. Chyba jeszcze za wcześnie na takie spekulacje.

Ale Isobel istotnie wydawała się szczęśliwsza. Smutek zniknął z jej oczu. Chód nabrał sprężystości.

- To cudowne, praca nad sztuką, z tobą i Marcusem! Myślę, że tak czuli się ludzie, którzy wychodzili na świat po długim odosobnieniu.

Żadnych niedomówień, taka już była ta Isobel.

Arlene wykonała kilka telefonów i w końcu dodzwoniła się do Miriam Coughlan - bingo! Miriam Coughlan była przyjaciółką ze szkoły, której mąż należał do jury. Była w wieku Arlene, trzydzieści pięć lat, ale miała już prawie dorosłe dzieci. Zaszła w ciążę w szóstej klasie, w wieku siedemnastu lat, ze swoim chłopakiem, który miał trzydzieści. Teraz był jej mężem. Miriam nie należała do najbystrzejszych uczennic w klasie, zawsze wlokła się w ogonie. Ale cztery dziewczyny, które wlokły się w ogonie, zdążyły się całkiem nieźle ustawić, jeszcze zanim skończyły szkołę. Dla Arlene był to dowód na to, że ubodzy duchem odziedziczą ziemię. Miriam rozkwitła i teraz były dobrymi koleżankami.

Miriam była dłużniczką Arlene. Był to z jej strony duży błąd. Nie istnieje nic takiego jak bezinteresowna przysługa. A jaka to była przysługa? Arlene załatwiła niezrównoważonemu psychicznie bratu Miriam pracę w firmie oświetleniowej, z którą się teraz procesowała. Był to nerwo-

wy chłopak i na pewno nikt nie powierzyłby mu opieki nad małymi dziećmi. Miriam była przekonana, że praca mu pomoże. Miała rację. Praca go uleczyła. Zafascynowały go żarówki i kontakty. Przeszedł całkowitą metamorfozę. Zaczął spotykać się z dziewczyną. Miała na imię Cathy. Blondynka.

Arlene wiedziała, że Miriam nie znosi, kiedy ktoś chce przez nią załatwić coś z jej mężem. Słyszała w jej głosie irytację. Miriam postanowiła udawać, że nie wie tego, o czym Arlene wiedziała, że Miriam wie bardzo dobrze.

- Rozumiesz, Miriam, naprawdę muszę wiedzieć. Isobel jest bardzo wrażliwa. Tak, wiem, w telewizji tego nie widać, ale tak naprawdę jest, więc chciałabym jej oszczędzić publicznego zawodu. Wolałabym, żeby była na to przygotowana. Tylko tyle chcę od ciebie usłyszeć. Czy mam ją przygotować?

- Naprawdę nie wiem, Arlene. Mick i ja ciągle się teraz kłócimy... właściwie ze sobą nie rozmawiamy.

- Cóż, w takim razie, nie będzie miał do ciebie pretensji, że mi powiedziałaś.

- Arlene, stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

- Czy radzisz mi, żebym ją przygotowała na zawód? Po drugiej stronie na chwilę zapanowała cisza.

- Nie, Arlene, nie sędzę, żeby to było konieczne. Tak, do cholery, wygrała. Jednogłośnie. Nie było żadnej sztuki, która mogła by się równać z *Na księżycu*. Masz, wydusiłaś to ze mnie. Jesteś jak buldog.

- Dzięki, Miriam. Prawdziwa z ciebie przyjaciółka. Jestem ci winna przysługę. Nie, dwie.

- Obiecuj mi jedną rzecz; nie powiesz o tym nikomu przed ceremonią.

- Obiecuję i kocham cię.

Arlene odwróciła się do komputera i napisała notkę dla prasy.

Próbowała dodzwonić się do Isobel, ale bez rezultatu. Nikt nie odbierał. Dzwoniła też do Marcusa, ale tam odpowiadała automatyczna sekretarka. Sytuacje, kiedy nie mogła się do kogoś dodzwonić, doprowadzały ją do szału. Chciała natychmiast powiedzieć Isobel. Obdarzyć ją tą nagrodą. Jakby nagroda była prezentem od niej.

Kiedy po południu Isobel i Marcus przyszli do jej biura, by razem pójść na uroczystość rozdania nagród, Arlene spytała:

- Gdzie byłaś przez cały dzień, Isobel? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

Bezskutecznie usiłowała ukryć nutę rozdrażnienia w głosie.

- Nie było mnie, pojechałam z Marcusem w góry. Tłumaczył mi wszystko o motywacji.

- Chciałam się z tobą skontaktować. Musisz mi zawsze mówić, gdzie jesteś. Miałam dla ciebie ważną informację.

- Arlene - powiedział Marcus - możesz sobie mieć dwa telefony w biurze, jeden w samochodzie, komórkę i kilka kiczowatych aparatów w domu, w tym, jak przypuszczam, jeden w łóżku, a drugi, wodoodporny, w wannie, ale wszystkie na nic ci się nie przydadzą, jeśli cel twoich telefonicznych ataków jest w pieprzonych górach.

Marcus stał się teraz nieco przemądrzały. Arlene ani trochę się to nie podobało.

- A co to za informacja? - zapytała Isobel.

- Och, sama się dowiedz - prychnęła Arlene.

- Hej, nasza Królowa Pszczół jest dziś w złym humorze - powiedział Marcus czule. Stanął za nią i zaczął masować jej ramiona.

Arlene nie cierpiała, kiedy Marcus nazywał ją Królową Pszczół. Miała wtedy ochotę go użądlić. Podała Isobel notkę dla prasy.

Isobel gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co?

Marcus wyrwał jej kartkę.

- Czy to prawda? - spytała Isobel z wypiekami na policzkach i błyszczącymi oczami.

- Tak - odparła Arlene.

- Ale jak się dowiedziałas? Myślałem, że nikomu nie powiesz przed rozdaniem - powiedział Marcus.

- Ja wiem wszystko - stwierdziła Arlene sztywno. - Niewiele dzieje się w tym mieście bez mojej wiedzy.

Przez chwilę w powietrzu wisiało napięcie, jak wielki tłusty sęp. Isobel nie rozumiała, co się dzieje, ale Marcus wiedział, w czym rzecz; Arlene ma obsesję na punkcie kontroli. Musiała trzymać wszystko w garści, a kiedy coś zaczynało jej się wymykać, stawała się nerwowa i nie umiała tego ukryć. Zdradzała się. Arlene lubiła mówić ludziom, co mają robić. Jak wychowawczynie w szkole.

Nagle Isobel wydała głośny, niezbyt dystyngowany okrzyk i rzuciła się Arlene na szyję.

- Hurraaaaa! Nie mogę w to uwierzyć. To niesamowite.

- Gratuluję, Isobel - powiedział Marcus, po czym dodał: - I Arlene.

- Oczywiście, Arlene, dziękuję. Bez ciebie to nigdy by się nie stało - powiedziała Isobel.

Arlene, ułagodzona, wyciągnęła butelkę szampana, którą wcześniej włożyła do lodu.

- No to ruszamy, przyjaciele. Dostaliśmy zielone światło - powiedziała, a potem wystrzelił korek.

Arlene musiała przyznać, że przed spotkaniem z Dickiem we wtorek, dwunastego, wieczorem w barze hotelu Shelbourne była trochę zdenerwowana. Umówili się, że wypiją razem drinka, a potem może pójdą coś zjeść. Ale najpierw zobaczą, jak im się rozmawia.

Siedziała w holu jakieś dwie minuty, kiedy zobaczyła go, podchodzącego do portiera. Tak, nie można go było z nikim pomylić. Wyglądał dokładnie tak samo jak w filmach. Przez dziesięć lat patrzyła, jak się starzeje na szklanym ekranie. Bezpieczny, miły dystans. Jakiś magazyn zaliczył go do dziesiątki najbardziej seksownych mężczyzn Wielkiej Brytanii.

Dla niej był antytezą seksu. Na jego widok dostawała dreszczy. Wstała, żeby się z nim przywitać. Minął ją i poszedł dalej.

- Richard.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Arlene?

- Tak.

- Mój Boże, zmieniłaś się.

To prawda. Zmieniła się, i to bardzo. Przede wszystkim inaczej się uczesała - kiedyś nosiła długie, rozpuszczone włosy, teraz miała krótką, wymodelowaną fryzurę. Ubierała się zupełnie inaczej - w szykowne kostiumy, wysokie obcasy i tak dalej; kiedyś biegła w workowatych kombinezonach i kusych spódniczkach. Ale największa chyba zmiana, której Arlene była w pełni świadoma, zaszła w jej zachowaniu. Teraz Arlene roztaczała wokół siebie aurę siły, władzy, dominacji.

- Arlene, nigdy bym cię nie poznał.

- Cóż, nie przejmuj się, ja cię poznałam. Poszli do baru.

- Jakiej się napijesz trucizny?

- Ginu z tonikiem.

- Są rzeczy, które się nie zmieniają.

Podszedł do baru. Trucizna. To od niego przejęła to słowo. Ku jej zdumieniu, wrócił z ginem i czymś, co podejrzenie przypominało sok pomarańczowy.

- Naprawdę przechodzę teraz ciężkie chwile, Arlene. Poprzestawanie na soczku pomarańczowym nie jest łatwe.

- Och?

- Tak. Rzuciłem picie. Jestem w AA.

- Od kiedy?

- Od sześciu miesięcy i sześciu dni. Chodzę do fantastycznego klubu. W Islington, bardzo elegancki. Są świetni. Mnóstwo ludzi z teatru i filmu. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, kto tam przychodzi. No, ale dosyć o mnie. Widzę, że i u ciebie wiele się zmieniło.

- Tak, cóż, od czego by tu zacząć?

- Myślę, że od pracy.

- Tak, więc założyłam własną firmę i zajmuję się produkcją i promocją teatralną. A także doborem obsady. Pracuję też sporo przy filmach. Nieźle mi idzie, nie zarabiam kokosów, ale dobrze się bawię. - Arlene była zła, że zabrzmiało to tak niepewnie. Że okazując dumę, obnażyła swoją słabość. Czcze przechwałki.

Zmieniła taktykę.

- Dublin ciągle nie może się przyzwycząić do kobiet interesu, ale nie ma wyjścia.

- O, zostałaś feministką, tak? Wydawało mi się, że to nie w twoim stylu.

- Nie, nie zostałam feministką, ale skąd ty możesz wiedzieć o moim stylu? - Arlene żałowała, że nie umie ukryć nuty agresji w głosie. Zamknij się. Bądź dla niego miła.

- Przepraszam.

- Nie. Nie zostałam feministką. A wyglądam jak feministka? Ile widziałeś feministek w takich ciuchach i z taką fryzurą?

- Istotnie, niewiele.

- Nie, nigdy nie lubiałam tego określenia, kojarzy się z bezrobociem. Jak dla mnie, feministki są trochę za nisko w społecznej hierarchii, Dick.

- Proszę, mów mi Richard.

- Przepraszam, Richard. Feministka była prototypem nowoczesnej kobiety, pierwszym modelem, którego produkcji zaniechano z powodu pewnych wad w projekcie. Nie mogła wygrać z żonami bogatych mężczyzn. Nie miała szans na awans pionowy.

Umiała mówić! Kiedyś tego nie potrafiła.

- Koncepcja kobiety niezależnej - ciągnęła Arlene - będzie musiała otrzymać nową nazwę, tak jak „Windscale” zostało przemianowane na „Sellafield” po nuklearnych wyciekach, a „Long Kesh” na „Maze”. Spece od PR będą musieli popracować nad słowem na „F”, zanim będzie je można wymawiać w przyzwoitym towarzystwie.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział Richard.

- Jestem nowoczesną kobietą w nowoczesnym świecie i radzę sobie całkiem nieźle, dziękuję. A ty nie zostałeś feministą?

- Nie.

Richard zawsze głaskał ją pod włos. Nikt nie umiał tego tak, jak on. Zapomniała już, jaki był w tym świetny.

Wyjął paczkę papierosów i wyciągnął w jej stronę. Silk Cuty. Kiedyś je paliła.

Potrząsnęła głową.

- Rzuciłam. Tylko przegrani palą.

- Dziękuję. Ja zwalczam tylko jeden nałóg na raz - powiedział obojętnie.

Arlene czuła, że ogarnia ją gniew. Nie powinna była tu przychodzić.

Zadzwoiła jej komórka.

- Przepraszam na moment.

Wetknęła palec do lewego ucha, trzymając telefon przy prawym.

Richard zauważył jej długie paznokcie. Kiedyś ciągle je obgryzała. Było tak, jakby dzielił mieszkanie z myszą. Wszystko do niego wróciło - w ciemnej sypialni rozlegało się to przeraźliwe zgrzytanie przygryzanych paznokci, po których następowały odgłosy chrupania i żucia.

Nagle znowu miała dwadzieścia dwa lata. Dźwięki, które wydawała w nocy, napawały go obrzydzeniem. Często onanizowała się przez sen. On leżał bezsennie, a ona zapadała w drzemkę, po czym zaczynała - najpierw cicho, potem coraz głośniej, i zawsze budziła się przed końcem.

Arlene przełożyła telefon do drugiej ręki.

- Nie, Mick, wolałabym żebyś się nie spieszył. To nie jest robota na szybko, rozumiesz?

Kiedy o tym rozmawiali twierdziła, że to dobry znak, że się budzi, bo byłoby jej trochę przykro, gdyby przespała orgazm. Taką miała przypadłość. Niektórzy mówią przez sen. Ona szczytowała. Była kiedyś bardzo seksowną dziewczyną. Przerazająco seksowną. Spojrzał na nią. Jej piersi były większe i cięższe. Biodra bardziej zaokrąglone. Ale przede wszystkim jej twarz straciła tamten blask. Ta nowa była przystojna, ale ta dawna jaśniała. Teraz jej wargi były węższe, oczy bardziej surowe. Poważniejsze. Smutne?

- Świetnie, znakomicie, doskonale, więc po nie przyjadę. Kocham cię. Jesteś darem od Boga dla wszystkich producentów. Jestem ci winna łaskę. Pa!

Piip.

Odwróciła się do Richarda.

- Moja drukarnia. To prawdziwe anioły. Pracują w nocy, żeby zrobić wszystko na czas, ale jeśli dam im zbyt krótki termin, robią po łebkach, a licznik bije, rozumiesz. Facet ma na imię Mick. Ma małą firmę, która nazywa się Blob Printing. Koszmarna nazwa, ale z czasem zaczyna ci się coraz bardziej podobać.

Richard roześmiał się.

- Czy się przesłyszałem, czy rzeczywiście powiedziałaś, że jesteś mu winna łaskę?

- Tak, tak sobie żartujemy. Ciągle powtarzam Mickowi, że zapłacę mu w laskach. Ale on zawsze upiera się przy gotówce. Nawet przy małych zamówieniach, jak plik ulotek sześć na osiem. Tym razem jestem mu winna tylko pięćdziesiąt funtów, więc trochę się bałam, ale on i tak wolał pieniądze. Powinam się chyba obrazić.

Arlene podobała się ta luźna pogawędka. Sprawiała, że czuła się agresywna i władcza. Nie do wykiwania.

- Na pewno.

- Musi mieć bardzo usłużną żonę - powiedziała, rumieniąc się na myśl o tym.

On też się zaczerwienił. Milczeli przez chwilę.

- Po co przyjechałeś do Dublina? Kręcisz tu jakiś wielki film. o którym jeszcze nie słyszałam?

- Nie, prawdę mówiąc, przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć.

- Ale po co, na Boga?

- Musiałem się z tobą spotkać. - Unikał jej wzroku. Arlene patrzyła na niego, niewzruszona.

- Zostawiłem tu część siebie i wróciłem, żeby sprawdzić, czy mogę ją odzyskać. - Kiedy wkładał papierosa do ust, jego dłoń lekko drżała.

Arlene nagle przyszło do głowy, że może Richard ma jakieś poważne kłopoty. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy przestała myśleć o tym, jaka jest skrepowana, i uświadomiła sobie, że to z nim jest coś nie tak.

- Przechodzę kryzys - powiedział Richard. - Z powodu picia, ale nie tylko. Omówiłem to dokładnie z moim psychiatrą i to ona mi poradziła, żebym tu wrócił. Im więcej myślałem o powrocie do domu, tym bardziej chciałem to zrobić.

Arlene znowu się zarumieniła. Co się z nią dzieje? Przecież nigdy się nie rumieniła. Znowu zadzwoniła jej komórka.

- Przepraszam - odwróciła się z ulgą. Richard westchnął głośno. Ta komórka zaczynała go denerwować.

- Halo?

- Cześć, Arlene, tu Isobel.

Arlene słyszała łzy w jej głosie.

- Cześć, mała.

- Arlene, muszę się z tobą zobaczyć. Masz teraz czas?

- Niezupełnie.

- Och...

- Ale później będę miała. Możesz iść do mnie, jeśli chcesz i tam się spotkamy. Wiesz, gdzie jest klucz?

- U Cartwrightów na dole. Po prostu powiedz im, kim jesteś. Dadzą ci go. On nazywa się Jack, a ona Helen. Wszystkie koty nazywają się Tickle. Jeśli wyjaśnisz im, kim jesteś, na pewno ci uwierzą i dadzą klucz.

- Arlene, jesteś prawdziwą przyjaciółką.

- Jasne.

Piip.

Arlene odwróciła się do Richarda.

- Bardzo cię przepraszam.

- Nie możesz wyłączyć tego cholerstwa? Opanowanie. Nigdy go nie tracił. Aż do teraz.

- Tak, chyba tak będzie lepiej. To była Isobel Coole. Młody talent, gorące nazwisko. Jestem producentem jej pierwszej sztuki *Na księżycu*.

Praca. Nakieruje go znowu na tematy związane z pracą. Lubiła rozmawiać o pracy.

- Czy to nad tym teraz pracujesz? - zapytał. Chwila emocji minęła.

- Jeszcze nie. Ta sztuka będzie wystawiona we wrześniu, a potem, miejmy nadzieję, pojedzie na tournée. Wyświadczysz mi przysługę? Przeczytasz ją i powiesz mi, co o tym sądzisz? Masz wielkie doświadczenie, twoja opinia będzie dla mnie bardzo cenna.

Richard wiedział, że to pochlebstwo, ale nie przeszkadzało mu to. Lubił pochlebstwa.

- Nie.

- Bardzo by mi to pomogło i byłabym ci naprawdę wdzięczna.

Arlene wyciągnęła scenopis z torby i położyła przed nim na stoliku.

- Zrobię to z przyjemnością. Przejrzę go w ciągu tych paru dni, kiedy tu będę.

Arlene wiedziała, że jeśli tylko rola mu się spodoba, ma go w garści. Była pewna, że tak będzie. Wydawał się zainteresowany. Zdaje się, że potrzebował kogoś, kto by mu powiedział, co ma robić. Przygwoździła go.

Arlene wyszła z hotelu Shelbourne zadowolona, że udało jej się uciec Richardowi Nie-Nazywaj-Mnie-Dick. Przeszła zwawo Baggot Street i wstąpiła do delikatesów, żeby kupić czerwone wino i trochę jakiegoś dobrego sera. Kupowała tam od sześciu lat i Martin Campbell wiedział, jakie wina lubi; tylko czerwone i zazwyczaj hiszpańskie. Znał też jej upodobania, jeśli chodzi o sery; na ogół wybierała dojrzałe, o wyraźnym smaku, czasem cuchnące, z rzadka bardzo miękkie.

- Witaj, Arlene. Ty to masz życie, czerwone wino i śpiew, a dopiero wtorek.

- O tak - odparła Arlene. - Hej, nana nana na, poza teatrem życia dla mnie nie ma. Nigdy nie odrabiamy dniówki.

- Chyba szykuje się miła imprezka, skoro zabierasz tę pyszną przekąskę do domu - powiedział Martin, krojąc ser. - Twoja przyjaciółka, ta ciemna, właśnie tędy przechodziła. Szła w stronę twojego mieszkania. Jakąś godzinę temu.

Martin miał oko na wszystko. Niewiele mogło się wydarzyć za jego oknem, co uszłoby jego uwadze.

- Tak - odparła Arlene - Isobel Coole czeka u mnie. Ach, cóż to będzie za dodatek do miłego towarzystwa.

- A nie ma między wami mężczyzny, niewiasty?

Arlene bardzo lubiła Martina, ale ilekroć dochodziła do wniosku, że jest całkiem rozsądną istotą ludzką, on zawsze otwierał swoją wielką jadaczkę i dokładał trzy grosze. Martin po prostu musiał palnąć coś niestosownego. Zawsze. Kiedyś powiedział, że był na jednym z jej przedstawień, ale wyszedł w czasie przerwy, bo osoba, która mu towarzyszyła, zasnęła. Powiedział to całkiem spokojnie. Nie zdawał sobie sprawy, że ją obraża. Arlene już dawno nabrała przeświadczenia, że Martin ma trochę nierówno pod sufitem. Był kawalerem, a osoba towarzysząca mu w teatrze, o której wspomniał, nie była gorącym kochankiem-homoseksualistą, jak początkowo przypuszczała Arlene; to była jego ciotka. Ciotka Isa.

Arlene wiele słyszała o ciotce Isie. Więcej niż chciała wiedzieć. Została zaznajomiona ze szczegółami zabiegu wycięcia jajników, któremu poddała się ciotka Isa, oraz infekcji jelitowych, jakim często ulegała. Od czasu do czasu otrzymywała też dokładne informacje o jej wypróżnieniach. Nie, nic nie wskazywało na to, by Martin miał jakichś kochanków czy kochanki. Wydawał się nie mieć skłonności seksualnych w żadnym kierunku, poza, być może, niezdrową fascynacją serami. Był to w jego przypadku niemal pociąg fizyczny. Brał w palce kawał tłustego camemberta z taką czułością, jakby to był jego pierworodny. Zdarzało mu się pojawiać w sklepie z podbitym

okiem. Arlene podejrzewała, że wychodzi w nocy, upija się i wszczyna burdy. Doktor Jekyll i mister Hyde dublińskich ulic. Arlene była nim zafascynowana. Niezły okaz.

- Do widzenia, kochaneczku - powiedziała. Ostatni kąsek, drobna złośliwość

Arlene szła szybko ulicą. Miała dobry humor. Przygnębienie spowodowane spotkaniem z Dickiem\Richardem minęło. Wiedzie wspaniałe życie. Jest niezależna. Tak, niezależność to chyba najcenniejsza rzecz, jaką ma. Jedyna, której nigdy nie poświęci. Weszła po schodach, przebijając się przez odór kocich sików, i z uczuciem lekkiego niepokoju otworzyła drzwi swojego mieszkania.

Isobel siedziała przed kominkiem na gaz i wydawała się całkiem opanowana. Tylko pod oczami miała głębokie cienie. Jej twarz wydawała się pusta, wklęsła, zapadnięta, jak brzeg rzeki po ulewnym deszczu.

- Cześć, Arlene, tak strasznie, strasznie mi przykro, że zawracam ci głowę. Jesteś bardzo dobra, że pozwoliłaś mi tu przyjść.

- Jasne, mała. Nie przejmuj się. Cieszę się, że mam towarzystwo. Kupiłam różne pyszności. Dobre wino i szwajcarski ementaler. Zabiją wszelkie kłopoty, na śmierć.

- Był telefon jakąś godzinę temu, zaraz po moim przyjściu. Nie odebrałam, oczywiście, włączyła się automatyczna sekretarka, ale nie mogłam nie usłyszeć. To wyglądało na jakiegoś świra.

- Och, to znowu on.

- Dzwonił już wcześniej?

- Tak. Dzwoni dość często.

- Nie niepokoi cię to?

- I tak, i nie. Zaczynam się już przyzwyczajać do jego głosu.

- Zawiadomiłaś policję?

- Nie, jeszcze się na to nie zdecydowałam. Wątpię, żeby ten ktoś mógł być naprawdę niebezpieczny. Wydaje mi się, że gdyby chciał mnie zaatakować, już by to zrobił. To tylko jakiś smutas, któremu nie układa się w życiu, więc dzwoni i zostawia mi wiadomości na sekretarce. Pewnie to ktoś, kogo znam.

- Jak to?

- Cóż, komentuje moje ubrania i czasami wie, co robiłam danego dnia. Poza tym czuję to.

- Jezu, Arlene, powinnaś zadzwonić na policję. To może być niebezpieczne.

Arlene wcisnęła guzik i włączyła automatyczną sekretarkę.

- Witam, pani Morrissey. Widziałem panią dziś w tym czerwonym kostiumie. Sam nie wiem... czerwień to chyba jednak nie pani kolor. Brzdęk.

- To bardzo dziwne - powiedziała Isobel. - Naprawdę, lepiej żebyś zadzwoniła na policję.

- Tak, myślałam już o tym. Zadzwoń. Ale teraz powiedz mi, kurczaczku, co się stało? - Arlene wyciągnęła korkociąg i zaczęła otwierać wino.

- Boże, pewnie sobie pomyślisz, że jestem głupia i żałosna. Ty jesteś taka twarda, nie boisz się nawet obcego mężczyzny, który do ciebie wydzwaniał.

- Wolałabym być głęboka, a nie tylko twarda.

- No więc, pamiętasz ten dzień, kiedy się poznałyśmy i powiedziałam ci, że jestem sama? Cóż, to nieprawda. Od trzech lat mieszkam z jednym facetem. Nazywa się Conor.

- Wiem.

- Skąd wiesz?

- Cóż, popytałam trochę o ciebie i odkryłam, że wbrew temu, co mówisz, mieszkasz pod jednym dachem z chłopakiem o imieniu Conor, który pracuje w jakiejś agencji reklamowej.

- Och - powiedziała Isobel, trochę zaskoczona. - Co jeszcze o mnie wiesz? Nie lubię, jak ludzie wtykają nos w moje sprawy.

- Daj spokój. Interesuje mnie tylko to, co wiedzą wszyscy. Nie wynajmuję prywatnych detektywów. Hej, nie bierz tego zbyt poważnie.

- No dobrze.

- W takim razie, jaki masz problem z tym Conorem?

- Nie układa się między nami najlepiej. On nie traktuje mnie dobrze, a ja sobie z nim nie radzę. Nie raczy nawet zadzwonić, kiedy wraca późno z pracy. Gasi mnie przy ludziach. Krytykuje wszystko, co robię.

- Wygląda mi na skurwiela - oznajmiła Arlene, mocując się z korkociągiem.

- A teraz wydaje mi się, że kogoś ma.

- Wydaje ci się?

- Jestem prawie pewna.

- Jak to - prawie pewna?

- Znalazłam w jego kieszeni damskie majtki. Nie moje.

- Może jest transwestytą?

- Nie jest.

- Jesteś pewna? Mnóstwo ludzi to transwestyci.

- Nie, on na pewno nie jest transwestytą. Głosuje na prawicę i jest nietolerancyjny. Nie nosi nawet krawata, bo ktoś mógłby uznać, że jest drętwy.

- Tacy właśnie najczęściej lubią się przebierać w kobiece ciuchy. Podniecenie rośnie, jeśli to, co robisz, wzbudza u ciebie odrazę. Nienawiść do samego siebie wzmagają dreszczyki emocji.

- On nie jest transwestytą. - powiedziała Isobel, trochę zirytowana.

- Przepraszam. - Arlene zdała sobie sprawę, że posunęła się w swoim niewinnym żarcie ciut za daleko.

- Wierz mi, nie przejmowałabym się tym. Ale on się z kimś spotyka.

Arlene w końcu otworzyła butelkę i nalała wino do kieliszków.

- Nie wygląda to najlepiej - powiedziała.

- Co ja mam teraz zrobić? - spytała Isobel.

- Zanim odpowiem, muszę cię zapytać, czy spotykasz się z Marcusem?

- Nie bądź śmieszna. Skąd ci to przyszło do głowy?

- To tylko takie podejrzenie.

- Oczywiście, że nie. Nie wiem, jak mogłaś wpaść na taki pomysł.

Arlene poczuła się trochę głupio.

- Co ja mam zrobić, Arlene?

- Cóż, to chyba oczywiste.

- Mnie nic nie wydaje się oczywiste.

- Rzuć go.

- Tak po prostu?

- Tak, on najwyraźniej traktuje cię per noga. Więc potraktuj go z buta.

- Ale jesteśmy razem już trzy lata.

- I co z tego? Nie wystarczy, że zmarnowałaś całe trzy lata z takim dupkiem, może woląabyś zmarnować pięć?

Arlene przypuszczała, że zapadnięta twarz Isobel oznacza coś więcej niż kolejną kłótnię z chłopakiem. Ale to na razie wystarczy. Czowała jednak, że jej praktyczne rady nie bardzo trafiają do romantycznej Isobel.

- Ale, Arlene, to bardzo trudne.

- A co w tym trudnego? Po prostu napisz mu: „Drogi Conorze, jesteś idiotą, odchodzę, by spotkać kogoś, kto będzie miał dość rozumu i mnie doceni. Zostaw swój klucz na kominku”. A potem wyjedź na weekend z miasta.

- Doceni mnie. Ładnie powiedziane.

- Wiedziałam, że ci się spodoba.

- Ale to bardzo trudne.

- Posłuchaj. Powiedzmy, że popełniłyśmy błąd. Już na próbach okazało się, że jeden z wybranych przez nas aktorów jest nieodpowiedni. Powiedzmy, że to aktorka grająca rolę Nuali w *Na księżycu*. Kluczowa rola. Najważniejsza.

- Czy to się zdarza?

- Czasami. Co robimy?

- No, nie wiem.

- A ja wiem. Wywalamy ją i bierzemy kogoś odpowiedniego. Smutne, ale proste. Płacimy jej i pokazujemy drzwi. Ona pójdzie do baru, poryczy sobie, będzie gadać z prawnikami i nadawać na mnie każdemu, kogo spotka. Później dostanie propozycję zagrania w jakimś świetnym filmie, której nie mogłaby przyjąć, gdybym jej nie wyrzuciła, i będzie zachwycona swoim szczęściem. Następnym razem, kiedy spotka mnie na ulicy, będzie machać i przesyłać całusy, i wszystko będzie cacy, i wszyscy będą zadowoleni jak świnia w gównie. A za pół roku będzie mnie lizać po dupie, bo właśnie podpisałam kontrakt na dobór obsady z kimś innym i ona chciałaby mieć w tym swój udział. Więc widzisz, trzeba zrobić to, co trzeba, wybrać mniejsze zło. Jeśli wybierasz kogoś, żeby zagrał główną rolę w znacznie ważniejszej sztuce twojego życia i on okazuje się dupkiem, to tym bardziej trzeba się go szybko pozbyć.

- Masz rację, jeśli chodzi o *Na księżycu*, aktorka do roli Nuali musi być dobrze dobrana. To wszystko ma więcej sensu w przypadku sztuki niż prawdziwego życia.

- To tylko dowód na to, że jesteś i genialna, i głupia, Isobel. Masz, napij się wina.

Isobel zaczynała czuć się trochę lepiej. Dobry humor Arlene był zaraźliwy.

- Mogę się jeszcze raz przespać na sofie?

- Jasne, mała.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Isobel usiłowała powiedzieć o czymś, czego się bardzo wstydziła.

- Żałuję... żałuję że nie jestem piękna.

Arlene parsknęła śmiechem. Siedziała przed nią gazela o pięknych oczach, delikatnych rysach twarzy i włosach, które mogły omotać serce. Coś powstrzymało ją jednak przed powiedzeniem Isobel, że jest uderzająco piękna, choć wiedziała, że Isobel rozpaczliwie pragnęła to usłyszeć.

- Co? - To było wszystko, na co się zdobyła.

- Wiesz, Charlotte Brontë oddałyby cały swój talent za urodę, która wzbudzałaby miłość mężczyzn.

- Skąd wiesz? Rozmawiałaś z nią?

- Czytałam w książkach.

- Cóż, w takim razie była głupia - stwierdziła Arlene.

- Ja oddałabym wszystko - powiedziała Isobel - żeby tylko jakiś mężczyzna kochał mnie naprawdę.

- Jezu, ale bredzisz. Jak na taką inteligentną pisarkę, bywasz naprawdę tępa. Idź spać.

- Mam trzydzieści jeden lat. Zostało mi niewiele czasu.

- Co ty wygadujesz? Jesteś w kwiecie wieku.

- Czuję się stara - powiedziała Isobel.

- To jeszcze jeden powód, żeby rzucić w diabły tego Conora. Nie dorasta ci do pięt. Głupie imię, Conor.

Kiedy się położyły, Arlene zajrzała przez szparę w drzwiach do salonu, żeby sprawdzić, czy Isobel zasnęła. Nie, tak jak przypuszczała, nie spała jeszcze. Siedziała, paląc papierosa i od czasu do czasu przytykając chusteczkę do oczu. Miała na sobie wykwinny komplet francuskiej bielizny w kolorze cytryny.

Widok Isobel sprawił, że zadrżała. Uroczą dziewczyną w seksownej bieliźnie, konająca z chęci, by zrobić komuś przyjemność.

Wyglądała na dużo mniej niż trzydzieści jeden lat. Arlene nie pomyliła się co do bielizny. Zabawne, jak to od razu widać. Marcus? On z pewnością nosił mocno wycięte sportowe, czarne, obcisłe slipy. Wystarczyło spojrzeć na jego muskularne ciało, opaloną skórę i ubrania w stylu zniewieściałego macho.

Richard Power? Dick zawsze nosił proste bawełniane majtki z podwójnym szwem z przodu. Zwyczajna bielizna, taka, jaką kiedyś kupowała mu matka. To był dla niego łącznik z normalnym życiem. Arlene przypuszczała, że pod tym względem niewiele się zmieniło od czasu, kiedy byli razem. No, może teraz nosi bawełnę w lepszym gatunku. Zabawne, jak takie drobiazgi pozostają w pamięci. Kiedyś bardzo lubiła prasować i składać jego bieliznę. Podniecało ją to.

Arlene wstała o ósmej trzydzieści z objawami lekkiego kaca. Za dużo ginu z tonikiem i za dużo wina. Wypiła kawę, zjadła trochę musli i spróbowała skupić się na czekających ją tego dnia zadaniach. Zadzwoił telefon - fortepian. Zagrał *Entertainera*. Da - da - da - da, da - da, da - da, de - de - Arlene zawsze próbowała odebrać, zanim zaczął drugą frazę.

Dzwonił Dick.

- Cześć, Dick.

- Arlene, czy mogłabyś nie mówić do mnie Dick? Teraz wszyscy nazywają mnie Richard.

- Jasne, Richard. Przepraszam.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale muszę z tobą porozmawiać. Ta sztuka bardzo mi się podoba. Uważam, że jest naprawdę bardzo dobra.

- Świetnie. Jak bardzo jest dobra?

- Wystarczająco dobra.

- Więc zagrasz tę rolę?

- Nie zaproponowałaś mi tego. Chciałaś tylko, żebym ci powiedział, co o tym sędzę - powiedział przekornie.

- Naprawdę? Jaka ja jestem głupia.
- Pogadajmy. Kolacja dzisiaj?
- Nie, dziś jestem już umówiona. A jutro?
- Jasne.

Arlene podeszła do kanapy i znalazła liścik. Tam, gdzie leżała Isobel, widać jeszcze było lekkie wgłębienie, a poduszka zachowała kształt jej głowy. Liścik brzmiał następująco: „Wstałam wcześniej i uciekam. Wstydę się za siebie, ale Ty jesteś aniołem prosto z nieba. Kocham cię miłością wieczną, Isobel. *I - so - belle**”. Dobrze nosi imię ta mała, pomyślała Arlene. Podniosła z poduszki kilka czarnych jak heban włosów, owinęła je wokół palca, po czym wyrzuciła do kosza.

** I so belle (ang.) - ja taka piękna (przyp. tłum.).*

LR

Arlene spotkała się z Richardem następnego wieczoru w Trocadero na kolacji. On miał na sobie dobry garnitur. Ona założyła ładną małą sukienkę koktajlową. Zauważyła, że ludzie go rozpoznają; kelner, jakaś para przy sąsiednim stoliku. Arlene nie pomyślała o tym. Richard był teraz grubą rybą, zwłaszcza po tym nowym serialu BBC, w którym grał księdza. Nie ma to jak telewizja, gdy ktoś chce, żeby jego nazwisko trafiło pod strzechy.

Uśmiechnęła się. Do tego spotkania była nastawiona bardziej pozytywnie. Sztuka mu się spodobała. Jego potencjalna użyteczność przytępiła jej instynktowny gniew. Złożyli zamówienie. Richard chciał pstrąga i Arlene z trudem powstrzymała się od dodania: „Mała rybka dla grubej ryby”.

- Więc powiedz mi, co o tym myślisz, Richardzie.

- Jestem zachwycony. Doskonały wizerunek sfrustrowanego faceta, który nie potrafi porozumieć się z ludźmi. Ta postać, Mark Delaney... - Przekartkował skrypt i znalazł kwestię. - Posłuchaj tylko:

Mark: Nic mnie to nie obchodzi, że inne dziewczyny nie wracają na noc do domu albo wyjeżdżają ze swoimi chłopakami na weekend. Ty nie jesteś jakąś tam dziewczyną, jesteś moją córką i masz być o wpół do dwunastej. Twoje koleżanki to zwykle dziwki, bez cienia szacunku dla samych siebie, dla swojego ciała, nie wspominając już o ich przyszłych mężach. Żaden mężczyzna nie chce resztek po innym mężczyźnie. Kiedy będziesz starsza jeszcze mi za to podziękujesz.

- To bardzo interesujące. Ukrywa swoją zaborczość wobec córki pod pozorami zasad moralnych i religii. A najciekawsze jest to, i dlatego właśnie uważam, że Isobel Coole ma prawdziwy talent, że choć jest on żalonym, nędznym, skoncentrowanym na sobie psychopata, budzi współczucie.

Typowe, pomyślała Arlene. Kompleks Judasza. Teraz, całkowicie odmieniony, Richard stał się nagle wielkoduszny, współodczuwający z upadłymi i zdeprawowanymi. Oto narodził się nowy chrześcijanin. Alleluja!

- To typowy Irlandczyk, wytwór specyficznego środowiska. Mam wrażenie, że go znam. Nie różni się specjalnie od mojego ojca.

Arlene nie miała okazji poznać ojca Richarda. Zmarł, zanim ona wkroczyła na scenę.

- Uważam też, że postać jego żony, Colleen, jest świetnie zarysowana. Widać wyraźnie, że to tylko cień kobiety, jaką kiedyś była. Podobają mi się te wstawki z przeszłości, które ukazują ich razem w latach pięćdziesiątych. On się już do niej nie zbliża, ale jest oczywiste, że jej bardzo tego brakuje. Młodzieniec z Loughrea w hrabstwie Galway, który bardzo dobrze radzi sobie zawodowo. Połowa z tego to oczywiście zwykłe łajdactwa albo przechwałki, ale i tak idzie mu nieźle. Żeni się z Colleen, przyjaciółką z dzieciństwa, którą wyciąga z bagna i robi panią eleganckiego domu w Foxrock, i ma z nią Nualę.

Richard był pełen entuzjazmu. Tryskał energią, co bardzo ucieszyło Arlene.

- To fantastyczne, że religia tak silnie ich ze sobą wiąże, kiedy są młodzi, na początku w ich samozaparciu jest nawet pewien erotyczny ładunek. Sprawiają wrażenie, że oddanie wartościom chrześcijańskim wzmagają ich seksualne doznania. Na tym zasadza się erotyka tej sztuki. Absolutna rewelacja.

- Tak, muszę przyznać, że te religijne wstawki są bardzo dobre. To prawie jak zewnętrzna stymulacja pornografii - powiedziała Arlene.

Richard ciągnął gorączkowo:

- Sam pomysł, żeby akcja rozgrywała się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, podczas referendum w sprawie aborcji, jest genialny, nie uważasz?

- Owszem, interesujący - przyznała Arlene.

- Dla tego faceta to coś, w co może się naprawdę zaangażować. Ludzie, którzy wierzą, że aborcja to zło, będą to głęboko odczuwać. Poza tym, to świetne, że Mark Delaney ma dopiero pięćdziesiąt lat, kiedy jego córka ma dziewiętnaście. Moim zdaniem to w pewnym sensie bardzo istotne, że kiedy staje się zaborczy w stosunku do córki, jako mężczyzna jest ciągle w pełni sił.

Arlene spojrzała na swojego pięćdziesięcioletniego eksmęża. Ciągle w pełni sił? Bez wątplenia.

- Cóż, zdaje się, że cię to naprawdę wzięło.

- Owszem. Ale jest jeden problem. Szlag trafi mojego agenta. Wiem, że nie będziesz mi w stanie zapłacić tyle, ile zawsze dostaję.

- A ile zawsze dostajesz? - spytała Arlene z potulnym uśmiechem.

- Arlene, ja nigdy nie rozmawiam o pieniądzach, nawet z tobą. Za dużo czasu spędziłem na takich rozmowach, kiedy byłem młodszy. Teraz po prostu tego nie robię. I nie chodzi tylko o moje gąże. W ogóle nie rozmawiam o pieniądzach. Mam agenta, który podpisuje dla mnie kontrakty, i księgowego, który mówi mi, kiedy mam wyhamować z kartą kredytową. Obydwaj dostają dobre wynagrodzenie za swoje usługi, jak przypuszczam.

- Jak to, przypuszczasz?

- Nie mam pojęcia, ile dostają, to zdaje się jakiś procent od czegoś tam.

- Zdumiewasz mnie, Richardzie. Mogą cię nieźle oskubywać.

- Nie mogą, mam prawnika, który patrzy im na ręce.

Arlene nie uwierzyła w tę bajeczkę. To niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł być tak głupi. To niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł tak nie szanować pieniędzy.

- W każdym razie pogadaj z moim agentem i zobaczymy, co da się zrobić.

Arlene wiedziała, że on i tak zagra w tej sztuce. Po pierwsze, podobała mu się rola, a po drugie, chciał mieć jakiś punkt zaczepienia w Irlandii. Chciał wrócić do domu. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- Nie czeka na ciebie żadne dziewczę?

- Nie. Było kilka kobiet, ale żadna nie miała dość cierpliwości, żeby ze mną wytrzymać.

- Och...

- A ty?

- Nie, na mnie z pewnością nie czeka żadne dziewczę - odparła z drwiącym uśmiechem.

- Utknąłem w martwym punkcie, Arlene.

- Co masz na myśli?

- Po prostu, utknąłem w martwym punkcie mojego życia. Muszę z tobą porozmawiać. Uderzyłem głową w szklany sufit.

- O czym właściwie chcesz rozmawiać?

- O przeszłości.

- Dlaczego?

- Bo tkwię w niej i nie potrafię się wydostać.

- Co mam ci powiedzieć?

- Boję się, że cię zraniłem, że zrujnowałem ci życie.

- Czy wyglądam na kogoś, kto ma zrujnowane życie?

- Szczerze mówiąc, nie, nie wyglądasz.

- Więc?

- Ale ja muszę wiedzieć, że tak jest.

- Och, na litość boską, oczywiście, że nie zrujnowałeś mi życia. - prychnęła Arlene. Nie podobał jej się obrót, jaki przybrała ta rozmowa. Jeśli Richard przyjechał, żeby uspokoić swoje sumienie, proszę bardzo, ale ona nie miała zamiaru brać w tym udziału. Sporo czasu zajęło jej zatrzaśnięcie wieka przeszłości i nie miała ochoty nawet go uchylać. Przeszłość to była izba tortur.

Milczeli przez chwilę. Arlene postanowiła naprowadzić go znowu na sztukę. Praca. Tak, muszą rozmawiać o pracy. To było łatwe.

- Miałam cię właśnie zapytać, co sądzisz o zakończeniu.

- Nie jestem zachwycony. Wydaje się trochę melodramatyczne. Nie sądzę, żeby ten człowiek mógł zrobić coś takiego. A czemu pytasz?

- Cóż, ja też nie jestem nim zachwycona, podobnie jak Marcus, więc byłam ciekawa twojego zdania.

Arlene leżała w łóżku i myślała o Richardzie. Zastanawiała się, czy będzie ją na niego stać. Zaczynało do niej docierać, że będzie mu musiała zapłacić nie w funtach i szylingach, ale w zupełnie innej walucie. Zmienił się, wydawał się teraz bardziej uważny, delikatniejszy. Ale ciągle było w nim coś z dawnego Richarda. A raczej z Dicka Whelana. Ludzie aż tak się nie zmieniają. To ciągle wilk, tyle że w sweterku z owczej wełny. Przez jakiś czas może grać tę nową rolę, w końcu jest aktorem, ale jak długo?

Zasnęła. Ucisk, który czuła w głowie, ustąpił i wróciła przeszłość. W chaotycznych, ale bardzo wyraźnych obrazach. Wieko drgnęło i uchyliło się na centymetr zaledwie, ale to wystarczyło.

Był rok 1980. Ona była dzieciakiem w stroju pokojówki, a on wcieleniem wyrafinowania. Czarny lniany garnitur, luźna biała koszula, wiązana pod szyją na sposób rosyjski. Była to inscenizacja *Wujaszka Wani*, w której on grał doktora Astrowa. Ona była pomocnicą inspicjenta i musiała przestawiać niektóre przedmioty na scenie, co było częścią przedstawienia, stąd jej kostium.

Kiedy w czasie drugiego aktu uprawiała z nim seks w toalecie, na tyłach sceny, jej stopa uwięzła w wiadrze na mopa. Była młoda, ale nie głupia i wiedziała, że to nie Dick Whelan, aktor, zabawia się z Arlene Morrisey, pomocnicą inspicjenta, tylko doktor Astrow występuje przeciw swej szlachetnej naturze i socjalistycznym przekonaniom, pieprząc rosyjską wieśniaczkę, w myśl naturalnego porządku rzeczy, który od dawna należy już do przeszłości. Władza. Napawał się władzą.

Traktował ją jak służącą. Po wszystkim wytarł się w jej fartuszek, a ona, instynktownie rozumiejąc, na czym polega ta gra, dygnęła i powiedziała: „Dziękuję panu”.

Zacząli robić to co wieczór, zawsze o tej samej porze, podczas drugiego aktu. Poza tym nie rozmawiali ze sobą, traktowali się jak powietrze. Arlene podejrzewała, że Dick czuje się zażenowany jej młodym wiekiem i boi się, czy ludzie nie uznają, że wykorzystuje dzieci. Nie nosiła majtek, co ułatwiało mu poszukiwania w sutych warstwach halek. Prowadził ją, jak partner w tańcu, manewrując nią w różne strony, a ona, zupełnie jakby została wcześniej wyszkolona, posłusznie wykonywała jego nieme instrukcje. Robili to na wszelkie sposoby możliwe w tej ciasnej izdebce, ale on nigdy jej nie pocałował. Najbardziej lubił fellatio. Wiedziała o tym, bo uśmiechał się i głaskał ją po głowie, kiedy to robiła i marszczyła nos, czując ten dziwny smak. Czułość, aaach! Poświęcenie samo w sobie jest nagrodą.

Po ostatnim przedstawieniu *Wujaszka Wani* Arlene poszła wraz z aktorami i ekipą techniczną na pożegnalne przyjęcie do restauracji niedaleko Quays. Zastanawiała się, czy odezwie się do niej, czy to będzie koniec ich znajomości. Przy ludziach traktował ją tak samo jak innych. Zaczęła flirtować z jednym z pracowników technicznych, żeby wzbudzić w nim zazdrość. Nie trafiła. Nie należał do zazdrośników. Brakowało mu wyobraźni.

Koło czwartej nad ranem, po Bóg wie której butelce wina, kiedy osuwał się już powoli na podłogę, Arlene wykonała decydujący ruch. Postawiła go na nogi i zaprowadziła do taksówki, którą zawiozła go do swojego mieszkania w Stoneybatteer.

Taksówkarz pomógł jej wnieść go do środka.

- Twój chłopak nawalił się jak meserszmit - zauważył, kiedy wlekli go przez drzwi, a blade szare światło poranka zaczynało właśnie rozświetlać niebo.

- Dzięki - powiedziała Arlene, wychodząc za taksówkarzem, żeby zapłacić za kurs i dać napiwek za pomoc.

- To nie mój interes - powiedział taksówkarz - ale widuję tego gościa dość często i zawsze wraca do domu z innym kwiatuszkiem. Wyglądasz na miłą dziewczynę. Tylko cię ostrzegam.

Obcy ludzie na ulicy ostrzegali ją przed Whelanem. Nawet psy w ciasnych zaułkach go nie lubiły i szczekały na niego niestrudzenie. Zwaliała go na łóżko, gdzie natychmiast odzyskał świadomość.

- Dzięki, Olga.

- Kto to jest Olga? - zapytała.

- Ty jesteś Olga, rosyjska służąca mojego znajomego, która lubi mi dogodzić od czasu do czasu.

- Jestem Arlene - powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

- Arr - le - na, dobre imię dla rosyjskiej wieśniaczki - wymamrotał.

- Raczej dla rosyjskiej królowej, która będzie ci panować - odparła słodko, wślizgując się nago do łóżka.

Tak to się zaczęło. Arlene uważała, że jest cudownie. Uważała, że przydarzyła jej się najcudowniejsza rzecz pod słońcem.

Policja

Arlene wróciła do domu i zastała na progu dwóch policjantów. - Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Szukamy Arlene Morrissey.

- To ja.

- Mamy do pani sprawę.

- Och, tak mi przykro, już od dawna miałam zamiar zapłacić ten mandat, ale jakoś się nie składało, naprawdę bardzo mi przykro, tylko że akurat jestem taka zajęta i...

- Jaki mandat? - zapytał starszy policjant.

- Za parkowanie w niedozwolonym miejscu, nie? Chyba?

- Nie wiem nic o żadnym mandacie.

- Och, w takim razie, ja też nic o tym nie wiem - stwierdziła Arlene.

- Chodzi o te telefony, które się pani zdarzają. Moje nazwisko Ryan, a to detektyw sierżant O'Hanlon - powiedział ten młodszy.

- Och, wiecie o tym? Proszę, wejdźcie na chwilę, panowie. Razem wdrapali się po schodach do mieszkania Arlene. Cartwrightowie sprawiali wrażenie, jakby się właśnie kłócili. Mówili podniesionymi głosami i choć nie sposób było rozróżnić słów, kakofonia ta odznaczała się rytmem typowym dla awantur.

Zaproponowała policjantom herbatę i postawiła czajnik na gazie. Bez względu na pogodę, a tego dnia było dość chłodno, policjanci zawsze wyglądali, jakby byli za grubo ubrani. Sierżant O'Hanlon miał koło sześćdziesiątki i był dość wysoki. Ryan był niższy od Arlene. Miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć. Musiał dostać się do policji już po tym, jak przestali dyskryminować kurdupli.

- A więc, co panowie wiedzą? - zapytała Arlene.

- Cóż, na tym etapie niewiele - powiedział sierżant O'Hanlon. - Tyle, co powiedziała nam pani przyjaciółka, pani Coole.

- Isobel poszła z tym na policję?

- Tak, zadzwoniła do nas na Pearse Street wczoraj wieczorem. Powiedziała, że pani jest zbyt zapracowana, żeby się tym zająć, więc poprosiła ją pani, żeby zrobiła to w pani imieniu. Jakaś nieznana pani osoba lub osoby nękają panią uporczywymi telefonami.

- Och, eee, no tak. Po prostu jestem trochę zaskoczona.

- Sądziłem, że pani prosiła ją, żeby do nas zadzwoniła.

- Cóż, właściwie niezupełnie, ale to świetnie, że panowie przyszli.

- Chciałbym najpierw zapytać, czy ta pani Coole, która do nas dzwoniła, to ta pisarka?

- Tak, tak się składa. Tak.

- Ta która napisała *Szczerą i W kącicie*?

- Czytał pan jej książki?

- Cóż, nie, właściwie to nie, ale moja córka - ma dwadzieścia jeden lat - uważa je za najlepszą rzecz pod słońcem. Rosa, to znaczy moja córka - żona dała jej na imię Rosa, bo jej rodzina miała komunistyczne przekonania - uwielbia jej książki i już nie może się doczekać następnej. Śmieje się przy nich w głos. Przychodzi do kuchni, do mnie i do żony, i czyta nam fragmenty. Muszę przyznać, że są naprawdę śmieszne. Ale także prawdziwe. Śmieszne i prawdziwe. Podobają się pani?

Cholera! Arlene czuła, że w końcu będzie musiała przeczytać te pieprzone książki.

- O tak. To wspaniała pisarka.

- Rosa słyszała, że wybieram się do pani dziś wieczorem i poprosiła mnie... - wyciągnął zmaltretowane egzemplarze w miękkich okładkach obu książek Isobel. - Może mogłaby pani poprosić ją o podpisanie?

Arlene zatkało.

- Przepraszam za kłopot - powiedział sierżant O'Hanlon -nie potrafię jej niczego odmówić. Rozumie pani, ona choruje na białaczkę.

- Jasne, jasne, proszę mi je dać. Zajmę się tym. - Arlene miała wrażenie, że dała się wrobić.

- Dziękuję, pani Morrissey. Dziękuję. A wracając do tych telefonów...

Arlene położyła książki na stoliku.

- No więc, wydaje mi się, że ten człowiek zadzwonił po raz pierwszy jakieś pół roku temu. Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi. Nie pamiętam dokładnie, co mówił. Uznałam, że to tylko głupi dowcip. Później, całkiem niedawno, znowu się zaczęło. W sumie dzwonił jakieś sześć czy siedem razy, z czego cztery razy w ciągu ubiegłego tygodnia.

- A co mówi?

- Na początku powtarzał zazwyczaj coś jak: „Halo, strasznie mi głupio, że dzwonię w taki sposób, naprawdę, strasznie mi głupio...”, a potem odkładał słuchawkę, ale ostatnio zaczął komentarze na mój temat. Mówił, gdzie i kiedy mnie widział i takie tam. Ostatnim razem powiedział: „Widziałem panią na Grafton Street w czerwonej sukience. Nie było w niej pani do twarzy” czy coś w tym stylu. To raczej aluzje niż groźby. Jest w nich jakaś dziwna przepraszająca nuta. Są dziwaczne.

- Ma pani jakieś podejrzenia, kto to może być? - spytał Ryan.

- Żadnych, naprawdę. Muszę przyznać, że jego głos wydaje mi się znajomy, ale nie potrafię dojść, do kogo należy.

- Ma pani jakichś wrogów? Jest ktoś, kto mógłby chcieć panią zastraszyć?

- No wie pan, jestem producentem. Mam więcej wrogów niż przyjaciół. Odwałam całą tę miłą robotę, jak zwalnianie ludzi i walenie ich młotkiem po głowie tak długo, aż zaczną przestrzegać kontraktów. Niezliczona liczba ludzi zapewne chowa do mnie urazę. Pamiętam jednego aktora, którego wywaliłam, a jego pożegnalna kwestia brzmiała: „Jak mi naprawdę odbije, lepiej załóż sobie dobrą zasuwę na drzwi, bo teraz ja zagram Hannibala Lectera”.

- Ten gość wygląda mi na naszego głównego podejrzanego.

- Nie, nie sędzę. To tak naprawdę mały kotek, który ma bujną wyobraźnię i myśli, że jest tygrysem. Proszę pamiętać, że to teatr. Dramat zasadza się na konflikcie, którego natężenie nie jest bez znaczenia.

Sierżantowi podobała się ta kobieta. Była odważna. Nie brała całej tej sprawy zbyt poważnie. Przypuszczał, że w ogóle nie prosiła Isobel Coole o telefon na policję. Drażył jednak temat, na wszelki wypadek. Skoro już tu przyszedł, może równie dobrze zbadać tę sprawę.

- Więc nie ma nikogo, kogo mogłaby pani wskazać palcem?

- Nikogo, a zarazem mnóstwo osób. Większość ludzi, których znam, jest trochę dziwna. To może być każdy z nich, możliwe też, że wszyscy razem się na mnie uwzięli.

- Żadnych narzeczonych, z którymi nie rozstała się pani w zgodzie? - spytał sierżant O'Hanlon.

- Nie, naprawdę. Było ich trochę i na ogół nie rozstawałam się z nimi w zgodzie, ale z żadnym się specjalnie nie awanturowałam.

- Więc nikt konkretny nie przychodzi pani do głowy?

- Nikt, naprawdę.

- On zawsze zostawia wiadomość, nigdy nie rozmawia z panią osobiście? - spytał Ryan.

- Tak. Zazwyczaj dzwoni w ciągu dnia, czasami w nocy, ale zawsze wtedy, kiedy nie ma mnie w domu. Podejrzewam, że on woli nagrywać wiadomości niż ze mną rozmawiać. Miałam też kilka głuchych telefonów późnym wieczorem, wie pan, odbierałam, ale nikt się nie odzywał, chociaż, prawdę mówiąc, podejrzewam o to moją znajomą, Carmillę. Ma problem z alkoholem i kiedy się upije, często wydzwania w środku nocy. Sądzę, że jest trochę nie zrównoważona psychicznie po tym, jak została nazwana lesbijską wampirzycą. Carmilla. Ona dzwoni też na komórkę. Świr dzwoni tylko na fortepian.

- Na fortepian?

- Tak, mój domowy telefon, ten tutaj, jest w kształcie fortepianu. Proszę spojrzeć.

Szeregowy Ryan i sierżant O'Hanlon podeszli, żeby zbadać telefon. Rzeczywiście, był w kształcie fortepianu. Na klawiaturze widniały cyfry od jednego do dziewięciu, a po podniesieniu klapy można było do niego mówić.

- Pani Morrissey, odnoszę wrażenie, że to, co panią spotkało, można istotnie określić jako telefoniczny terroryzm - powiedział sierżant O'Hanlon.

- Patrzcie - zawołał Ryan, wskazując na migające światelko automatycznej sekretarki.

- Jest wiadomość. Cholera, zapomniałam sprawdzić, kiedy weszłam - powiedziała Arlene i wcisnęła guzik. Jak na zamówienie był to Świr.

- Witaj Arlene, widzę, że twój mąż-aktor wrócił na scenę. Jakie to miłe. Richard. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, ale na twoim miejscu byłbym ostrożny. Brzdęk.

- Zawsze jest taki. Bardzo spostrzegawczy. Bardzo zwięzły. Zaraz, zaraz. Skąd on wie, że byłam żoną Richarda? Niewiele osób o tym wie.

- Żoną? Nie mówiła pani, że miała męża - powiedział sierżant O'Hanlon.

- Nie pytał pan o to. Zresztą to były mąż.

- Czy to może być on? Z naszych doświadczeń wynika, że takie telefony i inne formy nękania kobiet to często sprawka ich mężów.

- Nie sądzę. Bardzo dobrze znam jego głos, na pewno bym go rozpoznała.

- Ale jeśli to aktor, może być mistrzem kamuflażu - stwierdził szeregowy Ryan.

Sierżant O'Hanlon spojrział na niego smutno. Ilekroć wspólnie przeprowadzali wywiad, Ryan zawsze musiał dać pokaz swojej bezgranicznej głupoty.

- Możemy wziąć taśmę na Pearse Street? Damy ją psychiatrze i zobaczymy, z kim mamy do czynienia. Jeśli znowu nagra jakieś wiadomości, proszę je zachować i przesłać do nas. Zastanowimy się, czy nie założyć namiaru na linię - powiedział sierżant O'Hanlon.

Po wyjściu policjantów Arlene wzięła ze stolika zaczytane egzemplarze książek Isobel. Oba były starannie podpisane na wewnętrznej stronie okładki „Rosa O'Hanlon”. Otworzyła *Szczera*, pierwszą powieść Isobel. Została zadedykowana ojcu. *W kacie* - Conorowi. Postanowiła zacząć od *Szczerej*. Zrobiła sobie filiżankę herbaty i usiadła na kanapie.

Przeczytała dokładnie dwie strony, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Podeszła do interkomu. Na ekranie była Isobel. Ani wesoła, ani smutna. Nieprzenikniona, dla odmiany.

- Już schodzę - powiedziała Arlene, nagle bardzo zadowolona z towarzystwa. Zabawne, zawsze tak lubiła samotność, a teraz pędzi po schodach, żeby otworzyć drzwi. Musi w końcu naprawić ten domofon. To śmieszne, że za każdym razem, kiedy ktoś zadzwoni, ona musi pokonywać trzy piętra, żeby go wpuścić.

Isobel stała na progu obok trzech walizek i kilku pudeł na kapelusze, z suszarką do włosów i starym pluszowym misiem w lewej ręce, a butelką czerwonego wina w prawej.

- Odeszłam od niego - powiedziała. - To była najlepsza rada, jaką w życiu dostałam. Dziękuję ci - powiedziała i pocałowała Arlene w policzek.

Arlene patrzyła na nią, przerażona.

- Te rzeczy! - powiedziała, spoglądając na stojące na chodniku bagaże i rupiecie. - Masz zamiar u mnie mieszkać?

- Tylko kilka dni. Nie zadzwoniłam, żeby zapytać, czy mogę, bo zupełnie nie miałam wyboru. Po prostu musiałam zdać się na twoją łaskę.

- Ale sądziłam, że to ty jego miałaś wykopać z domu?

- Cóż, to było jego mieszkanie, więc naprawdę nie mogłam.

Wybieranie Nuali

A więc, co o tym sądzisz? - spytała Arlene. - Tak, jest całkiem w porządku. Określenie to mogłoby się wydawać raczej letnie, ale w ustach Corinne Cooper była to najwyższa pochwała. Arlene nigdy nie słyszała, żeby Corinne cokolwiek się podobało. Sprawiała wrażenie, jakby uważała, że wszystko jest do niczego.

Arlene często wpadała na nią na premierowych przyjęciach, na których Corinne mówiła rzeczy w stylu: „Czuję się tak, jakbym została zakuta w dyby, bez prawa do rozrywki i satysfakcji zawodowej”.

- Przypuszczam, że chciałabyś zaproponować mi rolę Nuali.
- Oczywiście.
- Kolejna nastolatka. Mam dwadzieścia pięć lat, a ciągle dostaję role nastolatek.
- Dlatego, że wyglądasz tak młodo. Powinnaś być wdzięczna.
- Nigdy nie jestem wdzięczna za role - odparła Corinne.
- Nie miałam na myśli roli, tylko twój wygląd, za który powinnaś być wdzięczna Bogu.
- Jasne. Ale ta mała ma dziewiętnaście lat, a ja już zdążyłam zapomnieć, jak to jest. Czy dziewiętnastolatki jeszcze lubią lizaki? Czy już miesiączkują?
- Wynajmiemy kilku ekspertów, którzy udzielą ci fachowych rad.
- Podoba mi się ta scena, w której Nuala powtarza wierszyki dla dzieci, jak jakąś mantrę. Najwyższa pochwała, w rzeczy samej.
- Richard Power podpisał już kontrakt. Będzie grał ojca.
- Co? Richard Power? Żartujesz!
- Nie, nie żartuję.
- Jak, do diabła, ci się to udało?
- Mam swoje sposoby. Sztuka bardzo mu się spodobała, a poza tym miał ochotę popracować trochę w Irlandii, żeby odpocząć od rozpędzonej karuzeli show biznesu.
- Sztuka rzeczywiście jest niezła. Przeczytałam parę kawałków mężowi i nawet jemu się podobały.
- A rola? Naprawdę masz już dość nastolatek?
- Może to będzie moja ostatnia nastolatka. Ostatnia i najlepsza. Stworzę prawdziwą kreację, ale w przyszłym sezonie powiem, że przyjmuję tylko role dojrzałych kobiet z przeszłością.
- Świetnie, świetnie. Marcus będzie zachwycony. Powiedział, że jesteś jedyna do tej roli.

Nie była to do końca prawda. Marcus doceniał wprawdzie talent Corinne, ale to Isobel uparła się, żeby zagrała tę rolę. Widziała Corinne na scenie i uznała, że tylko ona może być Nualą. Arlene wiedziała, dlaczego. Corinne podobnie jak Isobel była wysoka i szczupła i miała długie, proste, czarne włosy. Z pewnej odległości można ją było wziąć za pisarkę. Isobel nie zdawała sobie sprawy, jak łatwo można się było domyślić, że chce, by główną rolę w jej sztuce zagrał ktoś tak bardzo do niej podobny, ale Arlene natychmiast się zorientowała, w czym rzecz i doszła do wniosku, że to dobry pomysł. Pokaz tak wybujałego narcyzmu wydał się Arlene niezwykle atrakcyjny, miał w sobie jakieś osobliwe piękno.

A jednak między Isobel i Corinne była jedna wielka różnica. Oczy Isobel patrzyły prosto i otwarcie. Oczy Corinne, zimne jak szklane kulki, były narzędziami handlu wymiennego i rywalizacji.

- Jak udało ci się zdobyć Richarda Powera? - Corinne, wyraźnie pod wrażeniem, lekko zmrużyła oczy.

- Przeczytał sztukę i powiedział, że to najlepsza rzecz jaką czytał od wieków i że koniecznie musi zagrać tę rolę, a potem zadzwonił jego agent i poprosił mnie o to. Zgodziłam się, oczywiście. Darowanym gwiazdom filmowym nie patrzy się w zęby.

Marcus dąsał się przez parę dni po tym, jak Corinne przyjęła rolę. Nie dlatego, że jej nie chciał, w gruncie rzeczy uważał, że będzie bardzo dobra, ale żałował, że sam nie wpadł na pomysł, żeby ją zatrudnić. Nie miał zamiaru ustąpić, a w każdym razie nie miał zamiaru ustąpić zbyt szybko i bez oporu. Poprzez swą niechętną zgodę zdobył kilka punktów, które zamierzał wykorzystać w emocjonalnym szantażu, kiedy znowu pojawi się jakaś kwestia sporna.

- No - powiedziała Arlene do ściany, kiedy Marcus w końcu się poddał - będę musiała mu za to zapłacić. Narzucanie reżyserowi obsady nigdy nie uchodzi na sucho.

Prace domowe

Arlene szła do domu na Baggot Street zadowolona z obrotu, jaki przyjęły sprawy. Miała już aktorów do dwóch głównych ról, Marca Delaney (Richard Power) i Nuali Delaney (Corinne Cooper), miała też trzy czwarte potrzebnego budżetu, wliczając w to Nagrodę Teatru Lunar i dotację z Rady Sztuki. Fakt, że w sztuce zagra Richard, był gwarancją zdobycia reszty pieniędzy. Jego nazwisko otwierało wiele drzwi. Nie miała się o co martwić. Teraz musiała tylko zaatakować którąś ze swoich ofiar.

Skręciła i zeszła nad kanał, ulegając jego liściastemu czarowi. Był już koniec kwietnia i pogoda poprawiała się z dnia na dzień. Nawet kaczki wydawały się kwakać z ulgą i zadowoleniem. Arlene ruszyła wzdłuż kanału, rozkoszując się wilgotnym powietrzem. Najbardziej lubiła powietrze na przełomie pór roku.

Usiadła na ławce przy posągu Paddy'ego Kavanagha*.

*** Irlandzki poeta z XX wieku, piszący o życiu wsi (przyp. red.).**

- No, jak się dzisiaj masz, ty długi, chudy wieśniaku - powiedziała, uśmiechając się do niego. Widok ptasiego gówna spływającego mu z czoła na oko wstrząsnął nią do głębi. Wyciągnęła z kieszeni kilka chusteczek higienicznych i zaczęła je ścierać. Udało jej się usunąć prawie wszystko, zeszła jednak nad kanał i zmoczyła chusteczki, żeby zakończyć swoje zadanie na mokro. Przywróciła Paddy'emu godność. Był tylko posągiem, ale na pewno nie lubił mieć na głowie ptasich gównien. Choć w przypadku posągów to, można powiedzieć, ryzyko zawodowe. Biedny stary Eros na Piccadilly. Bóg miłości i gołębic odchodów.

- Widziałeś te kaczki, Paddy? - powiedziała. - Czyż to nie wspaniałe życie?

- A co, do cholery, mogę widzieć innego, skoro siedzę tu unieruchomiony całymi dniami? Nie ma tu nic, na co mógłbym patrzeć, poza tymi pieprzonymi kaczkami. - Rozmowy z posągiem były jedną z ulubionych rozrywek Arlene. Paddy był dla niej prawie realną osobą. Niemal oddychał.

Tuż obok pod troskliwą opieką rodziców tłoczyły się grupki piskląt krzyżówek. Biedna kaczka, pomyślała Arlene, taka bezbarwna i nudna w tych swoich burych piórkach, podczas gdy niebieska aksamitna głowa kaczora tak pięknie lśni w słońcu. Ciekawe, dlaczego kaczory nie próbują nawiać, zostawiając porzucone kaczki na łasce opieki społecznej? Kiedy nad tym rozmyślała, cztery kaczory odleciały w dół kanału, wesoło trzepocząc skrzydłami. Naprawdę wyglądały tak, jakby udało im się wyrwać do pubu.

Arlene uśmiechnęła się do Paddy'ego Kavanagha, spoglądając na jego czyste czoło i oko. Po spełnieniu dobrego uczynku wypełniło ją ciepłe uczucie zadowolenia. Współczucie dla posągów. Podobało jej się to.

- Cześć, Arly! - zawołała Isobel z kuchni. Chwilę później weszła do salonu w kuchennym fartuszkach i z zakasnymi do łokci rękawami. Arlene była pewna, że noszenie tego koszmarnego niebieskiego fartuszka w stylu lat pięćdziesiątych dostarcza Isobel perwersyjnej satysfakcji seksualnej. Nie było chyba innego powodu, żeby miała go zakładać.

Isobel mieszkała u niej od sześciu tygodni. Awansowała i z sofy przeniosła się do malutkiej rupieciarni, podczas gdy graty, które przywiozła ze sobą, zostały upchnięte na strychu. Arlene nie wiedziała, czy jej się to podoba, czy nie. Teoretycznie nie mogło jej się to podobać. Arlene Morrissey zawsze była niezależna. Ale zaistniała sytuacja miała swój urok. Isobel samozwańczo zajęła pozycję szefa kuchni i gospodyni, aby, jak się wyraziła, „zadośćuczynić za to, że płacze się pod nogami” i w efekcie na Arlene codziennie czekał wspaniały posiłek. Poza tym Isobel zainstalowała w rupieciarni swój komputer i każdego popołudnia znikła, żeby trochę popracować, więc właściwie było tak, jakby jej nie było.

- Jak minął dzień w biurze, kochanie? - spytała Isobel, ironicznie unosząc brwi.

- Padam ze zmęczenia, skarbie, padam ze zmęczenia - odpowiedziała Arlene z kpiącym uśmiechem.

Był piątek i Isobel przygotowała coś szczególnie wybornego.

- Mały aperitif?

- Bardzo chętnie, nalej nam po dużej whisky, z lodem.

- Kupiłam butelkę wina - powiedziała Isobel. - Twój przyjaciel z delikatesów doradził mi, które wziąć. Martin? Tak się nazywa? Mam wrażenie, że bardzo dobrze zna twoje upodobania.

- Zawsze mu mówię, co sędzę o winie, które u niego kupiłam. Konsumentencka opinia publiczna! On jest w porządku. Trochę dziwak, ale w sumie w porządku.

Arlene podeszła do okien i zaczęła otwierać jedno po drugim. Wychodziły na kanał, który migotał pięknie w wieczornym słońcu. Isobel zabrała się za wiosenne porządki z użyciem ogromnej ilości rozmaitych silnie perfumowanych sprayów i nablyszczaczy. Zadała sobie tyle trudu i była z siebie taka zadowolona, że Arlene nie miała serca powiedzieć, jak uciążliwy jest dla niej „bukiet lawendy” czy jak tam nazywał się ten zapach. Zamiast tego wystawiła głowę przez okno i zaczęła głęboko wdychać spaliny.

Isobel udało się nawet zlikwidować smród kociej uryny unoszący się dotychczas na korytarzu piętro niżej. Wypożyczyła profesjonalny odkurzacz piorący i wyczyściła całą klatkę schodową, z góry na dół. Arlene właściwie brakowało tego odoru. Tam, gdzie w grę wchodziły zapachy, Isobel okazała się demonem. Nawet zaniedbana łazienka Arlene została zaatakowana Jifem. Z krutek odpływowych zostały usunięte swojskie włosy; wanna lśniła jadowitą bielą; zbiór butelek ze zmętniałymi resztkami szamponu powędrował do kosza.

- Arlene, po co ci sześć butelek ze starym szamponem na dnie?

- Żeby się nie zmarnował - odparła potulnie.

Podobny los spotkał ściereczki do naczyń. Isobel uznała, że stanowią zagrożenie dla zdrowia publicznego.

Salon został odkurzony na śmierć, łącznie ze wszystkimi niewinnymi pajęczynami.

- A mój ekosystem? - protestowała Arlene. - Te pająki jedzą muchy, które wlatują tu latem, kiedy otwieram okna.

Meble zostały odsunięte, a miejsca, na których stały, dokładnie odkurzone, pierwszy raz od czasu, kiedy Arlene kupiła dywan. Isobel patrzyła łakomym okiem na sypialnię Arlene, ale tu Arlene postawiła szlaban. Nie miała nic przeciwko temu, żeby mieszkanie wyglądało jak salon meblowy albo reklama Mr Muscle, ale sypialnia miała nadal przypominać psie legowisko. Ilekroć zostawiła otwarte drzwi, widziała, jak Isobel spogląda do środka z trochę nadąsanym wyrazem twarzy, dając do zrozumienia, że jest bardzo nieszczęśliwa, nie mogąc się do niej dostać.

Isobel wróciła z kuchni, niosąc dwie szklanki z whisky i tackę z lodem. Zmieniła niebieski fartuszek na krótszy, różowy. Arlene osłupiała. To jakaś chorobliwa obsesja na punkcie fartuszków, bez wątplenia. Isobel wierzy zapewne, że jeśli będzie się ubierać jak wzorowa pani domu, na pewno stanie się wzorową panią domu. Pozytywne myślenie czy jak to się tam nazywa.

Arlene zrzuciła buty na wysokich obcasach i położyła stopy na stoliku.

- Och, jeszcze coś - powiedziała Isobel. - Zdaje się, że twój Świr znowu dzisiaj dzwonił. Odebrałam, ale on tylko westchnął dwa razy i odłożył słuchawkę. Myślę, że to był on.

- Biedny pajac. Przyzwyczał się do automatycznej sekretarki, więc był pewnie bardzo rozczarowany, że odezwała się ludzka istota.

- Nie jest chyba zachwycony tym, że tu mieszkam. Te westchnienia wydały mi się bardzo rozgoryczone.

- Miał pecha, biedak. Nie mów o nim „twój Świr”. Skąd wiesz, że nie wydzwania do wszystkich kobiet w okolicy?

- To zdumiewające, że ktoś robi coś takiego. Chciałabym dostać się do głowy takiej osoby. Myślę, że mogłabym to wykorzystać w mojej następnej powieści. Wprowadzić do niej postać uzależnioną od nękania kogoś anonimowymi telefonami.

Arlene przemilczała tę uwagę i wyciągnęła się na kanapie.

- Dzięki Bogu, już piątek. Mam zamiar zostawić to wszystko na cały weekend i porządnie odpocząć. A jak tobie minął dzień?

- Och, świetnie - odparła Isobel. - Cały dzień pracowałam nad sztuką. Zastanawiałam się nad sugestiami Marcusa i wydaje mi się, że teraz wszystko zaczyna się składać w jedną całość. Mogę ci pokazać kawałek?

- Jasne. Umieram z ciekawości.

- Mimo że jest piątkowy wieczór i w ogóle weekend?

- Mimo to. Czytanie twojej sztuki to przyjemność, a nie praca.

- Ale czy jesteś tego naprawdę pewna? Bo...
- O Jezus, jeśli się nie zamkniesz, nie będę czytać.
- Przepraszam - uśmiechnęła się Isobel i wyszła z pokoju.

Arlene wychyliła swoją whisky. Aaaa! Isobel wróciła z plikiem kartek.

- To nowa wersja pierwszej sceny. Wydaje mi się, że teraz jest o wiele lepsza. Pójdę tylko nastawić solę.

Isobel była doskonałą kucharką. Gotowała bardzo zdrowe rzeczy. Ryby z wody z zieloną fasolką. Kurczęta duszone w białym winie, podane z włoskimi pomidorami. Nigdy nic tak wulgarnego jak ziemniaki. Wszystko niskokaloryczne. Napomknęła nawet pewnego razu, że Arlene mogłaby zrzucić parę kilo. Wyrzuciła wielki słój taniego majonezu, który stał w lodówce i teraz, ilekroć potrzebny był majonez, ukręcała go ręcznie. Wyrzuciła także wszystkie puszki, które były podstawą diety Arlene - fasolkę, przecier z groszku, konserwowe zupy. Omal nie zwymiotowała na widok puszki irlandzkiego gulaszu, która czaiła się na tyłach kredensu.

- Chyba nie jadasz gulaszu z puszki?
- Jadam wszystko z puszek.
- Ależ w konserwach jest pełno różnych „E” i glutaminian sodu.
- Tak się składa, że lubię glutaminian sodu. To jeden z moich ulubionych składników.

Od tego dnia Arlene nie widywała więcej konserw. Pewnego wieczoru była tak głodna po gotowanych szparagach Isobel, że zeszła na dół do budki przy moście i kupiła wielką smażoną kiełbasę z cebulą, byle tylko czymś się napchać. Nie miała serca powiedzieć Isobel, co zamierza, powiedziała jej więc, że idzie na mały spacer. Kuchnia Isobel była wyśmienita, ale minimalistyczna.

Usiadła na ławce obok Paddy'ego i pożarła szybko frytki, z rozkoszą zlizując tłuszcz z palców.

- Paddy, ta kobieta mnie głodzi. Czuję, że chudnę.
- Przydałoby ci się zrzucić parę kilo. Nie lubię, kiedy kobieta wygląda od pasa w dół jak kaczka.
- Wielkie dzięki.

Wracając do domu, natknęła się na grupkę młodych ludzi o ufarbowanych na fioletowo włosach, którzy przystanęli pod mostem i pili cydr. Jakież to niemodne. Czy ci młodzi ludzie nie wiedzą, że należą do pokolenia E? Ktoś powinien im to powiedzieć.

Arlene pociągnęła kolejny łyk whisky i spojrzała na pierwszą stronę, którą podała jej Isobel.

NA KSIEŻYCU

Nowa sztuka Isobel Coole

AKT 1, SCENA 1

Dom Delaneyów. Światło skierowane na NUALĘ, która zbiera naczynia ze stołu po podwieczorku. Jej matka COLLEEN i ojciec MARK siedzą przy stole. Nuala ma dziewiętnaście lat, jej matka - czterdzieści pięć, a ojciec - pięćdziesiąt. Jest rok 1983. Nuala jest ubrana z przesadną skromnością, w długą brązową spódnicę i szary sweter. Zbierając naczynia, nuci coś melodyjnie. Mark przygląda jej się z zadowoleniem.

Mark: Czy to nie wspaniałe, kiedy ojciec może być tak cholernie dumny ze swojej córki?

Colleen: Jeszcze kawy?

Mark: Tak cholernie dumny. Tak, dzięki, mamuśka.

Colleen: Tak.

Mark: Pierwsza nagroda!

Nuala: Och, tato, daj już spokój.

Mark: Zawsze wiedziałem, że ona ma talent. To po mojej rodzinie, oczywiście. Moja matka była znana w Sligo z pięknego śpiewu. Też miała sopran. Ale nigdy nie grała na żadnym instrumencie.

Colleen: Wspaniała dziewczyna.

Mark: Nie cieszysz się teraz, że posłałem cię na lekcje fortepianu, kiedy byłaś mała?

Colleen: (*cicho*) To ja ją posłałam.

Mark: Złoty medal. To wielki sukces.

Nuala: Chciałabym pójść z Cathy do kina dziś wieczorem.

Colleen: Zapytaj taty. Mark: Śmietanka?

Nuala biegnie po śmietankę.

Mark: Cukier. Zabrałaś go ze stołu.

Nuala biegnie po cukier.

Mark: A co to za film?

Nuala: *Ostatnia syrena*

Mark: Nie słyszałem o takim filmie.

Nuala. To amerykański film. Bez ograniczeń.

Mark: O czym to jest?

Nuala: Dramat rodzinny.

Mark: Więcej kawy.

Colleen nalewa kawę.

Mark: No dobrze, kochanie. Ale chcę, żebyś jutro wieczorem poszła ze mną na spotkanie. Będziemy zbierać pieniądze na nasz cel.

Klepie ją po pośladku.

Nuala: Oczywiście, tato.

Mark: Jesteś taka zdolna, kotku. Jestem z ciebie dumny.

(Jest wyraźnie wzruszony.)

Nuala przechodzi na przód sceny, na prawą stronę. Powoli zdejmuje ubranie; najpierw szary sweter, potem białą bluzkę, pod którą ma obcisły błyszczący top bez ramiączek. Ściąga brązową spódnicę, pod nią nosi bardzo krótką spódniczkę i pończochy na pasku. Pochyliła się do przodu i rozpuszcza włosy. Rozczesuje je w tej pozycji, po czym staje prosto, odrzucając głowę do tyłu, rozwichrzone włosy spadają jej na ramiona. Na wargi nakłada ciemnoczerwoną szminkę.

Z ukrytej pod krzakiem z boku sceny plastikowej torby wyciąga wysokie za kolana buty. Wrzuca ubrania do torby, które zdjęła i chowa ją pod krzakiem. Idzie na środek sceny, gdzie dołącza do niej CATHY, ubrana w podobnym stylu. Z oddali słychać nadjeżdżający samochód. Nuala wyciąga dłoń z kciukiem skierowanym ku górze. Błyskają światła samochodu, który przejeżdża, nie zatrzymując się.

Nuala: Cholera.

Cathy: Skurwiel! Twoja matka ssie fiuty w piekle!

Nuala zaczyna nucić coś pod nosem. Cathy poprawia pas do pończoch. Nadjeżdża kolejny samochód. Dziewczyny wystawiają kciuki. Słychać, jak samochód zatrzymuje się z piskiem opon.

Nuala: Lecimy! Cathy: Szybko!

Biegną na lewo i schodzą ze sceny, żeby wsiąść do samochodu.

Dziewczyny wychodzą na scenę z prawej strony, w taki sposób, jakby wysiadały z samochodu. Mówią do niewidocznego kierowcy, który je podwiózł.

Cathy: Nie, dzięki. Spotykam się tu z moim chłopakiem, ma dwa metry wzrostu.

Nuala: Dziękujemy za podwiezienie.

Cathy: Co by dziewczyny robiły bez takich rycerzy w lśniącej zbroi?

Samochód odjeżdża.

Cathy: Kurde! Podarłam se pończochy!

Zmiana oświetlenia, migają reflektorki charakterystyczne dla dyskotek wczesnych lat osiemdziesiątych. Gra muzyka i obie dziewczyny zaczynają tańczyć w bardzo wyzywający sposób. Poruszają ramionami, eksponując swą kobiecość i seksualność. Rozbrzmiewa piosenka Pat Benatar *Miłość to pole bitwy*:

Jesteśmy młodzi, serce przy sercu stoimy, żadnych obietnic, żadnych żądań oboje samotni miłość to pole bitwy o, o, o, o, o.

Hmm, pomyślała Arlene. Dobrze. Podobało jej się. Nawet bardziej niż pierwsza wersja. Bez wstępu, ale od razu wiadomo, o co chodzi. Jak cios w twarz. Upiła łyk whisky.

- *A table* - zawołała Isobel z kuchni. A potem jeszcze - I co? - Biała jak ściana. Strasznie się denerwowała, kiedy pokazywała komuś swoją pracę. Zdumiewające. Ta dziewczyna miała wielki talent, odniosła sukces, a była tak niepewna. Arlene zauważyła, że kiedy Isobel podawała rybę, jej ręka lekko drżała.

- Świetne! - powiedziała Arlene.

- Podoba ci się?

- Tak. Jest super. Natychmiast trafia w sedno, od razu ukazuje dwoistość Nuali. Intrygujące i poruszające jednocześnie. Szybciej dociera do wszystkich wątków sztuki. Tak. Bardzo dobre.

- Och, naprawdę mi ulżyło - powiedziała Isobel. - Myślisz, że Marcusowi też się spodoba?

- Tak.

Isobel promieniała.

- Białe wino? - zdziwiła się Arlene. - Dlaczego kupiłaś białe? Nigdy nie piję białego wina.

- Jest lepsze do ryby i w ogóle jest zdrowsze.

- Ale sądziłam, że Martin doradza ci, co kupić. On nigdy nie poleciłby ci dla mnie białego wina.

- Powiedział, że to będzie ci smakowało.

Arlene upiła łyk. Hmm. Zaskakująco dobre. Uśmiechnęła się do Isobel i wbiła widelec w rybę.

- Weź sobie fasolki - powiedziała Isobel.

- Przepyszne. - Isobel naprawdę potrafiła gotować. Zadawała sobie mnóstwo trudu, była perfekcjonistką.

- Isobel, mogę ci zadać jedno pytanie?

- Jasne.

- Czy dla tego swojego Conora-potwora też przygotowywałaś co wieczór takie wspaniałe potrawy?

- Tak. Wiesz, pracuję w domu, a poza tym lubię gotować. Nie robiłam tego dla niego. Robiłam to dla własnej przyjemności.

- Co za głupota.

- Przecież powiedziałam, że nie robiłam tego dla niego.

- Mówiłam o nim.

Wybieranie Cathy

Ta dziewczyna to dynamit - oznajmił Marcus. - I będzie doskonała do roli Cathy.

- Jeśli to taki cholerny dynamit, to dlaczego jeszcze o niej nie słyszałam?

- Bo dopiero rok temu skończyła szkołę teatralną.

Tak naprawdę ten „dynamit” oznaczał, że Marcusowi spodobała się jakaś młodziotka aktorczyka zaraz po college'u i chciał ją bliżej poznać. Arlene nie miała nic przeciwko temu. Był dobry, a jedną z metod, jakie stosował w swojej pracy, było rozkochywanie w sobie obsady.

- Słuchaj, chodź ze mną dziś wieczorem do Players, ta dziewczyna gra tam w jakiejś nowej sztuce o narkotykach czy czymś takim. Wszystko jest podobno oparte na ich własnych improwizacjach. Robili to w Ballymun na warsztatach. Może być całkiem niezłe. Jeśli ci się nie spodoba, nie ma sprawy, więcej o niej nie wspomnę.

- Marcus, wiesz dobrze, że w przypadku osób bez doświadczenia zawsze jestem bardzo ostrożna. Ale obejrzę ją sobie, oczywiście - zgodziła się Arlene. - Pamiętasz swoje ostatnie „odkrycie”? Tę studentkę z Bray, która okazała się kleptomanką i okradła wszystkich aktorów? Na pewno byłaby świetna jako asystentka inspicjenta, ale na próbach wprowadzała nerwową atmosferę.

- Wiem, że jesteś ostrożna, ale miło jest dawać ludziom pierwszą szansę.

O tak, Marcus, bo wtedy oni są mili i wdzięczni, pomyślała Arlene. powiedziała Isobel defensywnie.

- Wszyscy byliśmy kiedyś młodzi i czekaliśmy na swoją szansę. Nigdy nie zapomnę, że to ty mi ją dałaś. - Marcus spojrzał Arlene w oczy prosto i otwarcie, a potem uśmiechnął się ciepło. Arlene zmiękła. On też był wdzięczny.

- No dobrze. Spotkamy się w Doyle's dwadzieścia po siódmej. Zabiorę też Heddę.

Marcus i Arlene zaczęli nazywać Isobel Heddą z powodu jej tragicznej aury, zimnych, skandynawskich rąk i powagi, z jaką podchodziła do wszystkiego. Ale tylko za jej plecami.

Isobel najwięcej czasu spędzała w swoim pokoju i wydawało się, że nie ma ochoty na żadne rozrywki. Pracowicie poprawiała swoją sztukę, szlifowała i doskonaliła ją, perfekcyjna jak zawsze.

- Oparta na improwizacjach? - zdziwiła się Isobel, gdy Arlene zaproponowała jej wyjście. - Co to znaczy?

- To znaczy, że aktorzy sami stworzyli tę sztukę, na warsztatach.

- Więc nie ma autora?

- Dokładnie. Teatr zmienił się do tego stopnia, że autor stał się zbędny. Musimy się jeszcze tylko pozbyć aktorów i dopiero będzie fajnie.

- Och...

- A na końcu spławimy publiczność i wreszcie będziemy mogli siedzieć w domu i zaoszczędzić sobie mnóstwa zachodu.

Sztuka nazywała się *Tancerze* i była mocno uduchowiona. Dialog przeplatał się z tańcem i wstawkami na wideo. Miejscami przypominało to halucynacje. Arlene zastanawiała się, czy przypadkiem nie improwizowali tego na narkotykach.

Odkrycie Marcusa nazywało się Janice Murphy. Marcus poprosił ją, żeby po spektaklu poszła z nimi na drinka. Była mocno nakręcona i gadała jak najęta.

- Dobra robota, Janice. Doskonałe przedstawienie - powiedział Marcus.

- Podobało ci się?

- Tak - odparł Marcus.

- Jak bardzo?

- Cóż, jaką by tu przyjąć skalę...

- Żartowałam - powiedziała Janice.

Arlene spojrzała na nią. Dzika, nieposkromiona **młodość**. Zirykowało ją to. Zrobiło to na niej wrażenie.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia - odparła Janice. - W ubiegłym roku skończyłam Gaiety School.

- I jak ci idzie? - spytała Arlene.

- Dość dobrze. Zagrałam w reklamie płynu do mycia naczyń...

- Widziałam ją! - wtrąciła się Isobel. - To ta reklama, w której ty i twoja mama zmywacie razem po przyjęciu, a potem ty robisz masaż swojemu chłopakowi na kanapie i on mówi, że masz takie miękkie dłonie. W tym samym czasie twoja mama robi masaż ojcu na górze i on mówi to samo o jej rękach.

- Zgadza się - potwierdziła Janice.

- Jesteś w tym bardzo dobra - powiedziała Isobel z przekonaniem.

Arlene także pamiętała tę reklamę. Janice była w niej świetna, choć nie była to specjalnie wymagająca rola.

- Żyłam z tego przez cztery miesiące, ale cóż, teraz znowu muszę pracować w knajpie, żeby zapłacić czynsz. Trudno, zdaje się, że tak kręci się ten świat.

Janice zaczęła zakładać zestaw kółeczek i kołeczków, które najwyraźniej wyciągnęła z małżowin usznych na czas przedstawienia.

- W której? - rozjaśniła się Arlene.

- Coopers, w Rathmines - odparła Janice, wpinając trzy małe kółka w prawą brew.

- Mają też kebab, prawda? - Arlene była teraz ciągle głodna.

- Owszem.

- Zawsze byłam ciekawa - ciągnęła Arlene - jak oni robią te wielkie kebaby, które potem obracają się na rożnie.

- Cóż, to po prostu mielona baranina od rzeźnika, który ma zakład na tej samej ulicy, z ziołami i różnymi przyprawami. Najważniejszym składnikiem jest curry. Mieszamy to wszystko, ubijamy i formujemy z tego walec, który potem powoli kręci się na rożnie. Chodzi o to, żeby wytopić cały tłuszcz. Jest taki żółty właśnie z powodu curry.

- Bardzo interesujące. - Arlene w osobliwy sposób wszystko uważała za interesujące. Bardzo trudno było ją czymś znudzić.

Janice wyglądała teraz jak przybysz z obcej planety. Założyła już wszystkie swoje ozdoby i wydawało się, że na jej twarzy nie ma ani jednego miejsca, które nie zostało jeszcze przekłute. Odeszła od stolika i rozmawiała z innymi aktorami. Wszyscy mieli fioletowe włosy i pasiaste żółto-brązowe rajstopy.

- No i jak ci się podoba? - spytał Marcus.

- W porządku - odparła Arlene. - Ale jest cała pokłuta tymi kolczykami i gwoździkami. W jakim celu normalny człowiek dobrowolnie wbija sobie ostre przedmioty w twarz?

- Arlene, zdumiewa mnie, że jesteś tak konserwatywna - powiedział Marcus. - To przecież kod pokoleniowy.

Arlene nie miała zamiaru poddać się zbyt łatwo.

- To jakaś wariatka. Przecież mogła sobie przebić żyłę albo nerw czy coś.

- Jest cudowna - powiedziała Isobel. - Taka młoda, taka świeża. Tyle w niej życia!

Arlene wiedziała już, że pozwoli Marcusowi zaangażować Janice Murphy. Ale nie zgodzi się na to zbyt szybko ani zbyt łatwo. Niech o to powalczy. Niech za to zapłaci.

- Umieram z głodu - powiedziała. - Poproszę zapiekankę z szynką i z serem - zwróciła się do barmana.

Isobel spojrzała na nią wzrokiem osoby zranionej do głębi.

- I z musztardą - dodała Arlene, śliniąc się na potęgę.

Prawdziwa gwiazda

Arlene przeszła South Circular Road i skręciła w stronę Hope Street, spokojnego ślepego zaułka z rzędami niewielkich domków z czerwonej cegły po obu stronach. Jej obcasy stuknęły wesoło po chodniku, ciepły wietrzyk rozwiewał włosy. Był początek lipca i lato w końcu raczyło się pojawić.

Arlene była na tropie. Ona i Marcus jednomyślnie zdecydowali, że tylko Marcia Range nadaje się do roli Colleen, matki Nuali, ale Marcia, niestety, była nieuchwytna. Arlene dzwoniła do niej wiele razy, zostawiła kilka wiadomości i wysłała jej tekst sztuki, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. W końcu skontaktowała się z agentką Marcii, Judy Corr, która zasugerowała, by Arlene udała się do niej osobiście, jako że aktorka przeżywała akurat ciężkie chwile.

Gdy tylko weszła w Hope Street, ogłuszyło ją bardzo głośne, i bardzo stare, nagranie *Cyganerii*, dochodzące z otwartych okien jednego z domów. Do Mimi z nagrania dołączał od czasu do czasu łamiący się, słaby sopran. Arlene uznała, że przyszła w samą porę.

Zapukała do drzwi. Nic. Podejrzewała, że Marcia nie usłyszała jej pukania. Wyminęła, nie bez trudu, krzewiącą się bujnie dziką różę i weszła na środek klombu, pod okno na parterze. Zajrzała do mrocznego wnętrza. W środku nikogo nie było.

Wspięła się na parapet, weszła do salonu i rozejrzała się wokół. Marcia wprowadziła się do tego domu ponad rok temu, ale Arlene jeszcze tu nie była. Trudno jest pozostać w kontakcie ze starymi przyjaciółmi, jeśli nie są akurat do niczego przydatni. Z zewnątrz dom wydawał się niewielki, ale kiedy się w nim znalazła, okazał się ogromny.

Drzwi na korytarz były otwarte, więc Arlene wyszła z salonu. Wydawało jej się, że śpiew Mimi dobiega gdzieś z tylnej części domu. Był ogłuszający. Arlene zastanawiała się, jak sąsiedzi są w stanie to wytrzymać. Ruszyła przed siebie mrocznym korytarzem i po chwili znalazła się w jadalni. Przeszła cicho przez przylegającą do niej kuchnię. Ani śladu Marcii. Oszklone drzwi do ogrodu, wychodzące na południowy zachód, pławiły się w popołudniowym słońcu. Arlene przeszła przez nie i w końcu znalazła panią domu.

Marcia siedziała przy stoliku ogrodowym z kutego żelaza w długiej różowej szacie i okularach przeciwsłonecznych w stylu Jackie O. Wyglądała interesująco. Długie farbowane na brązowo włosy zebrała w wysoki teatralny kok. Jej ciało - mimo że przybrała już trochę na wadze - ciągle sprawiało wrażenie smukłego. Jej skóra odznaczała się tym lekko oliwkowym, protestanckim odcieniem, jakiego nabywa się w Irlandii. Na stoliku przed nią stał gramofon z potężną tubą, nastawiony na cały regulator. Aria właśnie dobiegała końca.

Marcia nacisnęła wyłącznik.

- Umarłabym bez Pucciniego - oznajmiła.

- Myślę, że twoi sąsiedzi wkrótce ogłuchną.

- Już są głusi. Mieszkam pod numerem trzynastym **na** ulicy pełnej głuchych ludzi. Masz ochotę na drinka?

- Jasne - odparła Arlene.

- Szkocka?

- Jasne.

Marcia poszła do kuchni. Nie była w najgorszym stanie. Uczesane włosy, schludny strój. Prawdziwa królowa dramatu. Wielka artystka szukająca piedestału. Typ kobiety, która na pogrzebach efektownie rzuca się na trumny.

Ogród także sprawiał wrażenie dość zadbanego. Na murze oddzielającym go od sąsiedniej posesji wisiał świeżo napełniony karmnik dla ptaków. Właśnie posilało się spore stadko sikorek. Robiły mnóstwo szumu. Przelatywały po trzy koło karmnika, a następnie przysiadały na pobliskim krzewie różanym. Tam rozglądały się ukradkiem dokoła, ćwierkając niewinnie, jakby zajmowały się własnymi sprawami. Potem, przekonawszy się, że nikt nie patrzy, podfruwały do karmnika, chwytaly po orzeszku i śmigaly het, wysoko, ponad dachy, śmiejąc się na cały głos. Sprytne, pomyslała Arlene.

Marcia wróciła z butelką i dwoma szklankami. Nalała whisky.

- Przepraszam, że nie odpowiadałam na twoje telefony, ale przeżywam ciężki okres. Nigdy nie powinnam była wprowadzać się do domu o numerze trzynaście.

Arlene upiła łyk i wzdrygnęła się. Szkocka była dość mocna, ale wydawało się, że Marcii to nie przeszkadza.

- Zostawił mnie - powiedziała Marcia.

- Co?

- Zostawił mnie. Odszedł i zamieszkał w kawalerce w Fair-view z jakąś dwudziestodwulatką. Chce mieć dziecko. Ona też. Ja zostałam wyrzucona na śmietnik.

- Ale, Marcio - powiedziała Arlene - sądziłam, że nie chcieliście mieć dzieci?

- Nie. Udawaliśmy tylko, że nie chcemy. Za długo to odkładaliśmy, bo oboje byliśmy zbyt zajęci robieniem kariery. A potem było już za późno. Dwa razy poroniłam i na tym się skończyło.

- Nigdy o tym nie mówiłaś.

- Nie.

- Och... - Arlene nie wiedziała co powiedzieć. Nie знаła się na takich rzeczach. Poronienia to bardzo, bardzo, bardzo trudna sprawa. Zupełnie nie z jej działości. - Kim jest ta panna Faiview? - uznała, że jest to bezpieczne pytanie.

- Nie wiem. Jakaś smarkula, którą poznał w nocnym klubie.

- Chcesz powiedzieć, że włóczył się po nocnych klubach? W jego wieku? To smutne.

- Ma dopiero czterdzieści dwa lata. Jest młodszy ode mnie.

- Ale tylko o parę lat. To się nie liczy.

- Trzy lata - skłamała Marcia. Miała czterdzieści osiem.

- Nigdy nie ufaj młodszemu mężczyźnie.

Marcia wyciągnęła rękę, żeby ponownie nastawić adapter. Arlene ją powstrzymała.

- Przeczytałaś sztukę, którą ci przysłałam?

- Nie. Przeczytałam tylko charakterystykę postaci i włożyłam, nie, wrzuciłam skrypt z powrotem do koperty. Zaczekaj, zaraz go przyniosę.

Weszła do domu i po chwili pojawiła się z brązową kopertą, zaadresowaną dramatycznym pismem Arlene. Wyciągnęła skrypt i zaczęła czytać martwym, obojętnym głosem:

Colleen to czterdziestopięcioletnia, złamana kobieta. Czuje, że jej życie jest puste i jałowe. Jej jedyna córka, Nuala, jest jej właściwie obca. Jej ciało i psychika odczuły boleśnie ciosy, jakimi były trzy poronienia i spowodowane depresją pobyty w szpitalu, które po nich nastąpiły. Jej mąż, Mark, odsuwa się od niej, angażując się w inne sfery swojego życia. Colleen Delaney jest na rozdrożu i musi zdecydować, co zrobić ze swoim życiem. Czy zebrać siły i wyjść z dołka, w którym się znajduje, czy pozwolić mu się wessać jeszcze głębiej.

Arlene spojrzała na Marcję z zachwytem.

- Jesteś jeszcze lepsza do tej roli, niż sądziłam.

- Arlene, jestem tak przygnębiona, że powinnam zagrać Kota w Butach w pantomimie, a nie jakąś Medeę w sztuce Isobel Coole.

- Marcia, proszę, przeczytaj to najpierw, a potem zdecydujesz.

- Przyznaję, przeczytałam kawałek. Rzeczywiście całkiem dobre, ale śmiertelnie przygnębiające. Nie jest to sztuka, która podniosłaby mnie na duchu.

- Obsada jest dobra. Oni na pewno podniosą cię na duchu. Praca nad tą sztuką na pewno wpłynie korzystnie na twoją psychikę.

- Hmm.

- Twoim partnerem będzie Richard Power.

- Richard Power? Żartujesz!

- Gość honorowy.

- Jak go zdobyłaś?

- To czary.

- Boże. Teraz sobie przypominam. Byliście kiedyś małżeństwem, prawda? Byłaś wtedy bardzo młoda, a on nazywał się Dick Lennon?

- Dick Whelan.

- Jezu, rzeczywiście. To musiało być wiele lat temu. Chyba jesteśmy już bardzo stare.

- No dobrze, Marcia, ale zatrzymaj to dla siebie. Zrób to dla mnie. Teraz już nikt o tym nie pamięta.

- Ja pamiętam - odparła Marcia. - Cały czas byliście w kontakcie?

- Nie.

- Chyba czujesz się trochę dziwnie, pracując z nim teraz.

- Właściwie nie.

- Jak go zdobyłaś?

- Znalazłam sposób.

- Richard Power i Marcia Browne. Moja matka będzie zachwycona. Jest jego wielbicielką. Wszystkie starsze panie go uwielbiają, rozumiesz. Będzie mogła się chwalić sąsiadkom.

- Marcia Browne? Przecież nazywasz się Marcia Range?

- Nie. To ten skurwiol, który właśnie się stąd wyprowadził, nazywał się Range. Ja nazywam się Browne i wracam do swojego nazwiska.

- To niemożliwe. Ludzie nie będą wiedzieli, o kogo chodzi. Twoje nazwisko to znak firmowy. Poza tym Marcia Browne brzmi okropnie. Tak może się nazywać sprzątaczką. Mówiłaś, że zdecydowałaś się używać jego nazwiska, bo Marcia Browne brzmiało tak beznadziejnie.

- Nie dam mu tej satysfakcji.

- Więc może pójdziesz na kompromis? Możesz się nazywać Marcia Browne-Range i problem z głowy.

Pierwsza próba

Sierpień wtargnął do miasta w całym swym upalnym przepychu. Gorące lato osuwało się powoli w wyschłą, lepką jesień, jak stopniałe lody ściekające w rękaw swetra. Z drzew spadały suche liście, a ich skurczone ciała szeleściły pod stopami. Spieczona czerwona cegła podmiejskich domów jęczała cicho nocą, kiedy temperatura spadała, i nawet mrówki, tak, nawet mrówki, rozpoczęły już swój coroczny odwrót.

Próby do *Na księżycu* zaczęły się w poniedziałek dwunastego sierpnia w sali na ostatnim piętrze starej szwalni koszul na North Great Strand Street. Marcia była obrażona.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mogę pracować po północnej stronie.

Arlene wywąchała ten budynek za pomocą swoich licznych kontaktów w biurach nieruchomości. Sala była piękna - ogromna, jasna i przewiewna. Na wspaniałej, lekko sprężynującej podłodze powinno się pracować wygodnie i bezpiecznie. Po koszulowym interesie została przestarzała klimatyzacja, która zawodziła głucho w całym budynku, jak złośliwy duch. Do biura Arlene trzeba było stąd odbyć porządny spacer przez całe miasto, mogła więc być pewna, że nie będzie zbyt często nękana żadaniami i pretensjami. Musi wyskoczyć naprawdę poważny problem, zanim ktośkolwiek przyjdzie do niej narzekać. Przede wszystkim jednak budynek był tani.

Arlene wpadła do sali dokładnie o dziesiątej. Zawsze była niezwykle punktualna. Rozejrzała się. Po raz pierwszy widziała Corinne i Isobel razem - efekt był naprawdę zdumiewający. Rzeczywiście były do siebie bardzo podobne. Ciekawe, czy ktoś jeszcze to zauważył.

W sali zebrali się już wszyscy z wyjątkiem pani Janice Murphy. Hmm!

- Witam wszystkich zebranych. Miło mi widzieć was w dobrym zdrowiu, gdzie jednak, jeśli wolno zapytać, podziwia się pani Murphy? - spytała Arlene ciętym, namaszczonego, nauczycielskim tonem, jakiego zazwyczaj używała na pierwszej próbie.

- Jest dopiero dziesiąta - zauważył Marcus.

- Owszem - odparła Arlene - a ona powinna tu być dokładnie o dziesiątej.

- Na pewno zaraz przyjdzie.

- Pan Power - ciągnęła Arlene - przybył dziś rano z Londynu, leżącego dobre kilkaset mil stąd, a jednak zdołał pojawić się tu na czas.

Kilka pięter niżej trzasnęły drzwi wejściowe, po czym na schodach rozległ się głośny tupot, któremu towarzyszyła seria okrzyków: „Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, cholera, kurwa, kurwa”. Arlene od samego początku miała złe przeczucia co do tej Janice Murphy. Powinna była zaufać swojej intuicji.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadła Janice. Włosy miała jeszcze mokre i wyglądała tak, jakby przed chwilą wyszła spod prysznica. Długie, ociekające wodą kosmyki spadały jej na plecy jak szczurze ogony. Zdażyła jednak założyć wszystkie swoje ozdoby do uszu i nosa.

- Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro. Trafiłam na wyjątkowo pechowy autobus. Jechał jak na pogrzeb, a w Rathgar całkiem się rozkraczył i wszyscy musieliśmy wysiąść. Przemianowali teraz Dublińskie Przedsiębiorstwo Komunikacji Autobusowej na Szybką Komunikację Autobusową, trudno o bardziej nietrafioną nazwę. Jest mi tak bardzo, bardzo, strasznie, okropnie przykro...

- Zamknij się - przerwał jej Marcus uprzejmie - i nie spóźniaj się więcej.

- Teraz, kiedy wszyscy wreszcie się pojawili - powiedziała Arlene - pozwólcie, że dokonam kilku prezentacji. Wszyscy znacie już mnie i Marcusa, chciałabym jednak przedstawić jeszcze panią Isobel Coole, naszą wybitną autorkę... Pana Powera, który zagra Marka Delaney... Panią Marcie Browne-Range, która...

- Range - Browne - poprawiła Marcia.

- Range-Browne - ciągnęła Arlene - która będzie grała Colleen Delaney. To jest pani Corinne Cooper, która będzie grała Nualę i pani Janice Murphy, która zagra Cathy.

- Cześć, dzień dobry, cześć, cześć - rozległ się chór głosów towarzyszący uściskom dłoni.

- A to jest Candy Johnson, kierownik sceny, Neil Mahogany, nasz scenograf oraz Tiffany Roche, projektantka kostiumów.

- Cześć, cześć, cześć, cześć.

- Teraz - powiedziała Arlene - mam jeszcze dla was kilka ogłoszeń parafialnych, po czym przeczytamy razem całą sztukę. Następnie przekażę was w ręce Marcusa, waszego przewodnika w tej twórczej podróży, w jaką właśnie wyruszamy, a sama zabiorę się do biura, gdzie będziecie mogli się ze mną kontaktować, jeśli wystąpią jakieś problemy, co mam nadzieję, nie będzie się zdarzać zbyt często, a najlepiej nigdy. - Arlene uśmiechnęła się do wszystkich. Jej pisklęta. - Próby rozpoczynamy dzisiaj, oczywiście (śmiech). Będą trwały przez ponad cztery tygodnie. Premiera odbędzie się w środę, osiemnastego września w teatrze Lunar, po czterech spektaklach przedpremierowych, które rozpoczną się, piątek, trzynastego września.

- Co?! - wykrzyknęła Marcia. - Nie możemy przecież zacząć trzynastego i w piątek! Liczba trzynastka fatalnie mi się kojarzy - wyjaśniła.

- Cóż, termin został już ustalony, ale odnotuję twoją uwagę i zachowam ją w pamięci - zbyła ją Arlene. - Czeki będą na was czekały w moim biurze w każdy czwartek po południu, chyba że umówicie się ze mną inaczej, co niektórzy z was już zrobili. To wasza sprawa, żeby je odebrać, Carmel nie ma obowiązku wam ich doręczać. A tak przy okazji, Carmel jest moją asystentką, która będzie pracować przy tym przedsięwzięciu. Poznacie ją, kiedy przyjdziecie do mnie do biura. Ri-

chard i Isobel, w przyszłą sobotę chcę was mieć oboje na spotkaniu z prasą. Miesięczniki zawsze muszą wiedzieć wszystko z większym wyprzedzeniem.

Isobel zapaliła papierosa. Była bardzo zdenerwowana.

- Przykro mi, Isobel, ale nie możesz palić w sali, gdzie odbywają się próby - powiedział Marcus.

- Och, przepraszam - odparła Isobel - ale strasznie się denerwuję przed tym pierwszym czytaniem. Może mogłabym usiąść na parapecie i wydmuchiwać dym za okno?

Podeszła do okna i otworzyła je gwałtownie. Przerzuciła nogę przez parapet i balansując na nim niepewnie, wydmuchnęła dym na zewnątrz. Ale wiatr wiał z niewłaściwej strony i dym zaraz wrócił do środka.

Arlene podeszła do niej i wyjrzała przez okno. Całe cztery piętra.

- Isobel, to bardzo niebezpieczne. Marcus, może pozwolisz jej palić tutaj, tylko w czasie pierwszego czytania? Byłoby naprawdę niedobrze, gdyby wypadła, bo sam mówiłeś, że kilka scen wymaga pewnych przeróbek, a ja potrzebuję jej do zdjęć w „Woman's Own” w przyszłą sobotę.

- Już dobrze, dobrze - powiedział Marcus, czując, że jego autorytet został nadszarpnięty.

Isobel wróciła do stołu wyraźnie zadowolona. Żadne zwycięstwo nie było dla niej za małe.

- Czy tylko Isobel wolno tu palić, czy ja też mogę się przyłączyć? - spytał Richard swoim najbardziej błagalnym tonem.

- Tak, oczywiście - odparł Marcus. Richard zapalił papierosa.

- Mogę jednego? - zapytała Marcia.

- Myślałam, że już nie palisz? - zdziwiła się Arlene.

- Bo właściwie nie palę. To znaczy, palę tylko cudze. Następna zapaliła Janice, a zaraz po niej Neil i Tiffany.

- Och, mam straszną ochotę. - Corinne wyciągnęła papierosa z paczki Janice. - Biorę go sobie sama, Janice, bez pytania, bo gdybyś mi pozwoliła, na pewno miałabyś potem poczucie winy.

- Jak długo nie paliłaś? - spytała Janice.

- Trzy miesiące - odparła Corinne. - Mój mąż oskarża mnie, że truję dzieci, więc nie wolno mi palić w domu. Zagroził nawet!, że jeśli złamię zakaz, zgłosi to na policję jako przemoc wobec nieletnich. Muszę się ukrywać za szopą na węgiel. - Wzruszyła ramionami.

- Rany, ciężka sprawa, co nie? - powiedziała Janice. Candy, kierowniczka sceny, wyszła, żeby przynieść popielniczki, które wcześniej Marcus kazał jej usunąć z sali.

Wkrótce nad salą zwisły wielkie, dumne chmury niebieskawego dymu. Arlene spojrzała w górę, gdzie dym przyjmował różne ciekawe kształty na tle ciemnego sufitu. Pięść, koń, nienaro-

dzione dziecko. Przypadkowe kształty. Przez chwilę Arlene odczuwała pokusę, ale zdołała się powstrzymać.

- No dobra, teraz, kiedy wszyscy macie się już czego trzymać, przeczytajmy to wreszcie - powiedział Marcus chłodno, po czym opanował się szybko i błysnął szerokim, promiennym, wymuszonym uśmiechem.

Marcus, którego na ogół trudno było wyprowadzić z równowagi, czuł się tym razem bardzo niepewnie. Nigdy dotąd nie pracował z taką sławą jak Richard Power. Nie wiedział, czy uda mu się zapanować nad aktorami.

Po chwili jednak zamieszanie ucichło i zaczęło się pierwsze czytanie, w czasie którego aktorzy wyczuwali się nawzajem. Było to fascynujące. Richard był bardzo powściągliwy, właściwie niczego jeszcze nie interpretował, po prostu czytał. Marcia włożyła w swój tekst więcej serca, podobnie jak Janice. Corinne poszła za przykładem Richarda i czytała z dużym umiarem. Były to magiczne chwile.

Isobel odprężyła się trochę. Słuchała przejęta, jak aktorzy nadają jej słowom zupełnie nowy wymiar. Była tak tym pochłonięta, że zapomniała o swoim papierosie, który dopalił się w popielniczce i zamienił się w popiół. Został raczej skremowany, niż wypalony.

Wieczór po pierwszej próbie

Arlene wróciła do biura w porze lunchu zadowolona, że pierwsze czytanie poszło całkiem nieźle. Miała coraz więcej do roboty; użerała się z towarzystwem ubezpieczeniowym, które chytrze nalegało na wyższą stawkę niż ta, która ją skusiła; użerała się z bankiem, który nie zezwalał na przekroczenie stanu konta w takim stopniu, w jakim tego potrzebowała. Zaprzyjaźniony kierownik działu pożyczek był właśnie na wakacjach. Sierpień to najbardziej okrutny miesiąc w całym roku. Wszystko, na co można liczyć w sierpniu, to idiota po drugiej stronie telefonu. Tylko idioci i półgłówki są w sierpniu w pracy.

W biurze wrzało przez całe popołudnie. O piątej trzydzieści Carmel, asystentka, zaczęła zbierać rzeczy ze swojego biurka.

- Myślę Arlene, że na mnie już czas. Mój umysł jest już trochę zmęczony. Ten upał!

- Jasne, Carmel, dobranoc.

Arlene patrzyła, jak Carmel podchodzi do drzwi. Carmel była dziewczyną od Kelly. Ulubioną dziewczyną Arlene. Nie każdy pracownik sezonowy pasował do jej biura. Arlene miała już przedtem dwie inne dziewczyny, które doprowadzały ją do szału. Carmel natomiast była wyjątko-

wą sekretarką. Pisała na maszynie z prędkością światła. Pracowała na wszelkich rodzajach komputerów. Umiała nawet dokonywać drobnych napraw. Arlene podejrzewała, że Carmel musi mieć stopień naukowy z informatyki. Poza tym była czarująca i niezrównana w kontaktach z ludźmi. Była też bardzo spokojna. Arlene zastanawiała się, dlaczego sama nie zarządza firmą, jakimś departamentem albo małą republiką, tak bardzo była pod wrażeniem rozlicznych talentów sekretarki.

- Nie wytrzymałabym - wyjaśniła Carmel. - Nie lubię siedzieć zbyt długo w jednym miejscu. Nudzą mnie te same twarze. Prace dorywcze są dla mnie w sam raz. Chyba jestem współczesnym typem wędrownego druciarza.

Carmel była hippiską w eleganckim kostiumie.

- No, to do jutra - powiedziała. - Nie zapomnij wyłączyć komputera i włączyć automatycznej sekretarki przed wyjściem.

I poszła. Arlene była zadowolona, mając całe biuro dla siebie. Przyzwyczyła się do tego i chociaż Carmel była całkiem znośna, czuła się najszcześliwsza w samotności. Pogрузyła się w pracy na kolejną godzinę.

Szósta trzydzieści. Arlene była umówiona z Isobel i Richardem w restauracji Candel's na kolacji o ósmej. Richard już dawno zapowiedział, że po pierwszej próbie zaprosi je obie na kolację.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. To Marcia.

- Cześć, Arlene, wstąpiłam tylko na chwilę, żeby pogadać. Skończyliśmy o wpół do szóstej i poszliśmy na drinka, ale nie miałam ochoty zostać z nimi dłużej.

- Jak wam szło po południu?

- Świetnie. Bardzo dobrze. Marcus i Isobel wydawali się zadowoleni. Sztuka jest naprawdę dobra. Soczysta. Ta dziewczyna naprawdę ma talent. Muszę przeczytać jej powieści. Czytałaś je?

- Nie - przyznała Arlene. - Muszę się za nie zabrać.

Arlene dopiero teraz zorientowała się, dlaczego Marcia wydaje jej się jakaś zmieniona. Bardzo zeszczuplała i ubierała się w bardziej obcisłe rzeczy. Cóż, znowu była sama, a nie ma biznesu bez reklamy. Arlene westchnęła.

- Pomyślałam sobie, że może poszłybyśmy coś zjeść? - zaproponowała Marcia.

- Och, jestem umówiona z Richardem i Isobel na kolację o ósmej.

- Nic mi o tym nie mówili - powiedziała Marcia trochę dotknięta.

Arlene chętnie zabrałaby Marcie ze sobą, ale to Richard zaprosił ją i Isobel, i to on zapłaci za tę kolację. Poza tym czuła, że Marcia próbuje wyrzucić na nią presję, i postanowiła, że jej nie ulegnie.

- Wskoczę z tobą teraz na małą przekąskę - oznajmiła Arlene wesoło. Taki mały kompromis.

W Cunningham's było dość spokojnie. W poniedziałek, w porze podwieczorku niewiele się tu działo. W kącie przysiadło kilku niemieckich turystów. Większość stałych bywalców wyniosła się z miasta na cały sierpień.

Zajęły miejsca w narożnej wnęce, tam gdzie zazwyczaj siadała Arlene. Szklane damulki z lat dwudziestych postarzały się trochę w ciągu kilku ostatnich miesięcy i sprawiały wrażenie bardziej przyjaznych. Cały rok w dymie papierosowym przytępił ich ostre krawędzie. Nie rzucały się już tak w oczy.

W środku panował miły chłód.

- Nie wytrzymam tego upału - powiedziała Arlene, wachlując się bluzką. - Na pewno nie przeniosę się do Nowego Jorku, kiedy sztuka pojedzie na Broadway.

- Chciałam ci podziękować - powiedziała Marcia - za to, że wyciągnęłaś mnie z mojej nory i zaproponowałaś mi tę rolę. Wiem, że było ze mną ciężko, ale dziękuję, że nalegałaś.

- Hej - odparła Arlene - nie dziękuj mi. Nie zrobiłabym tego, gdybym nie uważała, że jesteś odpowiednia do tej roli. Nie traktuj tego tak, jakbym ci wyświadczyła przysługę. Nigdy nie wyświadczam nikomu takich przysług.

Marcia wiedziała, że to nieprawda. Bardziej niż czeokolwiek innego Arlene nie znosiła, kiedy jej dziękowano. A jednak bardziej niż czeokolwiek innego tego właśnie potrzebowała. Marcia wiedziała o tym, bo znała się na ludziach. Badała i interpretowała ludzkie emocje, motywacje i uczucia. Obserwowała, jak ludzie grają.

- Dobra, nic już nie powiem - zgodziła się Marcia.

- Z tym wyjątkiem, że czasem wyświadczam komuś przysługę i stawiam mu drinka. Barman!

Sheila, barmanka, podeszła do stolika. Sheila też pracowała w sierpniu. Nigdy nie brała urlopu. Miała sześcioro dzieci w wieku od dwunastu do dwudziestu lat, wszystkie rozpuszczone jak dziadowski bicz. Traktowały swoją ciężko pracującą matkę jak szmatę, ciągle przychodziły do baru i wyciągały od niej pieniądze. Sheila ubóstwiała je bezkrytycznie, uważała, że każde następne jest lepsze od poprzedniego. Arlene miała ochotę wytargać je wszystkie za uszy. Powinny mieć więcej szacunku dla swojej matki.

- To co zawsze i...? - spytała Sheila, patrząc na Marcie.

- Sok pomidorowy i dietetyczny tonik - odparła Marcia. Na pewno była na diecie, skoro piła to gównno.

Sheila wróciła za bar. Arlene patrzyła za nią przez chwilę. Sheila miała jakieś pięćdziesiąt pięć lat i szczupłe żylaste ciało. Stworzone do pracy. Jak bokser albo koń pociągowy. Wydawało się, że jej wytrzymałość i pogoda ducha nie mają końca. Na jej ustach zawsze gościł lekki uśmiech.

Arlene postanowiła, że kiedy jej firma stanie się w końcu gigantycznym imperium konsorcjów rozrywkowych, zatrudni w nim Sheilę. Nie wiedziała jeszcze dokładnie, w jakim charakterze, ale była pewna, że coś dla niej znajdzie.

- Jedno tylko trochę mnie niepokoi - wyznała Marcia.

- Co?

- Nie chciałabym wydać ci się jakąś megalomanką, ale... A więc o to chodzi.

- ...ale uważam, że powinnam mieć tyle samo okazji do promowania swojego nazwiska, co Richard i Isobel. Wiem, że ona jest teraz na topie, a on jest gwiazdą, ale ja też mam swoją publiczność. Niewielką, ale doborową i wierną. Sądzę, że ja też powinnam spotkać się w sobotę z prasą. Mogliby zrobić o mnie materiał „we własnym domu” czy coś w tym stylu. Niedawno odnowiłam dom. Wyglądałabym świetnie na tle białego Salonu w mojej nowej kreacji od Johna Rocha.

- Zgoda - powiedziała Arlene. - W sobotę o drugiej w moim biurze. Nie proponowałam ci tego, bo nie chciałam cię absorbować w weekend.

- I... - zaczęła Marcia i urwała. O co jej chodzi teraz?

- Zauważyłam, że w kontrakcie nie ma nic na temat kolejności nazwisk na afiszach. Uważam, że kolejność alfabetyczna byłaby najwłaściwsza.

- Oczywiście - zgodziła się Arlene. - Tak właśnie planowałam. To znaczy, ty i Richard nad tytułem, alfabetycznie, a Corinne i Janice poniżej.

- Ja nad Richardem - powiedziała Marcia.

- No nie, przecież ma być alfabetycznie. Richard nad tobą. Power jest na P, a Range na R.

- Nazywam się Range-Browne. Browne jest na B - odparła Marcia.

- Nie, do cholery. Nazywasz się Range-Browne, więc twoje nazwisko zaczyna się na literę R. Koniec dyskusji.

A więc dlatego Marcii przestało wystarczać nazwisko męża. Chciała poprawić swoją pozycję na alfabetycznej liście obsady.

- Richard na samej górze. Ściągnięcie go dużo mnie kosztowało i nie będę teraz spychać jego nazwiska pod twój idiotyczny nowy pseudonim sceniczny, którego nikt nawet nie rozpozna. I tak mi dołożyłaś tym dwuczłonowym gigantem. Może nie wiesz, ale drukarnia kasuje mnie od litery. Najpierw Richard, potem ty. I nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Marcia. - Przepraszam. Nie chciałam cię wkurzyć.

Mogłoby się wydawać, że Arlene wygrała, ale było to zwycięstwo pozorne. Wszystko, co chciała osiągnąć Marcia, wdając się w tę dyskusję, to skłonić Arlene, by umieściła jej nazwisko nad tytułem wraz z nazwiskiem Richarda. I osiągnęła to.

- Teraz ja ci postawię - zarządziła Marcia.

- Dobra - odparła Arlene.

- Nie złość się - powiedziała Marcia - Proszę, nie gniewaj się na mnie. Muszę o siebie zadbać. Wiesz, muszę się czasem trochę rozpychać łokciami, bo w tym biznesie duzi chłopcy cię stratuja, jeśli wyczują, że jesteś słaba. Zrobią z ciebie wycieraczkę. Wolę, żeby wszyscy wiedzieli, że dbam o swoje imię, bo wtedy nie będą próbowali go zszargać. Boją się, że będę się bronić jak lwica.

- Dobra - powtórzyła Arlene. - Postaw mi drinka. Marcia wróciła ze szklanką, szeroko uśmiechnięta. Włosy wymykały jej się spod przepaski.

- Marcus wydaje się bardzo miłym chłopcem. - Och, nie. A więc to nie koniec. - Jaka szkoda, że musimy ich znosić.

- Kogo?

- Reżyserów.

- Reżyser jest niezbędny - stwierdziła Arlene. Jezu. Marcia była czasem nie do zniesienia. Wszystko musiało być walką albo dramatem.

- Teatr przez całe wieki obywatel się bez nich. Reżyser to idiotyczne pojęcie sprowadzone do nas z Francji via Anglia.

- Nie mogłybyśmy porozmawiać o czymś innym niż teatr? - spytała Arlene.

- Na przykład o czym? - powiedziała Marcia. - Moje życie osobiste jest zbyt tragiczne, żeby o nim rozmawiać. W wiadomościach nic ciekawego nie podają. Jest sierpień. W sierpniu nigdy nie dzieje się nic ciekawego. W sierpniu nie można nawet wypowiedzieć wojny, trzeba poczekać, aż minister spraw zagranicznych wróci z Biarritz. W wiadomościach gadają teraz o sztuce, na litość boską. - Marcia urwała, ale po chwili coś przyszło jej do głowy. - Porozmawiajmy o tobie. Opowiedz mi coś o sobie.

- Nie ma o czym - odparła Arlene.

Richard i Isobel wpadli do restauracji spóźnieni pół godziny. Isobel była pijana. Ledwo trzymała się na nogach. Zachowywała się skandalicznie.

- Trzeba wlać trochę kawy w tę kobietę - stwierdziła Arlene.

- Przepraszam, za spóźnienie - powiedział Richard. - Nie mogliśmy wyjść. Isobel wdała się w dłuższą dyskusję z Marcusem, więc nie chciałem im przerywać.

- Kocham cię - oznajmiła Isobel i pocałowała Arlene w policzek. - Wybaczcie na chwilę, skoczę tylko do toalety i przykręcę sobie głowę.

Była czarująca.

- Jest trochę narwana - zauważył Richard.

- Ja i Marcus nazywamy ją Hedda - powiedziała Arlene. -No, Dick, jak wam poszło po południu?

- Nie nazywaj mnie Dick. Jestem Richard.

- Przepraszam. Richard, Richard, Richard. W końcu pewnie wbiję to sobie do głowy.

- Poszło świetnie. Oni wszyscy są wspaniali. Zwłaszcza Marcia. Rany! Co za charyzma! A Isobel wydaje się bardzo energiczna, żywiołowa - Richard rozglądał się nerwowo dookoła. Wyglądał jak ktoś, kto marzy o drinku i odpalał jednego papierosa od drugiego. Arlene podejrzewała, że Isobel mogła mu się wydawać trochę męcząca. Należała do osób, które wzbudzały zachwyt albo niechęć. Żadne stany pośrednie nie wchodziły w grę. Żeby tolerować jej ekscesy, trzeba było być w niej trochę zakochanym.

- Złożmy zamówienie - powiedziała, kiedy Isobel wróciła z toalety. Przynajmniej Richard będzie miał czym zająć ręce. Teraz Isobel bardziej trzymała się pionu.

Richard wyraźnie się odprężył, kiedy pojawił się przed nim talerz z nadziewanymi pieczarkami. Isobel jak zwykle tylko dłubała w swoim daniu. Arlene natomiast rzuciła się na jedzenie. Umierała z głodu. Zamówiła stek z frytkami. Isobel natychmiast zaczęła rozpaczać nad jej nieuleczalnym uzależnieniem od cholesterolu

- To był długi i pracowity dzień - powiedział Richard. - Zawsze mam wrażenie, że pierwsza próba jest najbardziej męcząca. No, to za nasze przedstawienie! - Podniósł szklankę z wodą mineralną.

- *Sláinte.*

- I za świetną sztukę znakomitej, ekscytującej pisarki - dodał.

Isobel obdarzyła go jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów.

- I za najlepszego aktora, jaki kiedykolwiek grał rolę tatusia - odparła.

Dwuosobowe towarzystwo wzajemnej adoracji. Interesujące.

- Czytam twoje książki, Isobel - powiedział Richard.

- Och - odparła Isobel.

- Dobra robota - stwierdził.

- No, to powiedz mi, jak bardzo ci się podobają? - powiedziała Isobel, wystarczająco rozba-
wiona, by zdobyć się na taką uwagę.

- Są cudowne. Bardzo, bardzo mroczne. Więcej w nich satyry niż w twojej sztuce.

- Tak - zgodziła się Isobel. - Uważam, że teatr to zbyt autentyczne medium, żeby sobie w nim dowcipkować.

- Ciekawa opinia - powiedział Richard. - A co ty o tym sądzisz, Arlene?

Arlene sądziła, że Richard zachowuje się nienagannie i że doskonale wie, jak oczarować Isobel, choć tego dnia spotkali się po raz pierwszy. Miał instynkt.

- Eee, że co? - powiedziała.

- Wróć do nas - powiedział Richard.

- Przepraszam, właśnie coś sobie podliczałam. Zawsze ciężko mi się skupić, kiedy mam nową sztukę na głowie.

- Wszystkie postaci ojców są bardzo dobre - mówił Richard.

- Ojciec w *Szczerej* na przykład, weekendowy psychopatyczny zabójca, który wszystkie pozostałe dni tygodnia spędza jak typowy mieszkaniec przedmieścia, chociaż ma tylko jedno oko. I ojciec z *W kacie*, który pozostaje w dziwnym związku ze swoim psem, dopóki wodolot nie rozwała go na pół. No i ojciec w *Na księżycu*, moja rola. Jest chwilami niemal psychotyczny. Fana-tyczny.

Arlene spojrzała na niego spod oka.

- Co masz na myśli?

- No, na przykład to, że każe swojej żonie i córce klękać codziennie o szóstej, żeby zmówić różaniec.

- Ale w Irlandii to było całkiem normalne - zauważyła Arlene.

- Tak, wiem o tym, ale jeśli widzisz coś takiego czarno na białym w połowie lat dziewięćdziesiątych, odnosisz wrażenie, że to jakaś chroniczna perwersja.

- Tak - powiedziała Arlene. - Wystarczy, że minie trochę czasu i już można oddawać się perwersjom.

Richard spojrzał przeciągle na Arlene. Isobel to zauważyła.

- A jaki jest twój ojciec? - Richard zwrócił się do Isobel.

- Mój ojciec nie żyje - odparła Isobel. - Zmarł ponad dziesięć lat temu, kiedy miałam dwadzieścia lat. Na raka. Zadedykowałam mu swoją pierwszą książkę.

- Och, tak mi przykro - powiedział Richard.

- Myślę, że utrata ojca w stosunkowo młodym wieku jest dość trudnym przeżyciem i może właśnie dlatego w moim pisarstwie jest tyle agresji do ojców w ogóle - rzuciła Isobel, skrępowana tym pytaniem. - A może dlatego, że nie żyje, mogę opisywać takich strasznych ojców bez obawy, że go zdenerwuję. Czego byśmy nie powiedzieli o zniesławianiu zmarłych, jest pewne, że nie można ich wkurzyć.

- A twoja matka? - Richard był uparty.

- Mieszka w samotnym oderwaniu od świata, to znaczy w oderwanej od świata samotni, w położonym na uboczu domu w hrabstwie Waterford - powiedziała Isobel. - Jeżdżę do niej w odwiedziny co kilka miesięcy, ale nie jest z nią łatwo.

- Och - powiedział Richard. Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Moja matka jeszcze żyje - powiedział Richard. - Ma osiemdziesiąt siedem lat, jest zupełnie zdziecinniała. Mieszka w domu opieki. Straciłem z nią kontakt na wiele lat, ale kiedy osiem lat temu zmarł mój ojciec, próbowałem się z nią pojednać. Ale było już za późno. Zawsze miała taki wrogi wyraz twarzy. Myślę, że pogardzała mną, za to, że dorosłem. Albo że nie dorosłem. Albo jedno, albo drugie. Teraz tylko płacę jej rachunki.

- Znałaś ją? - spytała Isobel, patrząc na Arlene.

- Tak - Arlene zeszywniała. Nienawidziła rozmów o swoim małżeństwie z Richardem. Isobel już wcześniej wycisnęła z niej trochę informacji na ten temat, choć Arlene udzieliła ich bardzo niechętnie.

Znowu zapadła cisza. Nikt nie miał już nic do dodania na temat rodzicielstwa. Arlene pamiętała matkę Richarda. Małą wredną kobietkę. Zawsze patrzyła na Arlene z pogardą. Nikt nie był dość dobry dla jej słodkiego Dickiego.

Przeszłość II

Arlene zawsze chciała zostać aktorką. Zaczęła pracować jako asystentka inspicjenta w nadziei, że dostanie w ten sposób parę małych ról. Wieczorami chodziła na zajęcia z gry aktorskiej, a w weekendy uczestniczyła dorywczo w kursach improwizacji i emisji głosu, ale prawdziwy sukces odniosła jako inspicjent, a potem kierownik produkcji. Utalentowanych dwudziestolatek marzących o karierze aktorskiej było wtedy na pęczki. Brakowało za to pracowitych inspicjentów.

Dick wcielał się dla niej w różne role. Kiedy nie zapadał w letarg, był chorobliwie aktywny i czasami Arlene wracała do domu i zastawała tam Roberta de Niro, a raz nawet Marlona Brando.

- Stella, zagrasz w pokera? Jednooki Joe ma na to ochotę! -I rozkładał karty na małym kuchennym stoliku.

- Sie wie, Stanley, co tylko chcesz.

- Ale to rozbierany poker, więc musisz zapomnieć, że jesteś grzeczna, mała i zejść do mojego poziomu. Ile chcesz?

- Trzy - mówiła, rzucając na stół trzy karty.

- Ja biorę dwie - mówił i wykladał.

- Skocz no po colę do lodówki, Stell.

- Już się robi. - Wstawiała i nalewała dwie szklanki coli. Do obu wrzucała mnóstwo lodu.

- Stawiam jeden sweter - mówiła.

- Biorę sweter. Jeszcze koszule.

- Daje koszule.

Richard rzucił swoje karty na stół.

- Cztery asy.

Arlene zapomniała o akcencie.

- Ty pieprzony oszuście.

- Wiesz, jak to mówią: Kto oszukuje w kartach, nie kłamie w miłości - śmiał się Richard. -

Jesteś mi winna sweter i bluzkę.

- Nie, oszukiwałeś. Nic nie dostaniesz.

- Aaa, Stella, nie jesteś dobra dla starego. Proszę. Arlene zdjęła sweter.

- I koszule, Stell, dawaj koszule.

- Sam się z nią musisz poradzić, Joe - odparła i zaczęła się głośno śmiać, przy czym omal nie udławiła się kostką lodu. Rozpiął jej bluzkę powoli i delikatnie, ale udawał, że robi to szorstko i zdecydowanie. Dotykał jej młodych piersi i zaraz chciał się kochać.

Arlene nigdy nie przyszło do głowy, że podniecał się tak samym sobą. Ona nie miała z tym wiele wspólnego.

Często grywali w bilard w klubie bilardowym na O'Connell Street. To Arlene wpadła na pomysł, żeby zabrać Richarda w miejsce, gdzie panowała atmosfera podobna do pubu, ale nie było alkoholu. Richard zapalał wielką namiętnością do bilardu i bardzo szybko nabrał wprawy, co jest typowe dla osób podatnych na uzależnienia. Arlene grała całkiem nieźle, ale on wkrótce ją przewyższył. Bardzo ją to denerwowało. Oboje byli ambitni.

Grali po pięć rund, nie dla zabawy, ale po to, żeby wygrać. Stawką były usługi seksualne. Przegrany musiał zazwyczaj ustami doprowadzić zwycięzcę do orgazmu. Była to wspaniała zabawa. Życie było takie podniecające. Arlene patrzyła z góry na innych ludzi, na zwykłych, szarych ludzi stojących na przystankach autobusowych, których życie z pewnością nie było takie superfantastyczne. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że to z jej strony arogancja. Po prostu uważała, że jest od nich lepsza.

Och, życie było taką frajdą.

Potem Dick, mimo wysiłków czynionych przez Arlene, by zdobyć dla niego rolę, nie miał pracy. Kiedy nie grał, stawał się humorzasty. Nie miał ochoty na zabawę. Siedział, patrząc tępo w przestrzeń. Wykazywał objawy depresji. Arlene martwiła się o niego.

Pewnego dnia wróciła do domu i zastała go siedzącego przed maszyną do pisania. Nie odpowiedział na jej powitanie.

Spojrzała na zapisaną kartkę. *Nudzą Jacka takie sprawy, ciągła praca, brak zabawy*. Jedno zdanie powtórzone dziesiątki razy. Dick uśmiechnął się do niej z dzikim błyskiem w oku.

W tym zdaniu było coś dziwnie znajomego. *Nudzą Jacka takie sprawy, ciągła praca, brak zabawy*.

Nagle przypomniało jej się, skąd je zna.

Dick trzymał w dłoniach wielką siekierę wyciągniętą z ich skrzynki z narzędziami. Powoli zaciskał palce na jej trzonku, aż białeły mu kostki, a następnie rozprostowywał je i skóra na rękach odzyskiwała normalną barwę.

Arlene wybuchnęła śmiechem. Niepowstrzymanym, histerycznym śmiechem. Naprawdę wyglądał jak Jack Nicholson w *Lśnienu*. Nie wierzyła, że mógłby być niebezpieczny.

Stał przed nią z siekierą, patrząc jej prosto w oczy.

- *Nudzą Jacka takie sprawy, ciągła praca, brak zabawy* - powtórzył głosem Jacka Nicholsona. Przez dłuższą chwilę stał tak, z włosami opadającymi na twarz, jak Jack Nicholson, kiedy jeszcze miał włosy.

- Wyglądasz tak samo, jak on.

Mięśnie na jego szyi napięły się nieznacznie. Patrzył na nią nieruchomo.

- Choooooż tu, Johny - powiedział z szerokim, złym uśmiechem.

- Daj już spokój, Dick. - Arlene zaczynała czuć się nieswojo, serce było jej coraz szybciej. Ogarnął ją strach.

Richard, zupełnie jakby tylko na to czekał, opuścił siekierę i pocałował ją w usta. Przyłożył ucho do jej piersi, żeby posłuchać jej serca, które było gwałtownie, jak wtedy, kiedy miała orgazm. Roześmiał się, ale nie był to wesoły śmiech. Był głuchy i martwy. Arlene postanowiła, że musi znaleźć mu pracę.

Dla Dicka był to trudny okres. Zaliczył setki przesłuchań, kilka wspaniałych okazji przeszło mu koło nosa. Zrobił się bardzo drażliwy.

- Dzwonią i mówią, że mam duże szanse, a potem dają rolę jakiemuś chujowi.

- Dick, proszę, nie cierpię tego słowa.

- To tylko słowo, jak każde inne. Nie denerwujesz się, gdy mówię „jaja”.

- Tamto słowo jest znacznie gorsze.

Wydawało się, że nie ma już nadziei. Dick przestał się odzywać i wychodzić z domu i wtedy właśnie dostał rolę w sztuce wystawianej w londyńskim teatrze. Znowu był pełen życia i radości. W Londynie świetnie mu się powiodło, sztuka odniosła wielki sukces, a on dostał bardzo dobre

recenzje. Arlene pojechała do Londynu. Wynajęli wspólnie apartament w Covent Garden i przechadzali się po nim jak król Ferdynand i królowa Izabela. Ale Arlene dostała pracę inspicjenta w Dublinie i musiała wracać. Martwiła się, czy Dick poradzi sobie sam; do tego stopnia zawładnęła jego życiem, że coraz trudniej było mu dokonać czegokolwiek samodzielnie. Bardzo jej to odpowiadało. Wiedziała, że byłoby mu trudno od niej uciec.

Dick wrócił do domu zachwycony sobą. Miał świetną passę. Kiedy stanął w drzwiach, Arlene dosłownie się na niego rzuciła. Tęskniła za nim jak szalona.

Kilka dni później zaczęło ją swędzieć tam, na dole. Dokonała szybkich oględzin.

- Strasznie mnie swędzi - powiedziała.

- Mnie też - odparł.

- Wydaje mi się, że mamy wszy - powiedziała.

- Mnie też się tak wydaje - odpowiedział.

- Ale skąd mogły się wziąć? - spytała. - Nie mam pojęcia - odparł.

- Spałeś z kimś w Londynie.

- Tak.

Spokojnie wysłała go do apteki po stosowny środek. Normalnie zrobiłaby to sama, żeby uchronić go przed trudami życia, tym razem jednak postanowiła być twarda.

Podczas jego nieobecności czuła, jak narasta w niej gniew. Nie mogła uwierzyć, że zrobił jej coś takiego. Nigdy dotąd nie była na niego zła, nigdy nie powiedziała do niego jednego złego słowa. Ale kiedy wrócił z apteki z zieloną maścią, była w hysterii.

- Czuję się brudna - powiedziała. - Brudna i zawszona.

- Jesteś zawszona - odparł.

- Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem miałam gnidy we włosach. Nie spałam przez cały tydzień.

- To tylko wszy łonowe. Małe weszki, które szukały sobie nowego domu. Są zupełnie niegroźne.

- A skąd mam wiedzieć, co jeszcze złapałeś w trakcie swoich podróży? Te wszy to pewnie tylko wierzchołek góry lodowej.

- Nic więcej nie złapałem.

- Jezu, niektóre z tych chorób są nieuleczalne. Opryszczka na przykład, a teraz jest jeszcze ta nowa choroba, AIDS. Ludzie umierają na to w ciągu kilku tygodni.

- AIDS nie istnieje. To tylko pogłoski rozpuszczane po to, żeby utrzymać niegrzecznych chłopców i dziewczynki w ryzach.

- Z iloma osobami się przespałeś, kiedy byliśmy razem? Masz sprawdzić, czy są zdrowe. - Arlene objęła się ramionami, jakby usiłowała ochronić się przed jakimś atakiem.

- Z tą dziewczyną w Londynie użyłem prezerwatywy, ale to nie chroni przed wszami łonowymi. Nie złapałem niczego innego.

- Ty draniu - wyjęczała Arlene i zaczęła płakać.

- Nigdy ci nie obiecywałem, że będę wierny. Tego nie było w pakiecie. Albo bierzesz cały pakiet albo nic.

- Ty draniu, ty ohydny łazęgo. Nigdy więcej nie dotkniesz mnie swoimi brudnymi pieprzonymi paluchami - wycharczała.

- Zgoda - powiedział. - Będę trzymał swoje brudne pieprzone paluchy przy sobie.

- Dobrze zrobisz.

Arlene pobiegła do sypialni i siedziała tam, drżąc na całym ciele. Myślała o tym, żeby go wyrzucić z domu. Ale sprawy zaszły za daleko. Jak wyrzucić z domu całe swoje życie?

Przez dłuższy czas nie odzywali się do siebie. Oboje używali zielonej maści, która zadziałała jak należy. Arlene miała dużo pracy przy przedstawieniu, Dick zaczął zdjęcia do filmu, byli więc bardzo zajęci i dużo przebywali poza domem. Dick wracał coraz później. Minęły trzy tygodnie, a on ciągle odnosił się do niej bardzo chłodno. Arlene wpadła w panikę. Była pewna, że postanowił od niej odejść. Nie powinna była reagować tak gwałtownie z powodu kilku cholernych wszy łonowych. Dick patrzył na nią zimno, kiedy wracał do domu wieczorem. Jego puste spojrzenie było jak cios w twarz.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

- Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest ci przykro? - zapytał.

- Bo ci to mówię - odparła.

- Mnie też jest przykro - powiedział.

Nie kochali się tej nocy. Trzeba było czasu, by zapomnieć o tym, co się stało. Arlene była bliska rozpaczki. Jej wspaniałe życie seksualne, z którego czerpała tyle radości, ten cudowny, jarzący się klejnot, zostało zbrukane, zdeptane. Czowała się tak, jakby wbiła zęby w jabłko i rozgryzła robaka.

Tamtej nocy, kiedy leżał przy niej na brzuchu, Arlene napisała mu na plecach niebieskim długopisem:

To ciało jest własnością Arlene Morrissey. Wstęp surowo wzbroniony.

A pod spodem narysowała małą czaszkę i skrzyżowane piszczele.

Kilka dni później Dick wrócił do domu z bukietem czerwonych róż. Poprosiła go, żeby się z nią ożenił. Wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego, na Boga, chcesz za mnie wyjść? - spytał, zdumiony.

- Ponieważ doszłam do wniosku, że cię chcę. Żenisz się ze mną, czy nie?

- Ale ty masz dopiero dwadzieścia jeden lat. Spotkasz jeszcze wielu mężczyzn.

Arlene nie znosiła takiego protekcjonalnego tonu.

- Słuchaj, więcej ci tego nie zaproponuję. Albo zrobisz to teraz, albo zapomnij, że cię o to poprosiłam - powiedziała poważnie, wykazując bezkompromisowość, która stała się później tak istotną cechą jej osobowości.

- Dobra - powiedział. - Jasne. Pobierzmy się. Wyrośnie z tej rozwiązłości, pomyślała.

Pobrali się sześć tygodni później. Mieli akurat tyle czasu, żeby dać zapowiedzi w gazetach. Cała operacja odbyła się tak błyskawicznie, że wszyscy doszli do wniosku, że Arlene jest w ciąży. Nie była.

Ponieważ teraz należał do niej, Arlene oddała się bez reszty rozwojowi jego kariery. Porzuciła własne ambicje związane z aktorstwem, całą swoją energię poświęcając mężowi. Pracowała dalej w produkcji. Była jego menedżerem. Była jego siłą napędową. A on był jej narkotykiem.

Zakończenia, szczęśliwe zakończenia

To będzie trzy pięćdziesiąt - powiedział Martin Campbell do Arlene, podając jej trójkąt roqueforta i uśmiechając się szeroko.

Wręczyła mu pieniądze i uśmiechnęła się, widząc, że plakat z *Na księżycu* został wywieszony w oknie.

- Śliczny plakat - powiedział Martin. - Bardzo podoba mi się ten kolor.

- Tak - odparła Arlene. - Chyba rzeczywiście nieźle wyszło.

- Nie mogę się doczekać premiery - powiedział. - Przyjdę z ciotką Isą, jak zwykle.

- Świetnie, wspaniale - odparła Arlene.

- Jeszcze tylko kilka tygodni.

- Tak - powiedziała Arlene z roztargnieniem i wyszła. Martin był naprawdę męczący. Nie umiał tak po prostu sprzedać kawałka sera czy czegoś tam innego. Czuł się zobowiązany do zaba- wiania cię pogawędką, ilekroć przekroczyłeś próg sklepu, wpędzając cię w poczucie winy, jeśli akurat nie miałaś siły na rozmowy o pogodzie. Zazwyczaj Arlene nie miała nic przeciwko temu, ale tego dnia potrzebowała spokoju. Była bardzo zapracowana. Musiała doglądać mnóstwa spraw. Trzeba było zająć się prasą. Trzeba było uspokoić Isobel, która była bliska szaleństwa.

Na automatycznej sekretarce zastała wiadomość od świra. Pierwszą od bardzo dawna.

- Cześć, Arlene. Jaka to ulga, usłyszeć znowu automat zamiast tej smętnej tajemniczej kobiety. Istoty ludzkie są naprawdę męczące. Czy ona się kiedykolwiek wyprowadzi? Lepiej na nią uważaj. Wszystkiego dobrego od kogoś, kto ci dobrze życzy.

Ten głos. Dziwnie znajomy. Świr zaczął się spoufalać, nie nazywa jej już panią Morrissey tylko Arlene. Hmm. Doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli skasuje tę wiadomość, bo jeśli Isobel ją usłyszy, gotowa dostać jakiegoś ataku. Zdaje się, że ten świr nie lubi Isobel. Bardzo dziwne. Arlene była bardzo zaintrygowana. Była to najdziwniejsza rzecz, jaka przytrafiła jej się w życiu, ale Arlene przypuszczała, że nigdy nie dowie się prawdy. Postanowiła, że nie będzie o tym myśleć, bo w przeciwnym wypadku niechybnie zwariuje.

Była szósta trzydzieści. Isobel nie wróciła jeszcze do domu. Bez niej mieszkanie wydawało się puste. Istotnie udało jej się rozjaśnić trochę to miejsce. W salonie stały dwa wazony z kwiatami. Isobel miała układ z jednym ze sprzedawców z Grafton Street, który sprzedawał jej kwiaty taniej, często więc wracała do domu z wielkimi bukietami. Cięte kwiaty po obciętej cenie. Uwielbiała okazje. W mieszkaniu było teraz dużo czystiej, ale Arlene ciągle miała w nosie kwiatowy pyłek. Zupełnie jakby dzieliła mieszkanie ze śpiewakiem operowym.

Isobel mieszkała u niej już sześć miesięcy. Od lutego. Tymczasowa sytuacja w jakiś sposób przerodziła się w trwały stan rzeczy. Na początku Isobel często napomykała o agencjach nieruchomości i ogłoszeniach w gazecie, teraz jednak nie próbowała nawet zachować pozorów, że szuka mieszkania. Arlene sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Właściwie była zadowolona, że ma Isobel pod ręką. Kiedy Isobel się wyprowadzi, będzie za nią tęsknić. Bo kiedyś będzie musiała się wyprowadzić. Arlene postanowiła zaczekać, aż sztuka zostanie wystawiona i wtedy z nią o tym porozmawiać. Na tym etapie nie było sensu niepokoić Heddy.

Nalała sobie kieliszek czerwonego wina, zadowolona, mimo wszystko, z ciszy, spokoju i nieobecności Isobel. Chciała pomyśleć. Zamknęła oczy.

Richard zachowywał się podejrzanie dobrze. On i Arlene byli teraz całkiem dobrymi kumplami. Wydawało się, że Richard dobrze się bawi na próbach, lubi swoją rolę, lubi Marcusa i wszystkich. Spędzał dużo czasu z Marcją, zwłaszcza wieczorami. Wspierał ją w ciężkich chwilach po jej niedawnym rozstaniu z mężem, a Marcja korzystała ze sposobności, by trochę poflirtować, czego nie robiła od wieków. Richard stał się delikatny i współczujący wyraźnie starał się nie ranić niczyich uczuć. Wydawało się, że naprawdę zaszła w nim istotna zmiana, zupełnie jakby przeszedł szkolenie z życzliwości. Jakby skończył szkołę taktu.

Po rozstaniu z nim Arlene nie była właściwie z nikim związana. Od czasu do czasu zdarzała jej się jakaś dziwna przygoda, jak epizod z Marcusem, i małe wyprawy w miłosne obszary, na

przedproża cudzołóstwa, ale nie przeżyła niczego, co obudziłoby w niej prawdziwe emocje. Nie brakowało jej tego, nie tęskniła za tym. Zaczęła się zastanawiać, jaki Richard byłby teraz. Postrzymała się jednak i trzepnęła się mocno w rękę. Co za bzdura. Jeśli jeszcze kiedyś pozwoli sobie na takie rozmyślania, ukarze się znacznie surowiej. Intuicja podpowiadała jej, że nawrócenie Richarda jest bardzo powierzchowne.

W drzwiach stanęła Isobel. Promieniała. Próby wyraźnie ją uskrzydlały. Przez cały czas była nakrecona. Emanowała energią. Arlene naląła sobie kolejny kieliszek wina.

- Napijesz się? - spytała.

- Tak - odparła Isobel.

Usiadła na kanapie, ale zaraz wstała i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju. Znowu usiadła. I znowu wstała. Arlene wiedziała, że Isobel chce o czymś porozmawiać, ale nie potrafi sama zacząć rozmowy. Arlene postanowiła, że jej nie pomoże, ale uśmiechnęła się w do siebie w duchu, widząc jej zdenerwowanie.

W końcu skapitulowała.

- O co chodzi? - spytała, podając Isobel kieliszek wina.

- Wszyscy ciągle mnie męczą o zakończenie. Nikomu się nie podoba. Marcusowi się nie podoba. Richardowi się nie podoba. Marcii się nie podoba. A co ty o tym myślisz?

- Mnie się podoba - skłamała Arlene - ale ja staram się jak najmniej ingerować w to wszystko, żeby Marcus mógł robić swoje. Ponieważ jednak to twoja sztuka, do ciebie należy decydujący głos.

- Cóż, Marcus też mówi, że moje zdanie liczy się najbardziej, ale w ogóle nie mnie słucha. Nic nie dociera do jego zakutej pały.

O rany. To nie brzmiało dobrze. Isobel była bardzo zła.

- Sprawia wrażenie bystrego chłopaka, ale jest po prostu głuchy na wszystko, co usiłuję mu przekazać. Jedyne wytłumaczenie tego stanu rzeczy jest takie, że jest po prostu tępy.

Isobel była wściekła. Rzadko używała tak ostrych słów. Marcus musiał ją naprawdę porządnie wkurzyć.

- Słuchaj Marcusa, ale nie daj mu się tyranizować. Co ci właściwie powiedział o zakończeniu sztuki?

- Że jest melodramatyczne.

- A inni?

- Richard nie może uwierzyć, że człowiek, którego gra, zrobiłby coś takiego. Ale on interpretuje te rolę zdecydowanie zbyt miękko. Zrobił z Marka Delaney'a znacznie sympatyczniejszą osobę, niż zamierzałam. Powiedziałam o tym Marcusowi, ale Marcus mówi, że na razie powinnam

pozwolić Richardowi wydobyć z tej postaci jej pozytywne cechy, a on weźmie się za niego, kiedy przyjdzie czas. Ale minęły już dwa tygodnie, a Mark Delaney jest nadal radością życia dla wszystkich, którzy go znają.

- Och, to rzeczywiście problem.

- Mark Delaney, tak jak gra go Richard, to po prostu gentleman. Jasne, że Richard uważa, iż nie mógłby zrobić tego, co zostało opisane w końcowej scenie. Ale gdyby grał Marka Delaneya jak należy, zrobił by to, a nawet jeszcze gorsze rzeczy - powiedziała Isobel gniewnie.

- Posłuchaj, nie przejmuj się tak, Isobel. To naturalne, że pojawiają się problemy. Dotychczas wszystko szło zbyt gładko. Już zaczynałam się niepokoić.

- Sam Richard to taki mięczak, że pewnie nie ma zielonego pojęcia o tym, czym jest zło.

- Och, jestem pewna, że gdyby się postarał, umiałby wykorzystać swoje zdolności w tym kierunku.

- A ja nie jestem pewna, czy on w ogóle nadaje się do tej roli. Może trzeba go będzie zwolnić, tak jak mówiłaś.

Cholera. Isobel naprawdę się nakręciła. Nie ma sprawy, można oczywiście zwalniać aktorów, ale teoria Arlene nie odnosiła się do międzynarodowych gwiazd. Napelniła kieliszek Isobel, w nadziei, że wino ją trochę uspokoi.

- Rozmawiałaś o tym wszystkim z Marcusem?

- Nie. Właściwie nie. Próbowałam, ale mówię ci, że mnie nie słuchał.

O Boże. Zdaje się, że łączność została zerwana.

- Może razem z nim porozmawiamy? Wydaje mi się, że on w ogóle nie traktuje mnie poważnie - poprosiła Isobel, bliska płaczu.

- To śmieszne. Oczywiście, że Marcus traktuje cię poważnie.

- Ale wolę, żebyś ze mną poszła.

- Nie powinnam sprawiać wrażenia, że biorę czyjąś stronę. Ale zobaczymy.

Konflikt. Zawsze musiał wystąpić jakiś konflikt. Arlene nie zdarzyło się jeszcze pracować nad sztuką, przy której nikt by się z nikim nie pokłócił. A tym razem zanosilo się grubszą awanturę. Na regularne tornado.

Arlene szła po schodach do sali prób na North Great Strand Street. Marcus poprosił ją, żeby przyszła i obejrzała sztukę w całości. Pokazy przedpremierowe miały się zacząć już za dwa tygodnie, chciał więc, żeby Isobel wprowadziła ostatnie poprawki w ciągu najbliższego weekendu.

Konflikt, który narastał od pewnego czasu, w każdej chwili groził wybuchem. Isobel była nadąsana, a w kwestii zakończenia sztuki przyjęła postawę zdecydowanie defensywną. Marcus histeryzował i stał się bardzo drażliwy. Richard robił, co mógł, usiłując zadowolić i Marcusa, i Isobel, ale udawało mu się tylko irytować ich oboje. Ostatnio jednak zaczął coraz częściej brać stronę Marcusa.

Po schodach schodziła Janice, uśmiechając się szeroko do Arlene.

- Cześć, Arlene. Super, że dzisiaj przyszłaś, ktoś powinien na to spojrzeć świeżym okiem. Wszyscy umieramy z ciekawości, jak ci się spodoba.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Arlene, starając się nie patrzeć na nowe żółte kółko wpięte w jej górną wargę. - Jak idzie?

- Och, super - odparła Janice. - Fantastycznie. To rewelacja. Ta sztuka będzie naprawdę super.

„Super”. Najczęściej używane słowo w jej słowniku, jeśli „słownik” nie jest zbyt poważnym określeniem dla ilości wyrazów, których używała.

- Co tam się teraz dzieje? - spytała Arlene.

- Mamy przerwę. Marcus pojechał obejrzeć meble w jakimś magazynie. Candy wyszła po kanapkę. Richard i Marcia zostali na górze, żeby pogadać. On jest wspaniały.

- Kto?

- Richard Power, jest po prostu super. Nie mogę uwierzyć, że z nim pracuję.

- Lepiej w to uwierz, dziecinko.

- Nigdy nie spotkałam nikogo takiego. Nikogo z taką charyzmą.

- Och.

- Idę na dół po wodę mineralną. Chrypka - powiedziała i zrobiła minę, która miała świadczyć o bolącym gardle, po czym zbiegła w podskokach po schodach. Zasapała się, jak zawsze. Nie miała już dwudziestu lat.

Weszła do sali i zobaczyła Richarda i Marcie, siedzących razem w rogu. Byli tak głęboko pogrążeni w rozmowie, że jej nie zauważyli.

- Widziałam, jak na nią patrzysz - mówiła Marcia.

- Jeśli sądzisz, że jest w tym coś niestosownego, to jesteś w błędzie. Mam chyba prawo na nią patrzeć

- Nie, dopóki sypiasz w moim łóżku.

Co?! Arlene nie wierzyła własnym uszom. Richard sypia z Marcją?

- Cóż, w takim razie przestanę sypiać w twoim łóżku. Zupełnie zwariowałam.

- Bardzo się zmieniłeś - powiedziała Marcja, znacząco. Podniosła rękę, żeby pogłaskać go po twarzy.

- Wcale się nie zmieniłem.

- Zmieniłeś się. Kiedy cię poznałam, lata temu, obserwowałam cię i myślałam: oto człowiek, który ma zasady. Ale teraz stałeś się jak maszyna. Brak ci uczuć.

- Nie wiem, kim ci się wydaje, że jesteś, kobieto, żeby tak do mnie mówić. Nie wiem, co cię ostatnio napadło. Od ostatniego poronienia coś było z tobą nie w porządku. Ale zapomniałaś chyba, że było to także moje dziecko.

Co?! Richard był ojcem jednego z dzieci Marcii? Arlene sądziła, że nie widzieli się od dziesięciu lat. Nagle zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości.

Richard wstał.

- Zawsze zachowywałaś się tak, jakbyś tylko ty cierpiała po tej stracie - podszedł do Marcii.

- Ale pamiętaj, jedyną rzeczą, jakiej naprawdę pragnąłem w życiu, był syn.

Wszystko stało się jasne. To był tekst sztuki. Serce Arlene zwolniło trochę.

- I straciliśmy troje dzieci. Może trzech synów.

- Ale mamy Nualę.

- Wiem. I kocham ją tak samo, jak ty. Ale mój ból też powinien się liczyć.

- Chciałabym być znowu w domu i spacerować z tobą pod gwiazdami, jak kiedyś. Byliśmy sami, tylko ty i ja, jak na księżycu, a przed nami rozciągało się całe nasze życie, jak cudowny dywan, tkany w różne wzory. Ale nie ułożyło się nam tak, jak tego pragnęłam - powiedziała Marcja łamiącym się głosem.

- Zawiodłem cię. Niszczę wszystko, czego się dotknę - głos Richarda też zaczął się załamywać.

Totalna chała, pomyślała Arlene. Zdecydowanie przedobrzyli. Miała tylko nadzieję, że to nie Marcus ich do tego zachęcał.

Wydawało się, że dobrnęli do przerwy.

- Cześć wam - powiedziała Arlene.

- O Boże, Arlene, nie widziałam, jak wchodziłaś - powiedziała Marcja - Właśnie ćwiczyliśmy jedną scenę.

- Cześć - rzucił Richard.

Richard i Marcia popatrzyli na siebie i oboje się zaczerwienili.

- Przesadzaliśmy trochę - przyznała Marcia. - Szarżowaliśmy, szczerze mówiąc. Ale to świetna zabawa. Nie ma nic lepszego dla aktora, i gorszego dla publiczności, niż gra bez żadnych hamulców.

- Święta prawda! - zawołał Richard.

Tych dwoje najwyraźniej świetnie się ze sobą czuło.

- Boże, czego ja bym nie dała, żeby zagrać w przyzwoitym,ikliwym wiktoriańskim melodramacie. Chociaż raz. Cały ten realizm jest dobijający - oznajmiła Marcia.

- A gdzie jest Marcus? - spytała Arlene.

- Och, tu i tam. Krząta się przy różnych drobiazgach - odparła Marcia. - Jak to w tym zawodzie.

Zdaje się, że Marcia i Marcus specjalnie za sobą nie przepadali.

- A tak przy okazji. - Marcia wręczyła Arlene kopertę i małą paczuszkę. - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

- Jak, na litość boską, udało ci się zapamiętać datę moich urodzin? Zupełnie mnie zaskoczyłaś - powiedziała Arlene.

- Cóż, pamiętam o twoich urodzinach, bo w ogóle myślę o tobie.

Arlene otworzyła prezent. W środku był zestaw małych mydełek o różnych owocowych zapachach.

- Nie cierpię swoich urodzin - powiedziała. - Ale dziękuję za prezent.

Richard wyraźnie czuł się nieswojo. Kilka razy zdarzyło mu się spędzić z Arlene dzień jej urodzin. Przyszedł Marcus.

- Cześć Arlene, jak to miło, że przyszłaś. O, prezent. Kto ma dzisiaj urodziny?

- Arlene - odpowiedziała Marcia.

- Wszystkiego najlepszego! - zawołał Marcus. - A niech to, zupełnie zapomniałem. Jak bardzo jesteś stara?

- No dobra, koniec z tym. Nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat.

- Zaczynamy punktualnie o czwartej - powiedział Marcus. - Przyjdzie też oświetleniowiec. Gdzie są wszyscy?

W drzwiach stanęły Janice i Corinne.

- Zrobimy teraz całość z jedną przerwą, żebyście mogli napić się herbaty. Uważajcie na tempo, będę mierzył czas. I żadnych improwizacji. Czy wszyscy nauczyli się tekstu?

- Jasne - powiedział Marcia. - Najwyżej Candy trochę nam pomoże - uśmiechnęła się do suflerki.

- Przepraszam - odezwała się Janice - mogę jeszcze do poniedziałku czytać z kartki? Chciałam się nauczyć tekstu w tym tygodniu, ale w restauracji wszyscy się pochorowali, więc musiałam pracować każdego wieczoru. Naprawdę bardzo przepraszam - wargi Janice drżały lekko, a jej koleczyk podrygiwał niepokojąco w górę i w dół.

Och, nie, pomyślała Arlene. Janice oczywiście okazała się niewypałem. Będzie się mylić i opuszczać zdania w czasie wszystkich przedstawień dla prasy i nauczy się tekstu dopiero na premierę, kiedy Arlene zagrozi jej użyciem siły.

- Obawiam się, że nie mogę nauczyć się tekstu za ciebie - powiedział Marcus protekcjonalnym, a jednocześnie urażonym tonem, który rezerwował wyłącznie na takie okazje. - W przeciwnym wypadku oczywiście z radością bym to zrobił.

- Obiecuję - powiedziała Janice - że w poniedziałek będę znała tekst na pamięć.

- To świetnie - odparł Marcus - bo inaczej będziesz miała kłopoty.

On też był coraz bardziej zdenerwowany.

Wszyscy zajęli swoje miejsca. Candy ustawiła meble i rekwizyty. Zaraz miała zacząć się próba.

- Gdzie jest Isobel? - zapytał Marcus.

- Nie wiem - odparła Arlene.

- Myślałem, że przyjdzie razem z tobą.

- A ja myślałam, że będzie tutaj.

- Wszystko się chrzani. Naprawdę mi zależało, żeby tu dzisiaj była i zobaczyła tę cholerną scenę finałową.

- Zaczekajmy na nią.

- Nie możemy. Musimy skończyć o szóstej. Janice musi być w restauracji o wpół do siódmej.

- Przykro mi - skrzywiła się Janice. Wiedziała, że nie zrobiła dobrego wrażenia na Arlene.

- Cóż, i tak musimy zrobić tę próbę. Cholera! To naprawdę wkurzające, kiedy ludzie nie potrafią współpracować. - Marcus był znużony i zły.

- Słuchaj - powiedziała Arlene. - Zróbmy tę próbę. Obejrzę dokładnie końcową scenę i potem omówię ją z Isobel.

Próba szła jak po maśle. Richard przyciągał uwagę jak magnes. Marcia była pełna siły. Janice okazała się naprawdę dobra. Arlene spojrzała przychylniejszym okiem na tę zbłąkaną owieczkę. Jej idiotyczne włosy i kółka w nosie wyglądały świetnie, kiedy grała Cathy. Emanowała żywioło-

wą energią młodości i optymizmem. Niezmaconą wiarą w przyszłość. Grała młodą dziewczynę, pewną, że życie będzie dla niej łaskawe i da jej szansę, i naprawdę nią była. Arlene była poruszona jej grą.

Corinne także była fantastyczna. Absolutnie fantastyczna. Kiedy zaczynała grać, jej twar- dość znikła jak za naciśnięciem guzika. Arlene patrzyła na nią z zapartym tchem. Głębia uczuć, jaką tchnęła w swoją rolę, była zdumiewająca. Postać Nuali uniosła się z kart scenopisu jak feniks. Nie, raczej jak suflet. Nie, jak para znad asfaltu po letniej ulewie.

Kiedy dotarli do kontrowersyjnej sceny, Arlene otworzyła scenopis i od czasu do czasu rzu- cała na niego okiem.

AKT 3, SCENA 5

Nuala Delaney siedzi przy stole w kuchni. Patrzy przed siebie pustym wzrokiem i od czasu do czasu nerwowo drapie się po szyi i ramieniu. Wchodzi Mark Delaney. Zaczyna krzątać się po kuchni. Chce coś powiedzieć, ale nie jest w stanie otworzyć ust. Ta niezręczna, pełna napięcia sy- tuacja trwa chwilę, aż w końcu:

Mark: Herbata, Nuala. Napiłbym się herbaty. Nuala: To sobie zrób. Ja opuszczam ten kosz- marny dom. Mark: Dopóki tu jesteś, będziesz robić, co ci każę. Nuala: Odpieprz się.

Mark: Rynsztok. Gdzie się nauczyłaś takich słów? Od tej małej prostytutki, z którą cię wi- działem?

Nuala: Zostaw ją w spokoju.

Mark: Zdajesz sobie sprawę, że wszyscy o tym wiedzą? Nuala: Oczywiście, że wiedzą. Ale za to nie możesz mnie winić.

Mark: Nie winię cię za to, że wszyscy wiedzą. Ale winię cię za to, co zrobiłaś.

Nuala: Nigdy nie pozwoliłeś mi dorosnąć.

Mark: Dziwi cię to? Skoro dopuszczasz się takich rzeczy? Nie mogę w to uwierzyć.

Głos mu się łamie. Kryje twarz w dłoniach.

Mark: Odśpiewałaś *Ave Maria* na spotkaniu fundacji Prawo do Życia, a potem poszłaś pro- sto do samolotu i poleciałaś zamordować własne dziecko.

Nuala: To nie było dziecko. To był galaretowaty czerwony strzęp! -Mark: To było ludzkie życie.

Nuala: Mówimy różnymi językami. To nie było dziecko. Najważniejsze jest prawo kobiety do wolnego wyboru, prawo kobiety do jej własnego ciała.

Mark: Gdzie się nauczyłaś tych szatańskich teorii? A referendum już za tydzień. Ci fotore- porterzy! Obłuda i fałsz. Och, nie jesteś moim dzieckiem.

Nuala: Udajesz takiego świętego, ale widziałam, jak na mnie patrzysz.

Mark: Szatan przez ciebie przemawia.

Nuala: Patrzysz na mnie tak, jak powinienes patrzeć na moją matkę.

Mark: Nie próbuj odwracać uwagi od tego, co zrobiłaś.

Scena rozwijała się znakomicie. Richard i Corinne byli bardzo przekonujący. Arlene spojrzęła na Marcusa, który siedział obok z wyrazem wielkiego skupienia na twarzy. Biedny Marcus. Arlene wiedziała, że koncentrował się aż do bólu.

Scena szła coraz lepiej. Mark Delaney (Richard) walnął obiema rękami w stół i zaczął krzyczeć. Był bardzo dobry. Stworzył niepewną, napiętą atmosferę, poczucie, że wszystko może się zdarzyć. Była w tym groza, ale także ból. Arlene była wstrząśnięta swoim nagłym podziwem dla jego talentu. Dla jego rzemiosła, jego czarodziejskiej sztuki.

Podszedł do córki i chwycił ją za włosy. Potem nagle znieruchomiał i stał tak przez chwilę bez słowa. Arlene nie była pewna, czy ciągle gra. Usiadł na podłodze.

- Przykro mi, ale coś mi tu nie pasuje. Nie jestem w stanie zagrać tej sceny, dopóki to się nie zmieni.

- Przepraszam - powiedziała Corinne - może nie byłam dość bezczelna? Marcus... tego... no może jeśli spróbuję być bardziej bezczelna, wyzwolę w nim więcej wściekłości?

- Nie, Corinne byłaś wystarczająco bezczelna. Nie wyobrażam sobie większej bezczelności.

- Bardzo przepraszam - powiedział Richard - wszystko zepsułem. Przepraszam, Marcus, przepraszam, Arlene. Spieprzyłem całą próbę.

- Nie, Richard, to nie twoja wina. Rzeczywiście, coś tu jest nie tak - powiedział Marcus. - Trzeba coś zrobić z tą przeklętą sceną. Gdzie, do diabła, jest Isobel?

Po próbie wszyscy poszli do pubu. Wszyscy poza Janice, która musiała lecieć do pracy, i Corinne, która musiała lecieć do domu, do dzieci. I Candy, która miała randkę.

- Och, muszę wracać do dzieciaków. Nie mogę się już doczekać, kiedy w końcu dorosną, a ja, po czterdziestce, zostanę znowu nieletnią przestępczynią - powiedziała Corinne radośnie.

- Nie narzekaj. To cudowne, że masz dzieci - odparła Marcia z wyrazem bólu na twarzy. Marcia zawsze potrafiła nawiązać do własnego cierpienia.

Corinne nie była już w stanie dłużej współczuć Marcii z powodu jej bezdzietności. Wszyscy zresztą słyszeli już o jej mężu i smarkuli z Fairview. Słuchając tej historii po raz pierwszy, Corinne szczerze Marcii współczuła, ale kiedy słyszała ją po raz piąty, dolna część jej twarzy zdrętwiała od wyrazu udawanego smutku. Marcia dała jej w kość.

Bar był miły, mały i ciemny. Nowoczesność i higiena nie miały tu wstępu. Nikt nie wspominał, że Isobel ciągle nie było. Po prostu zniknęła. Arlene dyskretnie wystukała na komórce swój numer domowy, ale po drugiej stronie odezwała się automatyczna sekretarka. Zaczęła się zastanawiać, gdzie jeszcze mogłaby zadzwonić. Na stary numer Isobel? Może wróciła do tego Conora?

Marcus siedział w kącie z bardzo nieszczęśliwą miną, popijając sok pomarańczowy.

- Cóż, było świetnie, pomijając tę ostatnią scenę - stwierdziła Marcia ze słabym uśmiechem.

- Tak mi przykro - powiedział Richard.

- Nie przejmuj się tym. Hej! Mamy jeszcze całe dwa tygodnie - zawołała Marcia.

Przez chwilę wszyscy milczeli, popijając swoje drinki.

- To był bardzo burzliwy czas. Byłeś tu jeszcze wtedy, Richard? - ciągnęła Marcia wesoło.

- Kiedy? - spytał Richard.

- W osiemdziesiątym trzecim. Mniej więcej wtedy zaczęła się ta kampania antyaborcyjna Prawo do Życia.

- Tak - odparł Richard. - Wyjechałem z Irlandii dopiero w osiemdziesiątym czwartym.

- Pamiętasz te małe złote stópki, które ludzie wpinali sobie w kłapy?

- Nie - odpowiedział Richard.

- Och, na pewno je pamiętasz. Były ot, takie - pokazała mniej więcej centymetr za pomocą kciuka i palca wskazującego. - Miały być dokładnie takie, jak stopy nienarodzonego dziecka w dziewiątym tygodniu od poczęcia.

- Pamiętam - powiedział Marcus. - Moja matka je nosiła.

- W tym kraju panowała dosłownie histeria, to było przerażające. Wszystko mogło się wydarzyć - mówiła Marcia.

- Chcesz powiedzieć, że nie umiem tego pokazać w swojej grze - rzucił Richard tonem paranoiczno-defensywnym.

- Boże, nie! Próbowałam tylko podtrzymać rozmowę. Nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała koledze po fachu. - Marcia także zajęła pozycję obronną.

- Ale tak myślisz. Może byś tego nie powiedziała, ale to właśnie insynuujesz.

Richard zaczął chyba tracić panowanie nad sobą. Arlene była zaskoczona. Odkąd wrócił do Dublina, ani razu nie pokazał swojego dawnego oblicza. Wszyscy byli podenerwowani. Sytuacja zrobiła się napięta.

- Och, na litość boską - powiedział Marcus - przestańcie robić z igły widły.

- Uważam, że Marcia powinna mnie przeprosić - oznajmił Richard.

- Nic nie zrobiłam - powiedziała Marcia. - Nie mogę przeproszać za coś, czego nie zrobiłam.

- Posłuchajcie - wtrąciła się Arlene - chyba wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani.

- Oczekuję przeprosin - upierał się Richard.

- Nie mam zamiaru ulegać jego tyranii - odparła Marcia.

- Posłuchajcie! - zawołała Arlene. - Wszyscy mamy napięte nerwy. Problem w tym, że Isobel zniknęła. Wiem, że to właśnie tak nas wszystkich niepokoi. Ale nie ma sensu wyładowywać się na sobie nawzajem. Obiecuję, że przyprowadzę ją w poniedziałek. Jest bardzo przewrażliwiona. Dziwię się, że jeszcze nie zwariowała.

Zadzwoiła komórka Arlene.

- To na pewno ona - powiedziała i odeszła dalej, żeby odebrać.

- Tak?

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Arlene? - rozległ się w końcu cichy szept.

- Isobel, czy to ty?

- Tak.

- Gdzie jesteś?

- W twojej łazience. Właśnie podciąłam sobie żyły.

- Co?! Już jadę. Wzywam karetkę.

- Rozmyślałam się i już nie chcę umierać - wyszeptała Isobel. - Uratuj mnie, proszę.

- Dobrze, zaraz tam będę.

Arlene zadzwoniła po pogotowie i wezwała karetkę. Powiedziała sanitariuszom, żeby zadzwonili do mieszkania Cartwrightów, którzy na pewno ich wpuszczą, ale jeśli zajdzie taka ko-

nieczność, niech wyłamią drzwi. Potem zawołała Marcję, Richarda i Marcusa. Razem wybiegli na ulicę. Richard złapał taksówkę i podał taksówkarzowi adres, podczas gdy reszta towarzystwa wsiadała do samochodu.

- Proszę się spieszyć. To sprawa życia i śmierci - powiedziała Arlene.

- Przykro mi, kochana, szybciej nie da rady. Całe miasto rozkopane. Nigdy tego nie skończą. Czasem mi się wydaje, że kopią tu dla frajdy. Moja żona, właśnie wróciła do pracy, bo dzieciaki już odchowane, więc ona właśnie pracuje w Corpo i...

Rozmowny taksówkarz! Arlene nie była w stanie włączyć się do pogawędki. Na szczęście Richard odpowiadał mu grzecznie, zdejmując z innych ciężar konwersacji. Zbliżyli się do kanału i skręcili w ulicę, przy której mieszkała Arlene. Pod domem stała karetka pogotowia i policyjny samochód.

Arlene wyskoczyła z taksówki i pobiegła do karetki. Sierżant O'Hanlon, ten, który badał sprawę tajemniczych telefonów, już tam był. Dwaj sanitariusze wynosili właśnie nosze z kamienicy.

Richard, Marcia i Marcus ruszyli za nią.

- Moje pieniądze! Co jest! - zawołał taksówkarz. Dość rozsądne żądanie, jakby na to nie patrzeć.

Richard wrócił biegiem, żeby mu zapłacić.

- To będzie równo pięć funtów - oznajmił taksówkarz. - Spuściłem wam dwadzieścia pensów, ze względu na nagły wypadek.

- Jest pan bardzo szczodry - powiedział Richard. - Może być kartą?

- Nie bardzo.

- Marcia, masz jakieś pieniądze? - zawołał Richard. Marcia podeszła do taksówki, wyciągnęła portmonetkę i wręczyła taksówkarzowi piątaka.

- Proszę zatrzymać resztę - powiedziała wyniośle, nie zdając sobie sprawy z faktu, że reszty nie będzie. W Marcii była jakaś wrodzona wielkość.

- Przepraszam za to, co mówiłem w barze - powiedział Richard. - Chyba popadam w paranoję. Myślę, że wyczułem kłopoty-

- Nie ma sprawy - odparła Marcia. - Miejmy nadzieję, że Hedda z tego wyjdzie.

Sierżant O'Hanlon położył Arlene dłoń na ramieniu.

- Wyjdzie z tego - powiedział. - Przyjechali na czas, a poza tym nie trafiła w żyłę na lewej ręce. Ale oczywiście bardzo się poharatała. Pewnie zatrzymają ją w szpitalu na noc, na obserwację.

Arlene podeszła do Isobel.

- Przepraszam - powiedziała Isobel. - Jestem taka słaba. Wiesz, kiedy sadzisz młode drzewka, niektóre są silne i rosną wysoko, a inne nie, mimo że rosną w tej samej glebie i na początku wyglądają tak samo. Ja jestem jednym z tych słabszych. Tym, które nigdy nawet nie czuje słońca na swoich gałęziach.

- Och, Isobel, nie mów tak. Naprawdę, głupia jesteś - powiedziała Arlene łagodnie, ale pomyślała: młode drzewa, jakie banalne porównanie. Isobel często wyrażała siebie za pomocą kiepskich metafor.

- Dziękuję, że mnie uratowałaś, Arlene. Rozmyślałam się w chwili, kiedy pomyślałam o tobie.

Sanitariusze wsunęli nosze do karetki i odjechali wraz z Isobel.

- Poradzi pani sobie? - spytał sierżant O'Hanlon.

- Oczywiście - odparła Arlene. - Jest ze mną kilkoro moich znajomych. Sierzancie, czy nie zechciałby pan przyjść z córką na premierę?

- Z przyjemnością.

- Przyślę panu bilety.

Arlene zaprosiła wszystkich do siebie. Marcia objęła dowództwo.

- Richard! Idź do kuchni i nalej każdemu po dużej whisky. Ja wezmę się za łazienkę - powiedziała. Włożyła gumowe rękawiczki i weszła do środka. Łazienka była cała we krwi. Marcia wzięła płyn do mycia kafelków i Dettol i zaczęła szorować. Była to brudna robota, ale ktoś to musiał zrobić.

- Co zrobimy z ostatnią sceną?- spytał Marcus. -Nie chciałbym być gruboskórny, ale to ważne dla nas, ale także dla Isobel.

- Wcale nie uważam, żebyś był gruboskórny. Myślę, że ona jest gruboskórna.

W przypiływie adrenaliny, spowodowanym zaistniałą sytuacją, Marcia zapomniała, że źle znosi widok krwi. Żołądek nagle podszedł jej do gardła.

- Problem polega na tym - ciągnął Marcus - że chyba za bardzo na nią naciskałem. Mam nadzieję, że nie zrobiła tego z mojego powodu.

- Nie martw się, Marcus, ona jest bardziej wytrzymała niż sądzisz. Sama tworzy swoje psychodramy. Właśnie dlatego jest taką dobrą pisarką.

Marcia puściła gwałtownego, głośnego pawia do muszli klozetowej. Od razu poczuła się lepiej i znowu wzięła się do szorowania. Ostatnio widziała tyle krwi na raz w *Lśnieniu* z Jackiem

Nicholsonem. W 1980 roku. Marcia była dumna ze swojej pamięci do dat filmów. Była ekspertem jeśli chodzi o pytania, jakie zazwyczaj padają w teleturniejach.

- Wytrzymała? - powiedział Marcus. - Wytrzymała kobieta nie zrobiłaby czegoś takiego.

- I tak, i nie. Zadzwoń po pomoc, prawda? Isobel jest jak guma. Naciąga się do granic wytrzymałości, ale w końcu wraca na swoje miejsce. Nie martwiłabym się o nią. Naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

Nie była to do końca prawda. Arlene martwiła się o Isobel. Zaczęła się pocić pod pachami.

Richard wszedł do pokoju z tacą, na której stał dzbanek z gorącą wodą, butelka whisky, cukier, cytryna i goździki.

Marcia stanęła w drzwiach łazienki. Jej twarz była bladozielona.

- Dużą whisky. Szybko! - powiedziała.

Nikt się odezwał, kiedy Richard rozlewał whisky do szklanek.

- Jak to możliwe, że krew jest tylko w łazience? - spytała Marcia, patrząc na czyściutki dywan pod swoimi stopami. - Jak dostała się do telefonu?

- W łazience też jest telefon. W kształcie ryby. Zaraz koło umywalki.

Arlene poczuła nagły ucisk nad czołem. Migrena. Od wieków nie miała migreny. O, nie! Kiedy zaczynały się problemy, zawsze zaczynała boleć ją głowa. Wiedziała, że będzie musiała się położyć.

Na szpitalnym łóżku

Nie powinnam była w ogóle pisać tej sztuki, a skoro już ją napisałam, nie powinnam nigdy pozwolić, żeby została wystawiona. - Isobel na szpitalnym łóżku, otoczona wazonami z kwiatami. Wszyscy przysyłali jej kwiaty, ogromne bukiety kwiatów. Powietrze było gęste od pyłku.

- Och - odparła Arlene. - Teraz jest już na to trochę za późno. Musimy ją wystawić, w przeciwnym wypadku trzeba będzie zwrócić inwestorom pieniądze, które zostały już częściowo wydane.

Isobel wyglądała jak życiowy rozbitek. Oba nadgarstki miała zabandażowane. Zeszczupłała bardzo, a na szpitalnym łóżku wydawała się jeszcze drobniejsza. Jak to się stało, że Arlene nie zauważyła, jak bardzo Isobel straciła na wadze.

- Siedziałam na próbach i czułam się tak, jakbym sypała sól na otwartą ranę. Powinnam była wiedzieć, że tego nie wytrzymam - powiedziała Isobel

- O czym ty mówisz? - spytała Arlene. Isobel była bardzo tajemnicza.

- O ostatniej scenie. Tej, która nikomu się nie podoba. Powiedz mi szczerze, co o niej myślisz?

- Cóż, muszę przyznać, że jest trochę przesadzona.

- To prawda.

- To prawda, że jest przesadzona?

- Nie, to co jest opisane w tej scenie, zdarzyło się naprawdę.

- Jak to?

- Zdarzyło się mnie. Mój ojciec stłukł mnie na miazgę, kiedy odkrył, że miałam skrobankę. Byłam w szpitalu, przez tydzień oddychał za mnie respirator. Uszkodzenie organów wewnętrznych. Omal nie umarłam.

- Co? - Arlene patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Tak. W tej sztuce jest wiele elementów autobiograficznych.

- Jezu, Isobel, powinnaś była mi o tym powiedzieć.

- Mój ojciec był twardym człowiekiem. Dorastał w ciężkich czasach, nigdy nie nauczył się porozumiewać z innymi. Zmienił życie mojej matki w piekło. Matka wieszała pranie w ogrodzie, ale on, zamiast wstać i wziąć sobie sól, wołał ją do kuchni i kazał ją sobie podać.

Arlene przyjrzała się Isobel. Jej zapadnięta twarz i wielkie smutne oczy - wszystko to nagle zaczęło mieć sens.

- To był potężny człowiek, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Górował nad nami obiema. Bałyśmy się go, Arlene, konałyśmy ze strachu przed nim. Ale tak naprawdę nie można go było za to winić. Tak został wychowany. Miał dwóch braci i dwie siostry. Dziewczęta spełniały w domu funkcje darmowych służących swoich braci. Moje ciotki, Carol i Miriam. Boże, to były zniszczone kobiety, zupełnie obumarłe, cienie istot ludzkich. Nigdy się nie odzywały. Moja matka szybko się do nich upodobniła.

Isobel urwała, żeby napić się wody. Jej szczupłe ramiona wyglądały jak ramionka dziecka albo skrzydełka wróbla.

- Bił mnie, odkąd pamiętam. *Dziateczki Duch Boży różeczką bić każe*. Nie było to specjalnie bolesne czy coś, tylko systematyczne. Bardziej wykańczało mnie myślenie o tym, niż sam fakt. Przestał, kiedy miałam jakieś trzynaście lat. Chyba uznał, że bicie dorastającej dziewczyny byłoby czymś niestosownym. Od tego czasu nie tknął mnie palcem, aż do tej aborcji, kiedy miałam osiemnaście lat.

- Boże, Isobel, to straszna historia - powiedziała Arlene.

- To tylko jeszcze jedna straszna historia. Wszyscy znają jakieś straszne historie. Ludzie chodzą po świecie, skrywając przerażające historie pod maską uśmiechu.

- Nie zgadzam się - powiedziała Arlene. - Niektóre historie są gorsze od innych, a to jest naprawdę okropna historia.

- Wiesz, właściwie nie dziwię się, że tak mu odbiło po tej skrobance. Pomagałam mu zbierać fundusze na kampanię antyaborcyjną, a jednocześnie sama usunęłam ciążę. Modliłam się pod figurą, a diabła miałam za skórą. I zostałam przyłapana na gorącym uczynku. I wszystko dostało się do prasy. Ludzie się dowiedzieli, że jego córka usunęła ciążę. Myślę, że tego właśnie nie potrafił znieść. Tego, że wszyscy o tym wiedzieli.

Isobel uśmiechnęła się, a po chwili zaczęła się śmiać.

- Wszyscy wiedzieli. To było naprawdę komiczne. Straciłam go z jego pudła po mydle. Bardzo źle się z tym czułam.

- Jak to się stało, że wszyscy się dowiedzieli? - spytała Arlene.

- Cóż, powiedziałam rodzicom, że jadę na weekend z An Oige, i że będziemy spać w schronisku młodzieżowym. W Londynie wszystko szło gładko, aż do chwili, kiedy miałam już wracać do domu. Pojechałam na Heathrow. Zupełnie zapomniałam, że mam w kieszeni dwa gramy haszu. Miałam je tam od tygodnia, zawinięte w cieniutką folię. Celnicy mieli psy, psy zwęchały hasz i zostałam aresztowana. Wpadłam. Zostałam oskarżona o posiadanie. W porządku, dostałabym tylko wyrok w zawieszeniu, ale rodzice zostaliby poinformowani. Powiedziałam celnikowi, że usunęłam ciążę bez wiedzy rodziców, w nadziei, że ulituje się nade mną i mnie wypuści. To był taki młody chłopak, z kolczykiem w uchu, więc sądziłam, że mnie zrozumie, w końcu to były tylko dwa gramy, na litość boską. Ale, niestety, był to jeden z nich, i przygwoździł mnie z tym większą satysfakcją.

- Och - powiedziała Arlene.

- Wszystko to było w gazetach następnego dnia. Mój ojciec dostał szału. Ja doszłam jakoś do siebie, ale on nie. Zapadał się w siebie. Już nigdy nie spojrzał na mnie z miłością. Odwiedzałam go w szpitalu, zmarł na raka rok później, ale ja sądzę, że tak naprawdę to było złamane serce. Nigdy się nie pojedналиśmy. Kiedy próbowałam z nim porozmawiać patrzył przeze mnie jak przez szybę. Moje ciotki i wujowie też przestali się do mnie odzywać. Umarł, a ja nie poszłam na pogrzeb.

- Dlaczego książkę *Szczera* zadedykowałaś ojcu?

- Miałam taki głupi pomysł, żeby w ten sposób się z nim pojednać i stanąć twarzą w twarz z moimi problemami. Próbowałam przypomnieć sobie to, co było w nim dobrego. Zawsze był dumny z moich osiągnięć w nauce, w szkole szło mi bardzo dobrze, a on był tym zachwycony. Ale to nic nie dało. Nie byłam zadowolona z tej książki. Potem pomyślałam sobie, że jeśli zgłębię swój stosunek do niego poprzez tę sztukę, może uda mi się od niego uwolnić. Ale nie zdawałam sobie sprawy, że to będzie takie realne. Myślałam, że będzie tak jak z książkami, ale to jest bardziej przerażające, bo aktorzy, którzy wcielają się w te role, sprawiają, że wszystko staje się prawdziwe.

- Tylko trójwymiarowe, Isobel, nie prawdziwe.

- Jestem ruiną człowieka. Popatrz tylko na mnie.

- Wyjdiesz z tego, Isobel. Wszystko będzie dobrze.

- Ale tym, co mnie pchnęło do tego, wcale nie była kłótnia z Marcusem ani krytyka z jego strony. To było coś zupełnie innego.

- Co?

- To zabrzmiało śmiesznie i melodramatycznie.

- Myślę, że już i tak znalazłyśmy się w dość melodramatycznej sytuacji.

- No więc tego dnia, kiedy zmarł mój ojciec, w osiemdziesiątym czwartym roku, byłam w domu w Dun Laoghaire. Otworzyłam drzwi do ogrodu i tam, na progu, leżała martwa sikorka. W sąsiedztwie było mnóstwo kotów, jeden z nich musiał ją zabić i przynieść mi w darze. Winowajcą był szary kocur, który siedział na murze i obserwował moją reakcję. Było lato i biednego ptaszka oblażyły mrówki.

- Jezu - powiedziała Arlene.

- Wzięłam łopatę, pamiętam wszystko, co się wtedy działo, każdy szczegół, to była wielka żółta łopata, która stała pod ścianą, podniosłam nią sikorkę, zaniiosłam na tył ogrodu, wykopałam dołek i pogrzebałam w nim ptaszka. Szary kocur cały czas mnie obserwował. Uklepałam ziemię i ułożyłam krzyż z kamieni. Wróciłam do domu, do swoich spraw. A kilka godzin później zadzwonił telefon. To była moja matka, która powiedziała krótko: „Twój ojciec nie żyje” i odłożyła słuchawkę. A ja potrafiłam myśleć tylko o grubym szarym kocie i małym, martwym ptaszku.

- Isobel, to naprawdę przerażające - powiedziała Arlene. Czują teraz, że chociaż się zaprzyjaźniły, ona tak naprawdę nic o niej nie wie. Wtykanie nosa w cudze sprawy nie było w stylu Arlene.

- I pomyślałam sobie, że ten kocur to mój ojciec, a ten mały ptaszek to ja. Mimo tego, że to ojciec umarł, miałam wrażenie, że to ja.

Arlene westchnęła głęboko i nalała wody dla nich obu. W szpitalu było bardzo gorąco.

- A teraz, w ostatni piątek, wróciłam do domu z zakupów i na progu twojego domu zobaczyłam martwą sikorkę. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam kota Cartwrightów, wielkiego szarego kocura, który siedział na drzewie i patrzył na mnie. Nie wierzyłam własnym oczom.

- Co?!

- Przypomniałam sobie, że mafia, żeby zastraszyć świadka, potrafiła wrzucić martwego kanarka do ściśle strzeżonej sali sądowej. Bo jeśli kanarek zaśpiewa, kanarek zginie. Przyszło mi nagle do głowy, że moja sztuka jest swego rodzaju świadectwem i że to ja jestem tym kanarkiem, który ośmielił się zaśpiewać.

- Chryste, Isobel - powiedziała Arlene. - Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Nie miałam łopaty, więc wzięłam z twojej kuchni łyżkę do zupy i widelec, wykopałam małą dziurę w ogródku przed domem i pochowałam biedną sikorkę, a kot nie spuszczał ze mnie wzroku. I wtedy pomyślałam sobie, że skoro życie tak boli, to po co żyć? Byłam zaślepiona bólem. Poszłam prosto do łazienki i podciąłem sobie żyły.

- A dlaczego postanowiłaś jednak do mnie zadzwonić? - zapytała Arlene bardzo cicho i łagodnie.

- Po prostu zobaczyłam ten telefon w kształcie ryby na ścianie, wzięłam go do ręki i coś w tej rybie sprawiło, iż uświadomiłam sobie, że jeśli umrę, wkrótce spotkam się z ojcem. Na myśl o tym poczułam, że jednak chcę żyć. Nie chciałam się z nim spotkać. Ani z nim ani z żadnym z jego zadufanych towarzyszy. Wyobraziłam ich sobie, jak siedzą rzędem w niebiosach, z wyrazem wiekuistej radości zastygłym na twarzach. Pomyślałam, że wolę tu zostać jeszcze jakiś czas. I zaśpiewać moją piosenkę.

Chaos

Arlene wracała do domu z prywatnego szpitala St. Vincent's. Miała ochotę się przejść. Była niedziela, ale na ulicach panował taki ruch, jak w dzień powszedni. Był to długi spacer, prawie czterdzieści minut, ale musiała ochłonąć. Oczyszczyć umysł. Wymieść z niego pajęczyny. Zetrzeć kurz z powierzchni mózgu.

Isobel wciągała wszystkich w swoje psychodramy. Przy niej nikt nie myślał o własnych kłopotach. Wystarczyły kłopoty Isobel. To, co się stało, to zły omen. Może Marcia miała rację, kiedy twierdziła, że spektakle przedpremierowe nie powinny rozpoczynać się w piątek trzynastego? Może to właśnie jest przyczyna kłopotów? W Arlene zaczęła wzbierać złość. I bez takich problemów wystawienie sztuki jest wystarczająco trudne, ale na myśl o tym bladym, kruchym stworzeniu leżącym w wielkim szpitalnym łóżku poczuła dziwne pieczenie pod powiekami. Bardzo dziwne uczucie. Uczucie, którego sobie nie życzyła. Zatrzymała się, żeby je dokładniej zbadać, ale skończyło się na tym dziwnym doznaniu na tyłach gałek ocznych i niewielkiej, mięsistej kulce, która podeszła jej do gardła. Zaczekała chwilę, a kiedy nic więcej się nie wydarzyło, ruszyła dalej betonową ścieżką.

Skreśliła do domu. Po spacerze czuła się trochę lepiej. Minęła kilka kotów Cartwrightów siedzących na podeście i popatrzyła na nie nieufnie. Koty odpowiedziały jej śmiałym, bezczelnym spojrzeniem. Koty są w zмовie z diabłem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Opowieść Isobel o kotach wcale Arlene nie zaskoczyła. I tak nigdy za nimi nie przepadała.

Automatyczna sekretarka błyskała cyfrą 1. Arlene wcisnęła guzik:

- Cześć, Arlene, mówi Janice Murphy. Jest niedziela, pierwszy września. Obawiam się, że mam bardzo złą wiadomość...

Jeszcze jedna zła wiadomość, pomyślała Arlene. Świetnie! Po prostu super!

- ...wyjeżdżam dzisiaj z kraju... - w tym momencie rozległ się jakiś głośny dźwięk - przepraszam, słuchawka mi wypadła, dzwonię z automatu na lotnisku, trudno mi utrzymać słuchawkę i bagaż jednocześnie. Wiem, że to nie w porządku wobec ciebie, ale nie mam wyboru. Wy tłumaczyłam to wszystko Marcusowi, ale on powiedział, że powinnam zadzwonić i przeprosić cię osobiście. No więc, tego, przepraszam. Tego, no, naprawdę mi przykro. Brzdęk.

Super! Naprawdę super, Janice! Arlene od początku wiedziała, że z tą dziewczyną będą kłopoty. Spodziewała się czegoś w tym stylu wcześniej, ale ponieważ nic takiego się nie stało, przestała o tym myśleć. Marcus będzie musiał coś z tym zrobić. Marcus i jego cholerne fascynacje! Po prostu, cholera, super!

Arlene zaczęła tracić nad sobą panowanie. Cholera, cholera, cholera. Cisnęła gazety na stół, po czym kilka razy głośno grzmotnęła w niego pięścią. Zadzwonił dzwonek. Ani chwili spokoju!

- Tak? Kto tam? - ryknęła do słuchawki domofonu.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się niepewny głos Richarda:

- Arlene? Czy to ty?

- Tak.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. A czemu miało by nie być?

- Bo krzyczysz.

- Krzyczę?! - wrzasnęła.

- Mogę wejść?

- Jasne.

Otworzyła drzwi za pomocą świeżo naprawionego brzęczyka. Doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli się trochę uspokoi, zanim gość wejdzie na górę, i zrobiła kilka głębokich wdechów.

Richard ostrożnie wszedł do pokoju.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Jak jest?

- Bywało lepiej.

- Widziałaś się z Heddą? - spytał.

- Myślę, że powinniśmy przestać ją tak nazywać, rozumiesz. Dziewczyna właśnie usiłowała odebrać sobie życie, więc moim zdaniem używanie w stosunku do niej przezwiska jest w złym guście.

- Masz rację. Ale w pewnym sensie bardzo mi się podobało.

Arlene nastawiła wodę na herbatę. Była wyczerpana. I trochę zdezorientowana. Uświadomiła sobie nagle, że jest z nim sama. Nigdy wcześniej nie był w jej mieszkaniu pod nieobecność Isobel. Patrzył na nią z wyrazem szczerzej troski na twarzy, z głową przekrzywioną na bok. W jego oczach było współczucie. Uśmiechał się ciepło, samymi kącikami ust. Ale przyjrzała mu się uważnie i powoli spod tej nowej, miłej twarzy wypłynęła złośliwa, zgorzkniała twarz z przeszłości. Arlene odwróciła się do niego plecami i poszła zrobić herbatę

Richard siedział z otwartymi ustami i słuchał opowieści o rozkosznym życiu rodzinnym Isobel, od czasu do czasu przerywając Arlene okrzykami zgrozy i przerażenia.

- I chcesz powiedzieć, że wylądowała przez ojca w szpitalu?

- Tak.

- Co jej dokładnie zrobił?

- Nie wiem, nie prosiłam jej o wypis ze szpitala. Poznałam już i tak aż za dużo szczegółów.

- Biedna dziewczyna - powiedział Richard. - Zawsze miałem wrażenie, że jest z nią coś nie tak. Jakby przeżyła jakąś tragedię.

- To znaczy?

- Nie potrafiłem tego sprecyzować, ale wiedziałem, że nie potrafiłaby tak pisać, gdyby nie zabrnęła wcześniej w jakiś ślepy zaułek.

- Tak. To by się zgadzało.

- Teraz widzę wyraźnie, że błędnie interpretowałem tę postać. Jest teraz zdecydowanie zbyt sympatyczny. Będę musiał to zmienić.

- Tak, pomyśl o tym.

- Nie cierpię grać drani - powiedział Richard ponuro. - Grałem kilku takich ostatnio, w zeszłym roku Ryszarda III, i doszedłem do wniosku, że coś z tych postaci zostaje w mojej duszy.

Co za bzdura, pomyślała Arlene. A więc takie znalazł usprawiedliwienie dla swojego zachowania: oładnęła mną diaboliczna osobowość granej przeze mnie postaci. Zapewne to któryś z jego psychiatrów podsunął mu tę myśl.

- To wszystko musi być dla ciebie bardzo trudne, Arlene. W końcu mieszkaliście razem.

- Przez to, że mam na głowie premierę, nie mogę poświęcić jej całego mojego czasu. Ale to przedstawienie wymaga mojej uwagi, ze względu na Isobel i ze względu na nas wszystkich.

- Uważasz, że jesteś niezbędną, ale chyba trochę przesadzasz.

- Chciałabym, żeby tak było.

- Bardzo lubisz Isobel.

- Tak - powiedziała Arlene cicho.

- To widać. Ona jest twoim maleństwem, o które się troszczysz.

- Cóż, wielu ludzi bardzo ją lubi. Na pewno to zauważyłeś. Już taka jest. To urodzona czarodziejka.

- Ale ty masz do niej szczególny stosunek.

Arlene poczuła nagle, że ma dość Richarda. Chciała, żeby się w końcu zamknął. Zaczynał ją wkurzać. Była zmęczona wszystkim i wszystkimi.

- Dlaczego Isobel postanowiła napisać tę sztukę, skoro tak ją to wykańczało? - nalegał Richard.

- A dlaczego wszyscy robimy rzeczy, które nas zabijają? Bo taka jest natura ludzka.

- Nie zgadzam się. Wielu ludzi nie zabija się z powodu swojej pracy.

- Nie wiemy, co to szczęście, dopóki nie zaznamy bólu.

- To trochę masochistyczny pogląd.

- A może to ulga w bólu tak nas pociąga? Jedzenie zawsze smakuje bardziej, kiedy jesteśmy głodni. Szczęście wydaje się czymś normalnym, jeśli nie następuje po cierpieniu. - Arlene czuła, że znowu nad sobą panuje.

- To prawda

- Może wcale nie to, że tańczymy nad przepaścią podnieca nas najbardziej, ale fakt, że nie spadamy?

- Hmm.

- Ty pewnie dużo wiesz o tańczeniu nad brzegiem przepaści. Dość długo to robiłeś.

- Patrzyłem w przepaść, to prawda. - Richard odwrócił twarz.

Tak, ty draniu, i robiłeś, co mogłeś, żeby mnie w nią zepchnąć, pomyślała, czując, jak jej życzliwość dla niego topnieje z każdą chwilą. Wytrwanie w przebaczeniu jest bardzo trudne. Kosztuje mnóstwo energii.

- Może napijemy się jeszcze herbaty? - zapytała tak uprzejmie, jak tylko potrafiła.

Zadzwonił telefon - fortepian. *Entertainer*. Strasznie wesoła melodia. Da - da - da - da, da - da, de - de - Arlene podniosła słuchawkę. Dzwonił Marcus. Arlene przypomniała sobie, że ciągle jest wściekła po telefonie Janice.

- Tak, tak, dzwoniła do mnie ta mała dziwka. Tylko jedno słowo przychodzi mi teraz do głowy - powiedziała Arlene. - „Zastępstwo”.

- Możesz w to uwierzyć? - spytał Marcus.

- Dokąd ona wyjechała? Mówiła, że jest na lotnisku, ale nie powiedziała, dokąd się wybiera.
Może na małe wakacje na Teneryfie?

- Do kibucu.

- Do kibucu?

- Tak - powiedział Marcus. - Nie sądziłem, że ludzie wyjeżdżają jeszcze do kibuców. Myślałem, że to wyszło z mody w latach osiemdziesiątych.

- Dziwne.

- Jest w ciąży. A jej chłopak bardzo chce zamieszkać w kibucu. Nie jest Żydem ani nic. To raczej typ militarysty. Wielki chłop, często wyjeżdża na różne obozy i umie łapać ryby zębami. Tak czy inaczej, dał jej ultimatum: albo wyjedzie z nim teraz i wyjdzie za niego, albo on zabiera się stąd sam i nie chce mieć do czynienia ani z nią, ani z dzieciakiem.

- Fantastyczny materiał na ojca. Co za empatia. Doprawdy, dokonała wspaniałego wyboru.

- Więc powiedziała, że jest jej bardzo przykro, ale musi przedłożyć dobro dziecka nad naszą sztukę.

- Sentymenty. Przyznasz, że to ohydne.

- Daj mi teraz spokój - powiedział Marcus. - Jestem w okropnej sytuacji, a do tego jeszcze Heddzie odbiło...

- Nie chcę, żebyś ją tak nazywał. To tworzy złą karmę.

- Nie mam aktorki - Marcus podniósł głos o oktawę. - Nie mam zakończenia sztuki, wszyscy zupełnie powariowali. Ja będę następny, mówię ci.

- Posłuchaj, odwołajmy jutrzejszą próbę - powiedziała Arlene spokojnie - i zajmijmy się zastępstwem. Ty zadzwoń do kogo się da, a jeśli trafisz na kogoś, komu od razu będziesz mógł zaproponować tę rolę, zrób to. Jeśli będziesz musiał najpierw zrobić przesłuchanie, umów się na jutro po południu. Możesz skorzystać z mojego biura.

- Dobrze.

- Marcus - dodała Arlene tonem usprawiedliwienia - wiedziałam od początku, że z tą dziewczyną będą kłopoty

- Jesteś okrutna - odparł. - Do widzenia. Arlene usiadła na kanapie.

- A więc - odezwał się Richard - czytając między wierszami, straciliśmy naszą Cathy.

- Tak - Arlene czuła się zakłopotana. Wiedziała, że fakt ten odbije się niekorzystnie na niej i na jej pracy. Lubiła mieć wszystko pod kontrolą.

- Świat się rozsypuje - powiedział Richard. - Środek stracił siłę przyciągania. Ogarnia nas chaos.

- Na to wygląda - odparła Arlene.

- Podoba mi się to - stwierdził Richard. - Lubię chaos. Jest twórczy.

Przeszłość III

Arlene i Dick pobrali się dwudziestego trzeciego września 1981 roku. Ona miała na sobie falbaniastą białą suknię wypożyczoną z teatru Gate, uszytą na potrzeby przedstawienia *Wichrowe Wzgórze*. Miała krój obowiązujący pod koniec osiemnastego wieku i żeby dobrze leżała, Arlene nosiła pod nią konstrukcję z drutu. Na suknię naszyto ręcznie mnóstwo drobnych perełek w kształcie łzy, które migotały w świetle. Dick wystąpił w długim surducie, który uszyto dla niego, kiedy grał w *Kobiecie bez znaczenia*. Przed uroczystością spotkali się z przyjaciółmi w hotelu Shelbourne na drinku, a ich przybycie wywołało spore zamieszanie. Stanowili niezapomniany widok, kiedy tak szli Dowson Street w kierunku urzędu stanu cywilnego na Molesworth Street, w wielobarwnym orszaku składającym się z inspicjentów, błaznów, dowcipnisiów, aktorów i chórzystek.

Matka Arlene dostała migreny, nie uczestniczyła więc w ceremonii zaślubin. Pojawiła się dopiero na kolacji, ale obaj bracia Arlene z pewnym zakłopotaniem wzięli udział w uroczystości.

Dziwne, jak łatwo się peszyli. Arlene sądziła, iż dzieje się tak dlatego, że matka zawsze robiła wokół nich mnóstwo zamieszania. Córką za to nie przejmowała się w ogóle.

Zakłopotanie chłopców nie minęło z wiekiem, więc w końcu zdecydowali się na emigrację, aby zejść ludziom z oczu. Uciekli też od podstawowej przyczyny swojego zakłopotania, a mianowicie faktu, że zostali zrodzeni z kobiety.

Uroczystość w urzędzie stanu cywilnego była szybka i malownicza. Do maleńkiej salki wcisnęła się tylko część świty, reszta stała w drzwiach i na korytarzu. Po złożeniu przysięgi Dick wziął Arlene na ręce i zakręcił się w kółko, trzymając ją wysoko w powietrzu. Była zachwycona. Wydawało się, że i on dobrze się bawi. Arlene śmiała się i śmiała.

Zaatakowali bar na Duke Street. Wszyscy się upili. Wygłoszono niejedną mowę. Zjedzono kolację w restauracji na Wicklow Street. W końcu państwo młodzi wrócili do domu i zatrzasnęli za sobą drzwi.

- Pani Whelan - wyszeptał Dick do ucha Arlene - moja żona. Wiedziała, że to go podnieca. Lubił powtarzać słowo „żona”.

Dla niego było to bardzo seksowne. Stanął za nią, pieszcząc ją i całując w szyję, i zaczął rozpinać jej białą suknię.

- Czy matka wyjaśniła ci, co to jest seks?

- Nie, proszę pana - odpowiedziała, kiedy biała suknia spłynęła na podłogę. Dick podniósł ją i rzucił na krzesło. Materiał naciągnął się lekko, kilka perełek oderwało się i spadło na podłogę-

- Co to jest seks? - stała przed nim w białej bieliźnie i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Więc nic o tym nie wiesz?

- Nic, proszę pana.

- Cóż, w takim razie będę musiał udzielić ci kilku lekcji.

- Lekcji? Tak jak matematyki i geografii?

- Raczej geografii.

I zaczął swoje lekcje geografii, a ona była bardzo pilną uczennicą.

- Zawsze chciałem ożenić się z dziewczicą - powiedział.

Przenieśli się do starego domu z czerwonej cegły w Donnybrook, do większego mieszkania z dodatkową sypialnią. Kiedy

Arlene otworzyła frontowe drzwi, poczuła znajomy zapach wilgoci, papierosów i ubóstwa. Ale na szczęście ich mieszkanie było z drugiej strony, gdzie ten zapach nie docierał. Popołudniami słońce świeciło w ich okna, które otwierali na oścież, żeby wpuścić świeże powietrze.

Dick pił teraz mniej. Gotowali na zmianę. Po kolacji Dick zaczynał głośno szczekać i skakać po meblach, domagając się spaceru. Miał niespożyte siły. Po drodze musieli minąć kilka barów. Przed ich drzwiami Dick zaczynał cicho skomleć i trącać łapą jej ramię, ale tak naprawdę nie chciał wchodzić do środka. To znaczy, zazwyczaj.

Był zbyt dumny, by zabiegać o role, więc Arlene robiła to za niego. Ona nie była zbyt dumna. Załatwiała mu przesłuchania do wszystkiego, do czego się dało. Jego sytuacja się poprawiła. Grał coraz więcej. Zarabiał coraz więcej. Arlene przestała pracować przy produkcji przedstawień, bo praca na rzecz Dicka szybciej przynosiła pieniądze.

- Powinnaś dostawać dziesięć procent - powiedział kiedyś i zaczął się śmiać.

Dziesięć procent? Spojrzała na niego zdumiona.

Załatwiła mu dużą rolę w amerykańskim filmie, który miał być kręcony w okręgu Clare. Był to horror na podstawie irlandzkiej legendy o duchach. Oboje uznali, że scenariusz jest przekomiczny, ale czeki poważne i opiewające na spore sumy.

Zamieszkali w hotelu. Bawili się świetnie, wydając zaliczkę i przesiadując w barach, które nie znały prawa licencyjnego i były otwarte całą noc. W ciągu dnia Arlene nie miała nic do roboty, więc wylegiwała się w wannie, chodziła na spacer, jednym słowem miała wakacje. Nie przywykła do takiej bezczynności, ale czuła się świetnie. Film okazał się totalną chałwą, ale Dick był w nim

bardzo przekonujący i zebrał bardzo dobre recenzje. Arlene zdobyła piracką kopię na wideo, którą pokazywała komu trzeba. Oboje czuli, że wielka szansa jest już całkiem blisko.

Istotnie, wkrótce nadarzyła się świetna okazja. Przyzwoity film klasy A. OIRA. Arlene poszła pewnego ranka do hotelu Berkeley Court i odszukała kierownika do spraw obsady, który właśnie jadł jajka sadzone i kiełbaski. Zostawiła mu kopię filmu o duchach i wysłała do niego Dicka. Dyrektor był pod wrażeniem. Wysłał

Dickowi scenariusz. Scenariusz był świetny. Dick miałby zagrać rolę przyjaciela głównego bohatera. Bardzo soczystą rolę. Wynegocjowano gażę. Wypłacono zaliczkę. Poinformowano prasę. Dick udzielił kilku wywiadów, opowiadając o tym, jak sobie wyobraża swoją pracę z wielkimi gwiazdami. Nie przyjął innych propozycji.

Potem dyrektor pokłócił się z wytwórnią filmową. Odszedł, a kierownik do spraw obsady został zwolniony. Dick stracił rolę. Depresja. Alkohol.

Znowu brakowało pieniędzy. Przyzwyczajeni do biedy, nie bali się jej specjalnie, a kiedy pieniądze znowu się pojawiły, szybko zostały wydane. Nie oszczędzali na czarną godzinę. Dick nie dostał żadnych innych propozycji, więc Arlene przyjęła pracę inspicjenta przy sztuce, która właśnie objeżdżała Irlandię i Zjednoczone Królestwo.

Rozstali się pierwszy raz od dnia ślubu i Arlene tęskniła za Dickiem okrutnie. Brakowało jej go w dzień, ale przede wszystkim w nocy. Dzwoniła do niego z pokoi hotelowych, gdzie jej ciało usychało z tęsknoty za jego dotykiem. Było to uczucie tak dojmujące, że kiedy grali w Athlone, dwie godziny drogi od Dublina, Arlene postanowiła chociaż na chwilę wpaść do domu. Kiedy tylko przedstawienie dobiegło końca, rzuciła rekwizyty, wskoczyła do pożyczonego samochodu, wciśnęła gaz i popędziła do Dublina.

Miała świetny czas, dojechała do miasta kwadrans po pierwszej. Marzyła o seksie, wyobrażenia podsuwała jej szalone wizje. Zostawiła samochód pod domem, prawie biegiem przebyła ścieżkę do drzwi wejściowych i wsunęła klucz do zamka. Nie chcąc budzić sąsiadów, po cichu weszła na schody. Już miała wejść do mieszkania, kiedy usłyszała dobiegający z niego głośny śmiech. Kobięcy śmiech. Otworzyła drzwi i weszła do kuchni.

Dick stał na stole. Udawał Elvisa Presleya - koszulę miał rozpiętą na piersi, a w rękę trzymał butelkę piwa, która udawała mikrofon. Na krześle, zanosząc się od śmiechu, siedziała Elisabeth Dunne, aktorka, znana z nie najlepszej reputacji.

W pierwszej chwili Dick nie zauważył Arlene i śpiewał dalej - *...treat me like a fool...* - ale Elisabeth zobaczyła ją, przestała się śmiać i wyprostowała się gwałtownie. Kiedy Dick w końcu ją dostrzegł, nawet nie drgnęła mu powieka, śpiewał dalej, teraz już do niej - *... treat me mean and*

cruel, but love me. Najwyraźniej postanowił wybrnąć z sytuacji, idąc na całość. Skończył i zeskończył ze stołu.

- Masz ochotę na piwo? - spytał Arlene i spokojnie otworzył kilka butelek. - Znasz Elisabeth? Elisabeth, to jest moja żona, Arlene.

Elisabeth wyciągnęła rękę, a Arlene ujęła ją i uścisnęła, po chwili wahania.

Elisabeth była równie opanowana.

- Słyszałam, Arlene, że jesteś na tourne... Jak wam idzie?

- Świetnie.

- Gdzie teraz gracie?

- W Athlone.

- Doskonałe miejsce. W samym centrum wszystkiego. Byłam tam na tournée z *Miarką za miarkę*.

Elisabeth została jeszcze tylko chwilę. Gadka - szmatka. Ple. ple, ple. Zachowywali się tak niewinnie, że Arlene odprężyła się w końcu, doszła do wniosku, że była głupia, podejrzewając ich o cokolwiek. Elisabeth wydawała się miła, przyjazna. Dick objął Arlene i posadził ją sobie na kolanach.

Po dziesięciu minutach Elisabeth powiedziała:

- Chyba już pójdę. Przyciągnął mnie tu, żebym mu dotrzymała towarzystwa. Mówił, że bez ciebie czuje się rozpaczliwie samotny.

Włożyła płaszcz i ruszyła do wyjścia. Dick odprowadził ją na dół. Arlene patrzyła za nimi podejrzliwie. Czy rzeczywiście są tacy niewinni? W końcu to aktorzy. Czy przez cały czas grali? Dla ilu kobiet śpiewał piosenki Elvisa, dla ilu udawał Marlona Brando? Przy której jeszcze szcze-kał jak pies, który chce wyjść na spacer? Nie chciała o tym myśleć.

Dick wbiegł do mieszkania. Był trochę pijany.

- Witaj w domu, kochanie, strasznie się za tobą stęskniłem. A ona uwierzyła w to, słysząc szczerłość w jego głosie. Stopniała jak masło. Położył ją na stole i zaczął łaskotać pod pachami i w pasie. Arlene zaczęła się śmiać, tym okropnym, nieopanowanym śmiechem łaskotanych.

- Och, przestań - krzyknęła, ale nie mogła przestać się śmiać, balansując na krawędzi śmiechu i przerażenia, śmiechu i łez. Dick zaczął łaskotać wewnętrzną stroną jej ud i zanim się zorientowała, był gotów w nią wejść.

- Nie, nie na stole - przerwała mu. - Plecy mnie boją. Chodź do łóżka.

- Kocham cię - powiedział. - Moja Arlene.

- Ja też cię kocham - odparła.

Ruszyli do sypialni, zrzucając z siebie po drodze resztę ubrań. Arlene cieszyła się, że wróciła do domu, choćby na jedną noc. Jutro będzie musiała wstąpić, żeby zdążyć do Athlone na dziesiątą trzydzieści. Dick ciągle ścisnął swoją butelkę piwa. Arlene to wkurzało. Często brał piwo do łóżka.

Pociągnęła kołdrę i zamarła. Na samym środku ich łóżka, widniała plama kobiecej krwi. Nie jej. Była świeża, najdalej sprzed dwóch dni.

Zauważył, że ją zobaczyła.

- Kto? - zapytała tylko.

Przyłożył butelkę do ust i pociągnął długi łyk.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Tak. Czy to Elisabeth? Czy to ona?

- Słuchaj, to naprawdę nie ma znaczenia. Powinnaś się już zorientować, że zawsze będzie ktoś jeszcze. Ale to nie znaczy, że ty nie jesteś najważniejsza.

Był pijany i źle ocenił jej nastrój. Podszedł i położył jej dłoń na ramieniu.

Odepchnęła go.

- Co jest z tobą nie tak, że potrzebujesz tych wszystkich kobiet? Co chcesz sobie udowodnić?

Pociągnął kolejny długi łyk piwa. Pchnęła go tak gwałtownie, że piwo chlapnęło na podłogę. Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Czy to Elisabeth?

- Tak.

- I ona ma czelność siedzieć w mojej kuchni i pieprzyć trzy po trzy, podczas gdy dopiero co przespała się z moim mężem i zrobiłaby to znowu, gdybym się tu akurat nie pojawiła?

- Wiesz, jaka jest umowa - powiedział. - Nigdy ci niczego nie obiecywałem.

I wyszedł z pokoju.

Arlene zerwała prześcieradło z łóżka, zniosła je do kuchni i wrzuciła do kosza. Wyciągnęła z kredensu czyste prześcieradło i poszła pościelić łóżko. Zauważyła, że mała brązowa plamka widnieje też na pokryciu materaca. Zerwała je w przypływie wściekłości, ale krew przesiąkła przez nie na materac. Była niezniszczalna.

Arlene krzyknęła. Zaczęła naciągać na łóżko nowe pokrycie i czyste prześcieradło, podczas gdy Dick siedział w kuchni, otwierając kolejną butelkę piwa.

Wślizgnęła się pod kołdrę, ciągle naga i drżąca, i wtedy to się stało.

Potworny ból głowy, wprawiający jej mózg w szaleńcze wibracje przypominające elektrowstrząsy. Och, nie, pomyślała, zaczynam wariować. Ześwirowałam. Chciała wołać o pomoc, otwo-

rzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Zapaliła lampę i światło poraziło jej oczy. Pokój nagle zmienił się w chybotające się na prawo i lewo zygzaki. Przerazona, zamknęła oczy, ale zygzaki zostały pod jej powiekami, odcisnięte w jej umyśle. Znowu spróbowała zawołać i tym razem wiedziała, że udało jej się wydobyć z gardła słaby, jakby zwierzęcy jęk. Potem żołądek nagle podszedł jej do gardła i Arlene zwymiotowała na siebie i na pościel.

Dick usłyszał jej jęki i wpadł do sypialni akurat kiedy zaczęła wymiotować. Pobiegnął do kuchni i przyniósł miskę z wodą i ściereczki. Odsunął jej włosy z twarzy, kiedy wymiotowała.

Próbowała powiedzieć „głowa”, ale wyjęczała tylko „Ooi, ooi”.

- Boli? - zapytał.

Tak, pomyślała, głowa mnie boli.

- Ooa, ooa - powiedziała znowu.

- Migrena. - Dick domyślił się w końcu, co się dzieje.

Jego głos dotarł do niej przez mgłę halucynacji i zrozumiała, co się stało. Dostała migreny, co często zdarzało się jej matce. Chwyciła się go kurczowo, w nadziei, że to ją zakotwiczy w rzeczywistości, ale jej ramię nagle stało się dziwnie elastyczne i kiedy go objęła mogłaby przysiąc, że otoczyła go nim kilka razy, jak macką ośmiornicy.

Dick przewrócił ją na wznak i położył jej na czole moką ściereczkę. Przestała wymiotować, ale trzęsa się jak w febrze. Była zlana potem. Dick wpadł w panikę. Wyrzeźwiał w okamgnieniu. Pobiegnął do holu i już miał dzwonić na pogotowie, kiedy przyszło mu do głowy, żeby najpierw zadzwonić do jej matki.

Telefon wyrwał panią Morrissey ze snu, ale była bardzo opanowana.

- Wszystko w porządku, Dick - powiedziała uspokajająco. - Ja też miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy pierwszy raz mnie to dopadło. Za pierwszym razem to straszny szok, ale można się do tego przyzwyczaić. Światło wzmaga objawy. Zgaście wszystkie światła, kiedy to się zaczyna, a w dzień zaciągnijcie zasłony.

- Na pewno nie trzeba wezwać lekarza? Wydaje się bardzo chora.

- Zaczekaj z tym do rana. Postaraj się, żeby zasnęła. Jeśli uda jej się zasnąć na samym początku, migrena może się skończyć, zanim się na dobre zacznie.

Dick wrócił do sypialni, gdzie Arlene ciągle trzęsa się pod kołdrą. Zgasił światło i po ciemku zdjął z łóżka pościel pokrytą wymiocinami. Wyciągnął z szafy czystą pierzynę, potem położył się obok Arlene i ją przytulił. Powoli przestawała się trząść. Jej oddech wyrównał się i po chwili zapadła w sen.

Następnego ranka Arlene pamiętała wszystkie szczegóły ataku, pamiętała też uczucie radosnego spokoju, które nastąpiło po tej burzy nerwów.

I pamiętała sen, jaki przyśnił jej się tej nocy. Śniła, że penis Dicka usechł i zmienił się w cienką spróchniałą gałązkę.

Migrena na stałe zadomowiła się w jej głowie. Kiedy Arlene przebrnęła przez szok pierwszego ataku przyzwyczaiła się do tego zgiełku w swoim mózgu, do eksplozji bólu. Sam atak był trudny do wytrzymania, ale to, co po nim następowało, było całkiem przyjemne. Radosne uczucie ulgi, odprężenia.

Poszła do lekarza - chodzi do niego do tej pory - choć właściwie nie przejął się specjalnie jej dolegliwościami.

- Klasyczna migrena. Niegroźny, choć dość przykry stan psychofizyczny. - Tak to określił. - Jest to w zasadzie objaw nie tyle choroby, co właśnie zdrowia. Przypomina nam, że istoty ludzkie, od czasu do czasu, potrzebują być chore.

Arlene najczęściej doświadczała migreny, kiedy była zła. Tak reagowała na napięcie. Ale czasem ból głowy pojawiał się bez żadnego powodu, jakby składał jej kurtuazyjną wizytę, tylko po to, by jej przypomnieć o sobie i o jej ciemnej stronie.

Powrót Jo pracy

W poniedziałek wieczorem Świr znowu nagrał się na sekretarkę.

- Dzień dobry, pani Morrissey. Słyszałem, co stało się pani Coole. Strasznie mi przykro. Mam nadzieję, że to nie miało nic wspólnego z moimi telefonami. Mam nadzieję, że nie słyszała ostatniej wiadomości. Naprawdę, okropnie mi przykro. Nie będę już więcej dzwonił. Do widzenia.

Hmm, pomyślała Arlene, wydawał się naprawdę zdenerwowany. Źle się z tym czuje. To jednak nie jego wina. Intuicja jej nie zawiodła. To nie jest zły człowiek. To tylko samotna dusza błąkająca się po bezdrożach połączeń telefonicznych. Biedny rozbitek.

Isobel wróciła ze szpitala z kategorycznym zaleceniem unikania wszelkich stresów. Było to zalecenie niemożliwe do wykonania. Wpadła znowu w sam środek przygotowań do premiery. Nie mogła po prostu zostawić tego wszystkiego i uciec. Nie mogła uciec przed stresem.

- Myślę, że sobie poradzę - powiedziała, popijając w kuchni słabą herbatę.

- Dostałam znowu wiadomość od naszego Świra. Wyraził nadzieję, że czujesz się już dobrze.

- Skąd wiedział?

- Nie mam pojęcia, Isobel. Jedyne wytłumaczenie, to że Świr to ktoś, kogo dobrze znamy.

- Jakie to dziwne. Ale to miło z jego strony - powiedziała Isobel, która zdawała się czerpać siłę ze swojej herbaty.

Arlene pomyślała, że Isobel wygląda teraz dużo lepiej, że wydaje się znacznie większa, niż w szpitalnym łóżku.

- Mamę miłego Świra - powiedziała.

- To już coś.

- Może powinnaś z kimś porozmawiać - zasugerowała Arlene. - Z kimś, komu mogłabyś opowiedzieć o swoim ojcu i o aborcji. To straszne, traumatyczne przeżycia. Wiesz, mam na myśli jakiegoś profesjonalistę, który będzie wiedział, co mówi.

- Chodziłam kiedyś do kogoś takiego - odparła Isobel. - Na początku trochę mi to pomogło, ale tym razem wpadłam we własne sidła. Powinam była wiedzieć, że ta sztuka znowu wydobędzie to wszystko na światło dzienne. Ale mimo wszystko czuję się teraz o wiele lepiej. Przestałam udawać, że wszystko jest w porządku. A to już bardzo dużo.

- Tak - przyznała Arlene.

- No i mogę rozmawiać o tym z tobą, przyjaciółko. - Isobel wyciągnęła rękę i położyła ją na rękę Arlene.

Nie bardzo się do tego nadaje, pomyślała Arlene, która zawsze głęboko wierzyła w profesjonalną pomoc. Spojrzała na szczupłą białą rękę, usiłującą ścisnąć jej własną dużą dłoń, i uśmiechnęła się do Isobel.

- Kochana Arlene. Jaki piękny uśmiech. Tak mi przykro, że tak długo tu siedzę i zwałam ci na głowę moje problemy. Jesteś nieskończenie cierpliwa i dobra. Jak tylko uporamy się z tym przedstawieniem, zacznę szukać sobie mieszkania. Obiecuję.

- Nie przejmuj się - powiedziała Arlene. - Ani trochę mi nie przeszkadzasz. Właściwie cieszę się, że mam cię przy sobie. Możesz zostać, jak długo zechcesz.

- Dzięki, Arly, jesteś prawdziwą przyjaciółką - uśmiechnęła się Isobel.

Arlene zaczęła się zastanawiać, czy nie o to jej właśnie chodziło. Z Isobel nigdy nie można było być niczego pewnym. Była taka słodka, taka delikatna, a jednocześnie taka wyrachowana i zimna.

Zadzwoił Marcus. Udało mu się znaleźć aktorkę, która chętnie przyjęła rolę Cathy.

- Paula Costello. To prawdziwy dynamit. Będzie inna niż Janice, jest od niej starsza, mniej niewinna, ale ma wielką siłę.

- To rzeczywiście dobra wiadomość, przyjacielu.

- Jest wolna od jutra. Miała zamiar pod koniec tego tygodnia jechać na wakacje do Hiszpanii, ale udało mi się wybić jej to z głowy.

- Wakacje? Kto teraz jeździ na wakacje?
- W każdym razie będziemy musieli zapłacić za tę wycieczkę.
- Dobrze, dobrze, nie mamy wyjścia.
- I za jej matkę. Miały jechać razem, ale jeśli Paula zrezygnuje, jej matka sama nie pojedzie.

Ma chore serce i Paula obawia się, że...

- Słuchaj, Marcus, czy ja naprawdę muszę to wszystko wiedzieć? Nic mnie nie obchodzi matka Pauli Costello ani na co jest chora. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego akurat w tej chwili tracę czas, rozmawiając na ten temat.

- Nie musisz się na mnie wyładowywać - powiedział Marcus i odłożył słuchawkę.

Do diabła. Arlene wiedziała, że jutro będzie musiała go przebłagać. Cholera! Lepiej, żeby zrobiła to od razu. Wystukała jego numer.

- Marcus?

- Przy telefonie.

- Mówi Arlene.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał chłodnym i lekko urażonym tonem.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie ma sprawy.

- Dobra robota.

- Co masz na myśli?

- To, że wytrzasnąłeś aktorkę, jakąkolwiek aktorkę, z dziedziczną wadą serca, czy bez.

- W porządku - roześmiał się Marcus. - Do zobaczenia jutro. Jasne! Arlene spędzała mnóstwo czasu, uszczęśliwiając wszystkich dookoła.

- O co chodzi? - spytała Isobel.

- Och, rzeczywiście, zapomniałam ci powiedzieć. Janice wystawiła nas do wiatru.

- Ale nie z mojego powodu?

Nie, Isobel, nie wszystko kręci się wokół ciebie.

- Nie. Jest w ciąży i wyjeżdża do kibucu ze swoim chłopakiem

- Och!

- Marcus znalazł kogoś na jej miejsce. Nazywa się Paula Costello. To świetna aktorka. Będzie bardzo dobra.

- Czy nie powinien najpierw skonsultować się ze mną? W kontrakcie jest napisane, że ja też muszę aprobować wszystkie decyzje dotyczące obsady.

- Trudno by nam było, Isobel, zorganizować przesłuchanie przy szpitalnym łóżku.

- Punkt dla ciebie - powiedziała Isobel.

- Poza tym, nie mieliśmy wyboru. Mamy tak mało czasu, że musieliśmy jak najszybciej kogoś zaangażować. Znam tę aktorkę i wiem, że jest naprawdę dobra.

- Widziałam ją w czymś? - spytała Isobel.

- Zobaczysz ją jutro rano na próbie.

Następnego ranka Arlene odprowadziła Isobel na próbę. Chciała ułatwić jej powrót i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Isobel miała na sobie koszulę z długimi, zakrywającymi nadgarstki rękawami. Cienie pod oczami zamaskowała korektorem.

Candy przygotowała dla niej fotel z miękką poduszką. Obok, na małym stoliczku, stała popielniczka.

- Jakie to miłe - powiedziała Isobel i zapaliła papierosa. Marcus skrzywił się, dając wyraz swojej odrazie do papierosów.

- Napijesz się herbaty? - zapytała Candy.

- Dziękuję, Candy - odparła Isobel. Marcus podszedł do niej niemal na palcach.

- Jak się czujesz? - zapytał cicho.

- Świetnie, Marcus, tak mi przykro z powodu tego wszystkiego. Teraz czuję się już świetnie, naprawdę świetnie. Nie przejmuj się mną. Myśl tylko o sztuce. - I uśmiechnęła się najmniej ludzkim ze swoich uśmiechów.

Widząc, że Isobel ma wszystko, czego potrzebuje, Arlene poszła do toalety. Siedząc w małej kabinie, usłyszała Marcie i Paulę Costello wchodzące po schodach. Zatrzymały się przed toaletą, żeby dokończyć rozmowę. Mówiła głównie Marcia:

- Zobaczysz, że to w pewnym sensie prawdziwe gniazdo os. Isobel Coole jest poważnie zaburzona, próbuje ze sobą skończyć. Zdaje się, że robi to od lat, jej agent musi co jakiś czas przylać tu z Londynu, żeby ją wyciągać z psychiatryka. Marcus to dość miły chłopak, ma mnóstwo wdzięku i energii, ale tak naprawdę brak mu wyobraźni. Richard Power jest w porządku. Ma przynajmniej tę zaletę, że jest międzynarodową gwiazdą filmową. No i Arlene, cóż, Ar...

Arlene nie życzyła sobie usłyszeć ani słowa więcej, pociągnęła więc za łańcuszek i reszta rozmowy zginęła w szumie wody. Kiedy wyszła z toalety, aktorek już nie było. Ta luźna pogawędka sprawiła, że poczuła się nieswojo. Ludzie swobodnie rozsiewający wokół informacje. Marcia. Słodka jak grzech, ale nielojalna. Dziwne, że tak ją to zaniepokoiło. Wiedziała przecież, że ludzie często są nielojalni, dwulicowi i na ogół nie dbała o to, co o niej myślą, co mówią za jej plecami. A dzisiaj? Dzisiaj ją to obchodziło.

Wróciła do sali. Isobel dostała dodatkową poduszkę i siedziała oparta wysoko w swoim fotelu. Marcus właśnie przedstawiał wszystkim Paulę. Arlene zauważyła pewien chłód, z jakim powitała ją Corinne Cooper. Stara rywalizacja, pomyślała. Corinne i Paula studiowały razem w szkole

teatralnej, a potem często ubiegały się o te same role. Corinne na ogół wygrywała w tej rywalizacji, ale kilka ról, na które miała ochotę, dostało się Pauli, przez co Corinne była tym bardziej rozgoryczona. Typowe. Ci, których stać na wielkoduszność, najrzadziej ją okazują. Arlene wzdrygnęła się. Osądzanie ludzi nie leżało w jej naturze. Coś z nią musi być nie tak. Jest wyczerpana, na pewno o to chodzi.

Wszyscy zajęli swoje miejsca, postanowiła więc zostawić ich samym sobie. Jeśli o nią chodzi, Isobel może ich wszystkich nakłonić do rytualnego skoku z okna. Arlene chciała iść do domu.

U stóp schodów siedział jakiś człowiek. Długowłosey i nieogolony. Zaniedbany. Arlene już miała go minąć, kiedy ją pozdrowił.

- Arlene! - zawołał, wstając gwałtownie i wyciągając do niej kościstą rękę. Arlene patrzyła na niego zdumiona. Nie poznała go.

- To ja, David Range - przedstawił się. - Mąż Marcii.

Nic dziwnego, że go nie poznała. Zazwyczaj był gładko ogolony i wymuskany jak spod igły. Był wysoki i szczupły, ale kiedy był dobrze ubrany nie rzucało się to w oczy. Teraz, w hippisowskich ciuchach, wyglądał jak szkielet. Pewnie próbuje dotrzymać kroku młodzieży, pomyślała, ale chyba nie bardzo mu to wychodzi. Lata siedemdziesiąte wróciły na fali mody retro, ale David nie wyglądał modnie. Wyglądał jak autentyczny produkt tamtej epoki, antyk, relikwiarz lat siedemdziesiątych. Około siedemdziesiątego drugiego.

- Co ty tu robisz? - spytała Arlene.

- Napijesz się kawy? - Nie czekając na odpowiedź, ujął ją pod ramię i ruszył w stronę kawiarenki po drugiej stronie ulicy. Usiadł przy oknie, z którego mógł dobrze widzieć salę gdzie odbywała się próba.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Arlene - powiedział.

- A gdzie jest panna Fairview?

- Kto taki? - spytał David.

- Ta małolata z Fairview.

- Arlene, popełniłem straszny błąd. Musisz mi pomóc. Chcę wrócić do Marcii.

- Och - powiedziała Arlene.

- Powiedz, że mi pomożesz. Proszę. Marcia cię uwielbia i zrobi wszystko, co powiesz.

A więc Marcia mnie uwielbia? No, no.

- Więc nie ułożyło ci się z tamtą dziewczyną?

- Bardzo delikatnie powiedziane. Ona jest dużo, dużo, dużo za młoda. Sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Ona nie jest tak naprawdę dorosła.

- Tak, cóż, skoro ma dopiero dwadzieścia dwa lata...

- Ona jest po prostu zbyt, zbyt - zdawał się szukać właściwego słowa - zbyt młoda. Nie mam pojęcia, co mnie napadło. To na pewno ta męska menopauza. Nie wiem, jak mogłem odejść od Marcii.

- Posłuchaj, Davidzie, nie sądzę, żebyś miał jakiś problem z odzyskaniem Marcii.

- Wierz mi, mam poważny problem. Odkłada słuchawkę, kiedy do niej dzwonię.

Biedny David. Wyglądał tak, jakby od dawna nic nie jadł.

- Dlatego zostało mi tylko wyczekiwanie pod tą salą, w nadziei, że ją złapię, jak będzie wychodziła.

- Skąd wiedziałeś, że tu mamy próby?

- Szedłem za nią pewnego ranka. Rzeczywiście, smutny przypadek.

- Posłuchaj, Davidzie. Na twoim miejscu kupiłabym wielki bukiet róż w kwiaciarni na O'Connell Street i zaczęła, aż Marcia wyjdzie na lunch. Znasz ją. Żaden gest nie jest dla niej zbyt efektowny.

David poszedł za radą Arlene. Bukiet, który kupił był tak niezwykle, że postanowił nie czekać do lunchu, lecz zanieść go na górę od razu.

Próba przebiegała całkiem gładko. Paula bez problemu weszła w swoją rolę. Roztaczała wokół atmosferę spokoju i pewności siebie. Isobel była zdumiona, jak bardzo inna była rola Cathy w rękach Pauli Costello. Zdążyła się już przyzwyczaić do zadziornej, pyskatej Janice, więc chłodny cynizm Pauli wydał jej się szokujący. Nic jednak nie powiedziała. Nie chciała kołysać łodzią, w której i tak było już sporo wody.

Rozległo się pukanie do drzwi. Candy poszła otworzyć.

- Mogę porozmawiać z Marcją? - zapytał gość przyciszonym głosem, uginając się pod ciężarem największego bukietu czerwonych róż, jaki Candy widziała w życiu.

Candy na paluszkach podeszła do Marcii, starając się nie przeszkadzać w próbie.

- Marcio, na zewnątrz czeka na ciebie jakiś człowiek. Chce z tobą porozmawiać.

- Jeśli to mój były mąż, to przekaż mu, proszę, że z nim nie rozmawiam. Powiedz mu, że mój prawnik się z nim skontaktuje.

David wybuchnął płaczem. Candy, dziewczyna o miękkim sercu, ulitowała się nad tym nieszczęsnym stworzeniem, będącym w połowie mężczyzną, a w połowie krzewem różanym. Powiedziała, że spróbuje jeszcze raz. Podeszła na palcach do Marcii i zrobiła błagalną minę.

- Pod żadnym pozorem - powiedziała Marcia.

Candy wróciła do drzwi i powtórzyła jej słowa Davidowi. David, łkając żałośnie, poprosił Candy o dostarczenie Marcii kwiatów i przekazanie jej, że będzie czekał na nią w porze lunchu w kafejce po drugiej stronie ulicy.

Candy wróciła na salę, uginając się pod potężnym bukietem róż.

Marcus, który od dłuższej chwili, mimo heroicznego wysiłku, nie potrafił się skoncentrować, na widok chodzącego krzaka róż stracił w końcu cierpliwość.

- Co tu się dzieje, do diabła? Candy? Nie jestem w stanie się skupić. Kręcisz się w tę i z powrotem jak jakieś cholerne jo-jo.

- Przepraszam - powiedziała Candy. - To jest przesyłka dla Marcii

- Przepraszam - powiedziała Marcia. - Mój były mąż całkiem postradał zmysły i bez przerwy się za mną włóczy.

- Och, więc David chce do ciebie wrócić? - Isobel spojrzała na Marcję.

- No tak, widzisz, zadzwonił do mnie dwa tygodnie temu i od tego czasu...

- Jezu Chryste! - ryknął Marcus, purpurowy na twarzy. - Nie wierzę własnym uszom! Może byśmy w ogóle dali sobie spokój z tymi próbami i pogadali o naszych sprawach sercowych, jak gromadka pieprzonych gospodyń domowych. Na pewno wszyscy mamy mnóstwo elektryzujących historii, które rozruszają towarzystwo. Corinne, jestem pewien, że chciałabyś nam opowiedzieć o swoim mężu i dzieciach, a ty, Paula, też pewnie masz jakiegoś miłego faceta...

- Facetkę - odparła Paula. - Jestem lesbijką.

- Jeszcze lepiej - ciągnął Marcus. - To doda trochę pikanterii. Wszyscy chętnie o tym posłuchamy. Na pewno chcecie też wiedzieć, co robiłem przez cały weekend z tym miłym Hiszpanem, z którym mnie widzieliście, ale - mówił coraz głośniej - w tej chwili sędzę, że przyda mi się przerwa. Dziesięć minut.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Zapadła cisza.

- Stres - powiedziała w końcu Marcia. - Na pewno odczuwa dużą presję.

- Oczywiście - dorzuciła Isobel, którą ogarnęło poczucie winy.

- Mimo wszystko nie podobała mi się ta wzmianka o gospodyniach domowych - stwierdziła Marcia. - Ci nowocześni mężczyźni wydają się całkiem w porządku, ale wystarczy trochę stresu i widać, co w nich tak naprawdę siedzi. Tak naprawdę gardzą kobietami.

- Kawy? - spytała Candy. - Może wszyscy powinniśmy się napić kawy.

Tego wieczoru Isobel wróciła do domu o wpół do siódmej. Przyjechała taksówką, z wielkim bukietem czerwonych róż. Marcia odmówiła ich przyjęcia i zamierzała wyrzucić je do śmieci. Isobel uważała, że to okropne marnotrawstwo i powiedziała, że weźmie je do domu, żeby rozweselić trochę mieszkanie. Marcia wyraziła na to zgodę, ale tylko dlatego, że Isobel ciągle jeszcze cieszyła się statusem inwalidki.

Tak więc czerwone róże wylądowały w końcu pod nosem Arlene.

- Tu jest chyba z pięćdziesiąt róż - powiedziała Arlene.

- Sześćdziesiąt. Pięć tuzinów. Policzyłam.

- Spotkała się z nim? - spytała Arlene.

- Tak, w końcu poszła z nim na lunch. Zdaje się, że on ma już dość tej panny Fairview. Nie jest dla niego dość wyrafinowana. Marcia powiedziała mi to dużym zadowoleniem. Panna Fairview kupuje wino za trzy funty czterdzieści dziewięć pensów u Quinnswortha, a pewnego dnia David wrócił do domu i dostał na kolację spaghetti z sosem ze słoika.

- A Marcia przyjmie go z powrotem?

- Chyba nie ma zamiaru poddać się zbyt szybko. Zdaje się, że zasmakowała w wolności. Na pewno najpierw trochę go podręczy.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała Arlene.

- Co? Co? - Isobel podskoczyła lekko.

- Miłą niespodziankę. - Arlene zaprowadziła Isobel do kuchni, gdzie czekał już nakryty stół, a na kuchence bulgotała interesująca potrawka, znad której unosiła się woń czosnku i ziół.

- Kolacja - powiedziała Arlene. - Potrawka z jagnięciny. Ugotowałam dla nas kolację.

Nie była to do końca prawda. Arlene kupiła potrawkę u Martina w delikatesach, ale istotnie sama ją podgrzała. Ugotowała też ryż w torebce i wrzuciła do miski sałatę z sosem Paula Newmana, do którego dodała trochę soli. Nalała też wina do dwóch kieliszków.

Isobel osunęła się na krzesło.

- Jesteś taka dobra. Taka dobra. - I wielkie łzy zaczęły spływać jej po policzkach.

- Co się stało? - spytała Arlene.

- Nie wiem - odparła Isobel. - Jestem przemęczona. Potrafię znieść wszystko, z wyjątkiem dobroci.

Arlene osłupiała.

- Daj spokój. Na pewno umierasz z głodu. Musisz coś zjeść. To ci dobrze zrobi.

Rzeczywiście, jedząc kolację, Isobel uspokoiła się. Zupełnie jakby jedzenie ugłaskało od środka jej podrażniony system nerwowy.

- Jak ci się podoba Paula Costello jako Cathy? - spytała Arlene.

- Bardzo, teraz już bardzo. Jest zupełnie inna niż Janice, więc zabrało mi trochę czasu, zanim się do niej przyzwyczaiłam. Janice wniosła do tej roli niewinność, ale Paula wnosi coś innego, mroczniejszego. Teraz przyjaźń Cathy i Nuali jest podszyta ukrytym napięciem.

- Co masz na myśli?

- Wiesz - ciągnęła Isobel - to ten rodzaj zazdrości, który istnieje między dorastającymi dziewczętami. Wszędzie można go zaobserwować. Młode dziewczyny afiszują się ze swoją przy-

jaźnią, ale powbijałyby sobie nawzajem noże w plecy i poodbijały chłopaków, gdyby tylko nadarzyła się po temu okazja. Tak teraz wygląda przyjaźń.

- Och. Naprawdę?

- Tak. To rzuca pewien cień na przyjaźń Cathy i Nuali, ale przedtem ten związek był zbyt wyidealizowany.

- Tak, zgadzam się - powiedziała Arlene.

- Przypuszczam, że Cathy naprawdę kocha Nualę, ale gdzieś pod tą miłością kryje się uraza i zazdrość o zdolności Nuali.

- Oczywiście.

- A Nualę razi żywiołowość Cathy i jej umiejętność cieszenia się wszystkim - ciągnęła Isobel. - Tak więc, mimo że są najlepszymi przyjaciółkami ich wzajemna miłość jest warunkowa. Przypuszczam, że każda miłość jest warunkowa.

Melancholia Isobel przesiąkała jej twórczość.

- Paula i Corinne to stare rywalki - powiedziała Arlene. - Często ubiegają się o te same role, więc nie za dobrze czują się w swoim towarzystwie.

- A więc o to chodzi?

- Tak, to proste i złożone zarazem.

- Wiedziałam, że coś się w tym kryje, ale nie wiedziałam co. Zabawne. - Uśmiechnęła się Isobel - myślałam, że napisałam sztukę, która jest czymś niezależnym i namacalnym, ale potem pojawili się ci aktorzy, ciągnąc za sobą swoje życie, swoje problemy i nagle moja sztuka stała się zupełnie inną sztuką. Szczera przyjaźń zmieniła się w skrywaną zazdrość, bo aktorki, które grają te role, nie przepadają za sobą.

- Fascynujące, prawda? - spytała Arlene.

- Rzeczywiście - przyznała Isobel.

Ostatnie poprawki

Carmel była cudownym zjawiskiem. Jej spokój i profesjonalizm miały na Arlene kojący wpływ. Telefon się urywał. Udział Richarda Powera w irlandzkiej produkcji teatralnej budził ogromne zainteresowanie. Przedaż biletów miała się rozpocząć dopiero w poniedziałek, dziewiątego września, ale w kasie teatru Lunar cały czas dzwonił telefon. Prasa szalała. Lato się kończyło, od kilku miesięcy nie było żadnej teatralnej premiery. Dziennikarze wrócili z wakacji opaleni, pełni energii i zapału.

- Do ciebie. - Carmel podała Arlene telefon. - Shirley Hastings, producentka tego nowego talk show Jeffa Jonesa. Wiesz, *Samson*, w piątek wieczorem. Chce rozmawiać tylko z tobą. Uparła się i dzwoniła już trzy razy. Dałam jej numer twojej komórki, ale ciągle wydzwania tutaj.

Arlene wzięła słuchawkę.

- Arlene, co u ciebie?

- Świetnie, Shirley, świetnie.

- Nie widziałyśmy się od wieków. Musimy „zaliczyć lunch”, jak to mówią.

- Jasne.

- Kiedy myśmy się ostatnio widziały? - dociekała Shirley. Do rzeczy, pomyślała Arlene.

- Wiek temu. Wszyscy są teraz tacy zapracowani.

- Bardzo mi się podoba tytuł *Na księżycu*. Brzmi fascynująco.

- Tak.

Do rzeczy, Shirley, do rzeczy.

- Irlandzka publiczność będzie zachwycona, że Richard Power znowu dla nich gra.

- Tak.

Przejdź do rzeczy, Shirley. Na pewno potrafisz.

- Naprawdę robisz bardzo interesujące rzeczy, Arlene, bardzo cię podziwiam.

- Tak.

- Podziwiam twoją niezależność. Podziwiam cię za to, że zdecydowałaś się zostać wolnym strzelcem.

- Tak.

- I mam wspaniały pomysł na talk show. Wiesz, do *Samsona*. Nareszcie!

- W tej sztuce, którą teraz wystawiasz, Corinne Cooper gra dziewczynę, która usunęła ciążę, prawda? Cóż, pomyślałam sobie, że byłoby naprawdę super, gdyby pokazała się w naszym programie i opowiedziała Jeffowi o doświadczeniu, jakim jest aborcja. Nie powiedzielibyśmy, że to

aktorka, po prostu odpowiadałaby na pytania. Jeff byłby oczywiście bardzo delikatny, on świetnie radzi sobie z kobietami, jak wiesz, jest naprawdę zaangażowany w sprawy kobiece. Zadałby jej kilka delikatnych pytań, na przykład, co dokładnie wtedy czuła i tak dalej. Potem przeszlibyśmy do szczegółów. Naga prawda. Nie unikalibyśmy drażliwych kwestii, bo w *Samsonie* nie boimy się poruszać kontrowersyjnych tematów. Nie zajmujemy się prostymi sprawami, wyłącznie tymi naprawdę złożonymi. Wiesz, o co mi chodzi?

- Ta-ak.

- Wywiad trwałby jakieś dziesięć minut, a potem powiedzielibyśmy ludziom, że to nie prawdziwa osoba, tylko aktorka, która gra w sztuce *Na księżycu* w teatrze Lunar.

- Hmm.

- To byłby rewelacyjny program. Aborcja jest teraz bardzo seksy - powiedziała Shirley.

- Bardzo oryginalny pomysł - powiedziała Arlene.

- Szokujące. Poruszające. Kawał dobrej telewizji. To będzie wielkie wydarzenie. - Shirley była bardzo podekscytowana.

- Pomyślę o tym.

- Możesz dać mi odpowiedź do jutra do dziesiątej rano? O jedenastej mam spotkanie producentów. Dalibyśmy to w ten piątek. To byłoby dla was świetna reklama.

Arlene wybrała się pieszo na kolejną próbę. Wyciągnęła Corinne na lunch i przedstawiła jej propozycję Shirley.

- Nigdy w życiu - powiedziała Corinne. - Jeśli sądzisz, że zostanę telewizyjną dziwką, to źle trafiłaś.

- Zaczekaj, nie tak szybko.

- Nie mogę uwierzyć, Arlene, że wzięłabyś udział w takiej farsie.

- Nie oceniaj tego tak pochopnie. Potrzebujemy reklamy, a reklama to brudny interes. Nie sprzedasz przedstawienia, jeśli nie ubrudzisz sobie rąk.

- Mowy nie ma. Mój mąż dostałby szału. Wyobraź sobie jego kolegów z pracy, którzy siedzą w piątek wieczorem przed telewizorami i oglądają, jak rozprawiam o skrobankach, których nie miałam.

- Mogłabyś ich uprzedzić.

- Ludzi, których dzieci chodzą z moimi do przedszkola też?

- N-no.

- Moja matka w Leitrim! Prawdopodobnie umarłaby na zawał, zanim doszliby do tego, kim naprawdę jestem.

- No tak.

- Nikt nie pokazuje się w publicznej telewizji, żeby gawędzić o swoich skrobankach i ja też nie mam na to najmniejszej ochoty, zwłaszcza że nigdy żadnej nie miałam! - Corinne gotowała się ze złości. - I nie podoba mi się, że w ogóle prosisz mnie o coś takiego. Jestem aktorką, którą zatrudniłaś, ale jestem też istotą ludzką. Możesz to powiedzieć tej swojej pieprzonej Shirley Hastings.

Corinne dopiła herbatę, wstała, odwróciła się na pięcie i wybiegła z restauracji.

Arlene nie miała jej tego za złe. Jej reakcja była w pełni uzasadniona. Tym razem Arlene zawiodła intuicja.

Poszła za Corinne na próbę. Godzina albo dwie i na pewno jej przejdzie. Arlene spojrzała na nią spod oka, kiedy wchodziła na salę. Corinne odpowiedziała jej spojrzeniem pełnym oburzenia.

- Co tu robisz? - spytał Marcus.

- Przyszłam, żeby zjeść lunch z Corinne, więc pomyślałam, że zostanę na próbie godzinę czy dwie. Mogę?

- Jasne. Rozgość się.

Pracowali właśnie nad drugą sceną drugiego aktu. Była to rozmowa między Markiem i Colleen Delaney. Arlene usiadła obok Isobel i słuchała.

Richard i Marcia znali swoje kwestie, nie korzystali ze scenopisu. Scena była już właściwie dopracowana. Marcia bardzo rozwinęła swoją rolę od czasu, kiedy Arlene ostatnio była na próbie. Teraz miała zapadniętą, pokonaną twarz i zgarbione plecy. Richard był całkowicie odmieniony. Wydobył z granej przez siebie postaci wszystkie negatywne cechy, dał się ponieść złu zawartemu w roli. Teraz, kiedy nie odrzucał już mrocznej strony Marka Delaneya, zaczął się w niej z lubością nurzać. Grał zło. W koniuszkach jego placów kryła się przemoc. Teraz okrucieństwo ostatniej sceny było całkowicie uzasadnione.

Oglądając próbę, Arlene widziała to wszystko wyraźnie. Ale widziała też Richarda takiego, jakim był kiedyś. Złego Dicka. Jego swawolny sadyzm. Te ręce, drżące z nieukierunkowanego, przemożnego pragnienia zemsty. Rozkoszował się swoją bestialską siłą. To było straszne. I smutne. Arlene zadrżała.

- Doskonale - powiedział Marcus, kiedy skończyli. - To było naprawdę mocne.

Isobel uśmiechnęła się smutno. Odetchnęła. Arlene zorientowała się po wyrazie jej twarzy, że o to właśnie chodziło. Richard zmienił swoją interpretację roli zgodnie z jej życzeniem.

- Jak było? - Marcus spojrzał na Richarda.

- Dobrze. To będzie bardzo pomocne później, przy ostatniej scenie.

- Rzeczywiście, aż mnie ciarki przeszły - powiedziała Marcia. - Naprawdę zaczęłam się bać.

- Bardzo dobre - odezwała się Isobel. - Bardzo dobre i bardzo smutne.

Richard uśmiechnął się do niej. Arlene dopuściła go do tajemnic z życia prywatnego Isobel, wiedział więc, co naprawdę miała na myśli. Podszedł do niej i lekko ścisnął jej ramię, chcąc dodać jej otuchy.

- Cieszę się, że ci się podobało - powiedział.

Richard był teraz częstym gościem u Arlene. Przychodził wieczorami. Isobel wróciła do gotowania, więc czasem zostawał na kolacji.

Arlene zauważyła, że Isobel nakłada mu wielkie, męskie porcje.

- Isobel - powiedziała pewnego dnia po wyjściu Richarda -zawsze dajesz Richardowi największy kawałek mięsa czy tego, co tam akurat masz.

- Wiesz - odparła Isobel - on jest wysoki, ale zbyt szczupły w stosunku do swojego wzrostu. Potrzebuje więcej jedzenia. Ty jesteś niska i masz nadwagę, więc to jasne, że potrzebujesz mniej jedzenia niż on.

Pokonana Arlene nie podjęła więcej tego tematu, ale nadal dokonywała skrytych wypadów do budki z frytkami. W pewnym sensie coraz lepiej układało jej się z Richardem. Teraz, kiedy obecność Isobel zapobiegała niepożądanym poufałości z jego strony, Arlene polubiła nawet jego wizyty.

Do samej Isobel miała stosunek ambiwalentny: czasami była wręcz zachwycona, że ją widzi i może z nią rozmawiać, czasami czuła się przytłoczona jej ingerującą we wszystko emocjonalnością. Czasami bywała dla Isobel opryskliwa, żeby się od niej odgradzić, żeby ją sprawdzić.

- Arlene, jesteś szczęśliwa? - spytała Isobel pewnego dnia.

- Co?

- Szczęśliwa. Jesteś szczęśliwa?

- A cóż to znowu za głupie pytanie?

- Po prostu pytanie.

- Jasne. Wszystko w porządku

- W porządku? A co to właściwie znaczy? - zaśmiała się Isobel

- No a ty, Isobel? Jesteś szczęśliwa?

- Mnie do tego nie mieszaj. Rozmawiamy o tobie.

- Nie - powiedziała Arlene zirytowana. - Podcinasz sobie żyły, a tydzień później śmiesz urządzać mi tu przesłuchanie, bo właśnie zachciało ci się wiedzieć, czy jestem szczęśliwa, czy też może nie.

- To nie przesłuchanie, Arlene, to po prostu rozmowa. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Nie myślisz o sobie zbyt często, a ja chciałam cię tylko do tego zachęcić.

- Zdarza się też, że ludzie za dużo o sobie myślą- powiedziała Arlene.

- Oczywiście - zgodziła się Isobel. - Ale ty do nich nie należysz.

- Nie myślałam o sobie - powiedziała Arlene. - Tylko o tobie.

- Och. - Isobel była dotknięta.

- Cóż, muszę ci powiedzieć, że byłabym dużo szczęśliwsza, gdybyś tydzień temu nie próbowała podciąć sobie żył - powiedziała Arlene krótko i ostro.

Isobel podniosła głowę i spojrzała na Arlene. Jej oczy miały ten okropny, zraniony wyraz. Podniosła serwetkę z kolan, złożyła ją starannie, wstała i poszła do swojego małego pokoiku.

Arlene siedziała i patrzyła za nią. Nalała sobie kolejny kieliszek wina. Po co, na Boga, zrobiła coś takiego? Wiedziała, że było to okrutne, sadystyczne. Dlaczego pozwoliła, żeby Isobel weszła jej na głowę? Wtrącała się w jej sprawy. Wtykała nos we wszystko. Denerwowała ją na każdym kroku. Powinna ją przeprosić. Zapukała do drzwi małego pokoiku.

Żadnej odpowiedzi.

- Isobel, tak mi przykro. Cisza.

- To tylko wstępne przeprosiny - ciągnęła. - Idę na spacer, a jak wrócę, zrobię to jak należy.

Kanał zawsze dobrze na nią wpływał. Był jak długa, prosta rana, wycięta nożem w sercu miasta. Ludzie usiłowali pokryć ziemię brukiem, obmurować miastami, ukryć naturę pod betonem. Ale ona przedzierała się na powierzchnię, a kanał, ze swą bujną roślinnością i niezliczoną ilością kaczek, ukazywał zdumionym ludzkim oczom prawdziwe ciało ziemi.

Arlene dotarła do Paddy'ego i usiadła. Wiedział, że zrobiła coś złego. Był naprawdę zimny i twardy. Nie miała sił, żeby z nim rozmawiać.

Wróciła do domu i znowu zapukała do drzwi Isobel.

- Wejdz - powiedziała Isobel.

Miała zaczerwienione oczy. Płakała. Arlene czuła się okropnie. Jakby skrzywdziła małe dziecko.

- Tak mi przykro, Isobel.

- Nic się nie stało. - Isobel pociągnęła nosem - Masz rację. Jestem samolubna.

Arlene nie o to chodziło. Czułaby się znacznie lepiej, gdyby Isobel kazała jej się odpieprzyć. Ten akt męczeństwa kompletnie ją dobił.

- Chodzi o to - powiedziała - że to, co zrobiłaś chyba mnie zraniło.

- Jak to?

- Troszczyć się o ciebie, bo mi na tobie zależy i myślałam, że i tobie zależy trochę na mnie.

Nie wiem, jak to ująć, ale... ale pomyślałam, że gdybyś miała dla mnie jakieś uczucia, nie próbowałabyś się zabić, bo nie chciałabyś mnie zranić.

- Chyba nie jestem przyzwyczajona do tego, że ludzie o się o mnie troszczą - powiedziała Isobel.

- Chyba nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby za bardzo troszczyć się o ludzi.

- Masz rację - powiedziała Isobel - za dużo o sobie myślę.

- Nie, to nieprawda. Nie powinnam była tak mówić. Jestem zestresowana. Nie powinnam odreagowywać tego na tobie.

- To Richard cię denerwuje, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widzę, że przy nim zawsze czujesz się nieswojo. Jak widzisz, nie tylko o sobie tak dużo rozmyślałam.

- Nie, to nie to - powiedziała Arlene - chociaż przypuszczam, że po części chodzi też o niego. Ale bardziej denerwuję się premierą.

- Jasne - odparła Isobel

- Widzisz, przyzwyczałam się do tego, że mieszkam sama i kiedy sytuacja staje się napięta, zazwyczaj wyładowuję się na meblach.

- A ja stałam się teraz jednym z mebli.

- Nie to chciałam powiedzieć - zaprzeczyła Arlene. W oczach Isobel widziała, że utraciła jej zaufanie. - Naprawdę bardzo mi przykro, Isobel. Nie mam prawa wyżywać się na tobie. Wybacz mi, proszę.

- Jasne - westchnęła Isobel. - Nie powinno mnie tu być. Musisz być niezależna, zostałam do tego stworzona. Jesteś typem osoby, która nie jest w stanie funkcjonować w niczym towarzystwie.

Isobel nie chciała być okrutna. Po prostu próbowała sobie wytłumaczyć zachowanie Arlene. Arlene była przerażona.

- Wyprowadzę się, obiecuję, jak tylko skończymy pracę nad sztuką.

Cholera.

Isobel posłała jej słaby, przyjazny uśmiech i ścisnęła jej ramię.

Cholera!

Spektakle przedpremierowe

Po tej kłótni Arlene była przez cały wieczór przygnębiona. Rano jednak wzięła się w garść.

Nie miała czasu, żeby się angażować w emocjonalne gry Isobel. Miała na głowie premierę.

Mimo protestów Marcii pierwszy spektakl przedpremierowy odbył się w piątek, trzynastego września. Arlene zatrudniła Daniela O'Connora, prawdziwego czarodzieja wśród kierowników produkcji i złożyła w jego zdolne ręce liczne problemy logistyczne. Daniel doszedł do wniosku, że aby uporać się ze wszystkim, będą musieli pracować przez całą czwartkową noc.

Lunar był właściwie kinem przerobionym na teatr i mógł pomieścić trzysta pięćdziesiąt osób. W sam raz. Konstrukcja budynku pochodziła jeszcze z lat trzydziestych, a jego fasada odznaczała się silną, płynną linią, charakterystyczną dla architektury tego okresu. Kino zostało zamknięte w latach sześćdziesiątych, a w jego wnętrzu urządzono salon meblowy. Dopiero w 1984 roku budynek kupił obecny właściciel, niejaki Aengus Hennessy. Hennessy był biznesmenem-filantropem, a jego miłość do świata rozrywki nie znała granic. Przywrócił budowli jej pierwotną, rozrywkową funkcję, mimo że jego księgowy gorąco doradzał mu przerobienie jej na parking. Parkingi są obecnie bardzo dochodowe. Ale Aengus nie posłuchał go i zrealizował swoje marzenie, jakim było otwarcie teatru. Księgowy tylko westchnął ciężko. Arlene i Marcus bardzo lubili teatr Lunar. Można w nim było zrobić wszystko, na co tylko miało się ochotę; przestawiać fotele i kręcić sceną. W przestronnym foyer znajdował się bar, a przestrzeń za kulisami także była całkiem spora.

W piątek rano cała ekipa zdradzała już objawy zdenerwowania. Aktorzy zostali wezwani na dziesiątą. Oznaczało to, że będą mogli zająć swoje garderoby i oswoić się ze sceną przed przyjściem pracowników technicznych, ale wszyscy byli wyczerpani i rozdrażnieni, więc nic nie szło tak, jak powinno.

Neil O'Mahony, scenograf, usiadł na chwilę, żeby napić się dietetycznej coli i przyjrzeć swoim dokonaniom. Był to najtrudniejszy etap jego pracy; mozolne składanie wszystkich elementów w jedną całość. Wymagało to ogromnej koncentracji. Neil nie cierpiał pracować po nocach. Był zdenerwowany.

Miał bardzo mało czasu. Dlaczego to zawsze scenografom odbiera się cenny czas? Neil miał dostać całe trzy godziny, zaraz po zakończeniu prac konstrukcyjnych, a przed wejściem firmy oświetleniowej, ale stolarze mieli lekki poślizg, a firma oświetleniowa nie mogła czekać, więc w rezultacie musiał zacząć później, a skończyć wcześniej.

Był utalentowany, ale młody i niedoświadczony, i nie miał jeszcze wprawy w domaganiu się tego, co mu się należało. Założę się, że Robertowi Ballaghowi dają więcej czasu, pomyślał.

Na scenę weszli aktorzy.

- To wygląda jak pokój bez klamek - powiedziała głośno Marcia.

Wszyscy umilkli.

- I te okrągłe zwoje, tam, po bokach. Przypominają wielkie rolki papieru toaletowego - zachichotała.

- Chodźcie, pokażę wam garderoby! - zawołała Arlene, zanim Marcia zdążyła wygłosić kolejną obraźliwą uwagę.

Neil patrzył za wychodzącymi aktorami.

- Nie znoszę ludzi, którzy komentują scenografię, chociaż nie jest jeszcze wykończona. Co za wredna baba - burczał. - Wiem, że teraz to wygląda jak pokój bez klamek, ale do wieczora będzie wyglądało jak wnętrze macicy. Obiecuję.

- Neil, skąd możesz to wiedzieć? - spytała Candy.

- Co?

- Skąd możesz wiedzieć, jak wygląda wnętrze macicy?

Neil spojrzał na nią.

- Pamiętam. W porządku?

Arlene zaprowadziła aktorów za kulisy, gdzie czekały na nich wygodne przestronne garderoby.

- No dobrze, a teraz, kto chce mieć garderobę tylko dla siebie, a kto chce być w parze? - spytała. Normalnie dałaby oddzielne garderoby Marcii i Richardowi i poprosiła, żeby Corinne i Paula zajęły jedną wspólną, zgodnie z prawem starszeństwa. Ale w tych okolicznościach pomyślała, że rozsądniej będzie rozdzielić młode aktorki. Przez chwilę miała wrażenie, że Marcia chce zażądać oddzielnego pokoju, więc spojrzała na nią ostro.

Marcia natychmiast pojęła, o co chodzi.

- Richard, może zmieścimy się w jednej garderobie? Mamy tyle wspólnych scen, moglibyśmy razem popracować.

- Jasne - zgodził się Richard

- Świetnie - powiedziała Arlene. - Weźcie jedynekę, jest największa. A dla was zostaje dwójka i trójka.

- Dobrze - zgodziła się Paula.

- Dla mnie bomba - powiedziała Corinne. Znakomicie, pomyślała Arlene. Zadowoleni aktorzy w swoich ślicznych garderobach.

Wróciła na scenę. Znalazła tam Neila pograżonego w głębokiej dyskusji z Marcusem.

- Ja wiem, że to wewnątrz macicy. Ty wiesz, że to wewnątrz macicy. A ja chcę jeszcze wiedzieć, skąd publiczność ma wiedzieć, że to jest wewnątrz macicy? - mówił Marcus.

- Nie chodzi o to - odparł Neil - żeby to było dla nich jednoznacznie czytelne. Zależy mi na osiągnięciu bardziej umownego, aluzyjnego efektu. Publiczność powinna tylko odbierać wizualne wibracje klimatu macicy.

- Wizualne wibracje klimatu macicy - w głosie Marcusa pobrzmiewała nuta niepokoju. W czasie prób koncepcja Neila bardzo mu się podobała, ale teraz, kiedy przyglądał się wyłożonej białymi poduszkami, nie pomalowanej jeszcze konstrukcji, sam nie wiedział, co o tym sądzić.

- Co ty o tym myślisz, Arlene?

Arlene wiedziała, że kryzys przekonań Marcusa ma swoje źródło w głupim komentarzu Marcii.

- Myślę, że to będzie wyglądało jak wewnątrz macicy, kiedy zostanie pomalowane - poparła Neila.

- Może - powiedział Marcus - gdyby te tuby ze styropianu nie były takie abstrakcyjne i bardziej przypominały tuby ze styropianu. - Wskazał na dwie długie konstrukcje obłożone papier maché, leżące pod ścianą.

- W tym cała rzecz, żeby to wyglądało abstrakcyjnie. Nikt nie chce oglądać realistycznych tub ze styropianu.

- Hmm - mruknął Marcus.

- Przecież na makiecie to wszystko bardzo ci się podobało - powiedział Neil przygnębiony.

Należał do osób, które reagują raczej smutkiem, niż złością.

- Wiem - powiedział Marcus.

- Zaczekaj tylko, aż podłączę jajniki. - Neil wskazał dwa sześciany leżące z boku audytorium.

Arlene nagle to zobaczyła - konstrukcję pomalowaną na różowo i wspaniale oświetloną na czarnym tle. Trudno będzie powiedzieć, co to właściwie jest, ale coś każe ludziom podejrzewać, że to istotnie kobieca macica. Arlene czuła, że magia zadziała.

- Myślę, że to będzie fantastyczne! - Zerwała się na równe nogi i klasnęła w dłonie - Nic się nie martw, Marcus. Nigdy dotąd się nie pomyliłeś.

Nagle jej uwagę zwróciło coś, co działo się na scenie. Jeden z pomocników, zatrudniony tylko na ten dzień, balansował chwiejnie na wąskim rusztowaniu, usiłując zamocować na ścianie jedną z lamp. To, co robił, było niebezpieczne, a gdyby spadł, mógłby się poważnie poturbować.

Arlene zawołała Daniela O'Connora.

- Kto to jest, ten facet w zielonym swetrze? - zapytała.

- Nazywa się Johnny Mack - odparł Daniel.

- Czy on zdaje sobie sprawę z tego, że to, co robi, jest bardzo niebezpieczne?

- Jest tylko nieco zbyt gorliwy.

- Niech wraca do domu - powiedziała Arlene. - Zapłać mu i wyślij go do domu.

- Och...

- I wyjaśnij mu, proszę, że podejmowanie takiego ryzyka jest bardzo głupie. Nie dlatego, że choć trochę interesuje mnie, czy złamie sobie kark czy nie, ale dlatego, że przy okazji zdemoluje nam scenę, a my stracimy mnóstwo czasu, zajmując się jego obrażeniami. Poza tym na pewno powie mnie do sądu i wszystkie moje zniżki ubezpieczeniowe diabli wezmą. Jeśli brakuje mu silnych emocji, niech się wspina albo weźmie udział w wyścigach samochodowych, ale stąd ma się natychmiast zabrać. - Arlene wygłosiła to wszystko chłodnym, beznamiętnym tonem. Daniel uznał, że wyraziła w ten sposób tylko chwilowe zaniepokojenie.

- Jest trochę niedoświadczony. Zaraz każę mu zejść z tego rusztowania. Naprawdę wolałbym go teraz nie wyrzucać. Będziemy potrzebowali dodatkowej pary rąk, kiedy trzeba będzie to wszystko nosić.

- Wyślij go do domu - powiedziała Arlene. - To będzie dla niego najlepsza nauczka.

Podziała mu swoją komórkę.

- Proszę. Zadzwoń po inną parę rąk, jeśli są ci potrzebne. Połowa tego kraju jest bezrobotna.

Na widownię od strony foyer weszła Carmel i pomachała do Arlene. Arlene zostawiła Daniela ze swoją komórką i nieprzyjemnym zadaniem zwolnienia pracownika.

- Wszystkie bilety na spektakle przedpremierowe zostały sprzedane! - zawołała Carmel. - Biuro było otwarte od dziesiątej i w zasadzie przez cały czas dzwonił telefon. Teraz robią listę rezerwową. - Carmel włożyła Arlene do ręki styropianowy kubek z kawą.

- Świetnie - powiedziała Arlene. Podniosła kubek i powąchała kawę. Pachniała cudownie. Carmel była tak dobra, że potrafiła nawet kupić świetną kawę w kubku ze styropianu.

Podbiegła do nich Candy.

- Zaraz powinniśmy zacząć. Mam zawołać aktorów?

- Candy, nie pytaj mnie. Tutaj Marcus jest twoim szefem - odparła Arlene. Kiedy Candy odeszła, Arlene odwróciła się do Carmel.

- Carmel, czy uważasz, że ja się rządę?

- Owszem - odparła Carmel.

- Przesadnie, czy tylko tyle, ile trzeba?

- Nie, rządzisz się jak szara gęś.

- Och.

- Ale nie przejmuj się tym.

- Wiesz, to chyba leży w mojej naturze. Zawsze lubiłam się wszędzie rządzić. Kiedyś w supermarkecie zobaczyłam dwie ekspedientki, które próbowały poukładać jakieś pudła jedne na drugich. Nie bardzo im to wychodziło, bo źle ułożyły podstawę i kiedy docierały do szczytu wszystko im się rozsypywało. A ja, z jakichś powodów, postanowiłam się wtrącić. Udzieliłam im szczegółowych instrukcji i nadzorowałam ich pracę, aż zrobiły to jak trzeba. Robiły dokładnie wszystko, co im powiedziałam. Nawet nie przyszło im go głowy, że nie jestem pracownikiem tego supermarketu.

Wezwano aktorów. Arlene usiadła w jednym z tylnych rzędów i patrzyła, jak Marcus daje im ostatnie wskazówki. Arlene była pod wrażeniem. Marcus to perfekcjonista. Zameczał te cholerne wskazówki na śmierć. Był przy tym nieskończenie cierpliwy i uprzejmy dla wszystkich. Nawet kiedy Corinne gdzieś zniknęła i Candy musiała pójść jej poszukać. Okazało się, że wyszła na chwilę na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Marcus był dla niej bardzo grzeczny.

Po chwili Arlene poczuła, że nie jest w stanie dłużej na to patrzeć. To wszystko strasznie się ciągnęło. Wiedziała, że to niekończące się powtarzanie wskazówek jest konieczne, ale od przyglądania się temu rozbolała ją głowa. Poszła z powrotem do biura.

Na pierwszym spektaklu przedpremierowym Arlene siedziała obok Isobel. Rzeczywiście, był komplet. Widok strumienia ludzi, którzy zapłacili za bilety, wpływającego na widownię, był miodem na jej duszę.

Richard był dynamiczny i hipnotyzujący. Wszyscy tacy byli. Marcus wyciszył melodramatyczne elementy tekstu, dzięki czemu powstała gładka, nowoczesna całość. Jednak Arlene nie mogła skupić się na przedstawieniu, bo Isobel była tak spięta, że przez cały czas siedziała na brzegu fotela i żuła swoje włosy. Wzdrygała się bezwiednie, kiedy następowały zwroty akcji. Arlene kątem oka śledziła jej reakcje. Zdawało się, że Isobel zapomniała o jej obecności. Podczas brutalnej sceny końcowej twarz Isobel wykrzywił grymas bólu.

Kiedy kurtyna opadła, Arlene spojrzała na Isobel. Spodziewała się, że będzie wytrącona z równowagi, ale Isobel była zupełnie spokojna. Jak jezioro po burzy.

- To było cudowne. Byłam taka poruszona - powiedziała.

- Napisałaś świetną sztukę - powiedziała Arlene.

- Nie, to nie ja - odparła Isobel. - To oni. Ci aktorzy, ci magicy. Tchnęli w nią życie.

Arlene przekonała Isobel, że powinna posłuchać rady lekarza i wziąć jakiś środek uspokajający, który pozwoli jej przetrwać premierę.

- Jesteś jak balon wypełniony helem. Nie mogę trzymać cię na sznurku przez cały wieczór.

- Dobrze, mamusiu - odparła Isobel, zbyt zachwycona wszystkim dokoła, żeby despotyzm Arlene mógł ją zirytować. Zjadły razem śniadanie, przy czym Isobel, z uwagi na szczególny dzień, jaki miały przed sobą, zezwoliła Arlene na solidną porcję kiełbasek.

Zadzwonił telefon-fortepian. Arlene rzuciła się, żeby odebrać.

- Tak?!

- Mówi Candy. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale wydarzyła się katastrofa.

- T-tak?

Katastrofa musiała się wydarzyć.

- Wczoraj wieczorem wsadziłam wszystkie białe rzeczy do pralki, ale w kieszeni jednej z koszul była czerwona serwetka i...

- I wszystkie są do niczego.

- Nie wszystkie. Koszule i bluzki mogę wybielić i do południa będą jak nowe. Nie zawracalabym ci głowy, gdyby chodziło tylko o koszule, ale sukienki Nuali, tej białej, do sceny z *Ave Maria*, nie mogę włożyć do chloru.

- Możemy dostać drugą?

- Była uszyta na zamówienie.

- Możemy zamówić drugą?

- Kosztowała fortunę.

- Ile? Nie, lepiej mi nie mów, po prostu zrób to, Candy. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało.

- Materiał był sprowadzony z Paryża.

- Powiedziałaś już Tiffany?

- Nie, najpierw chciałam porozmawiać z tobą. Tiffany będzie wściekła. Była zachwycona tą sukienką. To był jej ulubiony projekt.

- Powiedz jej po prostu, żeby postarała się ją czymś zastąpić.

- Strasznie mi przykro. Czuję się okropnie.

Arlene wróciła do śniadania. Uświadomiła sobie, jakie to wspaniałe, że Candy była w teatrze już o ósmej trzydzieści rano i odkryła swoje pranie. Spieprzyła wszystko, ale znalazła się tam na

czas, żeby to naprawić. Oto inspicjent wart swojej pensji. Kiedy człowiek jest głodny kiełbaski to najpyszniejsza rzecz na świecie.

- Co się stało? - spytała Isobel.

- Nic wielkiego - odparła Arlene.

- Co będziesz dzisiaj robić? - spytała Isobel.

- Cóż, normalnie mam przed premierą mnóstwo drobnych spraw do załatwienia, ale dzisiaj z jakichś względów nie mam nic do roboty. Chyba dlatego, że Carmel wzięła sprawy w swoje ręce.

- Więc chodźmy po południu do kina - zaproponowała Isobel

- Dobra - zgodziła się Arlene.

Arlene zaplanowała przyjęcie na szóstą trzydzieści, żeby goście przed przedstawieniem mogli wypić parę drinków. Isobel czyniła honory domu. Wyglądała radośnie i zarazem dramatycznie w długiej, wąskiej czerwonej sukni. Wszyscy Ignęli do niej, jak pszczoły do miodu.

Przyszedł sierżant O'Hanlon ze swoją córką Rosą. Rosa była śliczna; chudziutka jak chart whippet i niewysoka, miała wielkie szare oczy, które zdawały się pożerać wszystko dookoła, i najdłuższe rzęsy, jakie Arlene kiedykolwiek widziała. Arlene przedstawiła ich Isobel i Rosa była tak przejęta, że omal nie zemdląca.

- To jest cudowne, cudowne! - mówiła Rosa.

- Jesteś bardzo miła - odparła Isobel.

- To cudowne, cudowne.

- Może usiądziesz dzisiaj obok mnie? - zaproponowała jej Isobel. Rosa oszalała z radości. Idol i wielbiciel. Arlene nigdy nie oglądała tego z bliska.

Sierżant O'Hanlon był wyraźnie poruszony.

- Widzi pani, Rosa chce zostać pisarką. Odkąd zobaczyła Isobel Coole w telewizji, cały czas powtarza: „Będę pisarką jak Isobel Coole, będę w telewizji” - powiedział ze łzami w oczach.

W Isobel jest coś szczególnego, pomyślała Arlene. Jakaś siła. Coś, co przyciąga do niej ludzi. Arlene patrzyła na nią, jak zręcznie i z wdziękiem porusza się w tłumie. Kiedy poruszała dłońmi w koronkowych rękawiczkach, Arlene zapomniła, że ich głównym zadaniem było ukrycie blizn na nadgarstkach. Tak bardzo „cool” była ta Isobel.

W drzwiach stanął David Range. Był ostrzyżony i porządnie ubrany. Marcia zmiękała i wysłała mu zaproszenie na premierę. Postanowiła, że pozwoli mu wrócić i zaplanowała dramatyczną scenę przebaczenia na wieczór po premierze, żeby nie wytrąciła jej z równowagi przed spektaklem. David jeszcze o tym nie wiedział i ciągle był bardzo zdenerwowany.

- Powodzenia - powiedział do Arlene.

- Cóż, teraz już nie możemy się wycofać.

- A jak czuje się Marcia? - zapytał.

- Zdenerwowana, ale poza tym jest w świetnej formie.

- Wspominała o mnie?

Im prędzej Marcia skróci jego męczarnie, tym lepiej.

- Zobaczysz się z nią później - powiedziała Arlene i poklepała go po ramieniu, żeby dodać mu otuchy.

David nie bardzo wiedział, jak powinien rozumieć to enigmatyczne stwierdzenie. Mogło oznaczać, że Marcia postanowiła przyjąć go z powrotem, lub świadczyć o tym, że przeznaczyła go na odstrzał.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Arlene... - zaczął gorączkowo. Ale Arlene już przy nim nie było.

Przyszedł Martin Campbell, tym razem sam. Bez ciotki Isy.

- Gdzie ciotka Isa? - spytała Arlene.

- Nie czuła się zbyt dobrze.

- Cóż, witam - powiedziała Arlene.

- Wyglądasz cudownie! Jaki piękny kostium!

- Dziękuję. - Arlene okręciła się wokół własnej osi w swoim nowym zielonym kostiumie. Nazwała tę kreację „Cycuszki i udka”, ponieważ miała głęboki dekolt obszyty migoczącymi koralikami i śmiałe rozcięcie z boku spódnicy. Isobel wyszukała dla niej ten kostium tydzień wcześniej i zmusiła ją, żeby go kupiła.

- Masz, to na szczęście. - Martin wręczył jej małą paczuszkę owiniętą w żółty papier.

- Co? Nie powinienesś...

- Proszę, Arlene. Przyjmij to.

- Ale nie mogę, naprawdę.

- Zawsze mnie zapraszasz, a ja przyjmuję twoje zaproszenia. Pozwól mi za to podziękować.

Jakie to dziwne. Martin dał jej prezent. Zdumiewające.

Wślizgnęła się na ciemną widownię i otworzyła paczkę. Był to srebrny wisior w kształcie masek Komедии i Tragedii. Wygląda na drogi, pomyślała, ale jest strasznie kiczowaty. Idealny prezent dla siedemnastoletniej studentki szkoły teatralnej. Już miała wrzucić go do kieszeni, ale w nagłym odruchu włożyła go na szyję. Może równie dobrze poddać się nastrojowi tych chwil. Hej ho!

Podeszła Candy i Arlene nagle sobie przypomniała.

- Co zrobiłaś z tą sukienką?

- Kazałyśmy uszyć nową. Materiał nie jest tak piękny, jak tamten, a Tiffany była wściekła. Marcus próbował ją uspokoić. Szukała mnie, żadna krwi, całe rano, ale ja się przyczaiłam. W końcu dorwała mnie w supermarkecie, gdzie byłam dokupić parę rzeczy i przejechała się po mnie.

- O Boże - powiedziała Arlene.

- Byłam tak zdenerwowana, że wybuchnęłam płaczem. Kiedy wróciłam do teatru, Marcus wściekł się, że jestem w takim stanie i objechał Tiffany. Powiedział jej, że nie ma prawa denerwować inspicjentki, która i tak ma urwanie głowy przed premierą. Ale wtedy Tiffany naprawdę się zdenerwowała i skończyło się na tym, że musiałam jej przynieść herbatę i chusteczki higieniczne.

Arlene była bardzo zadowolona, że poszła do kina i nie brała udziału w tej szopce.

- W końcu Tiffany przeprosiła mnie, a ja dałam jej Twixa na zgodę.

- Dobrze.

- Ale straciłyśmy na to mnóstwo energii - powiedziała Candy.

- Gdzie jest teraz Tiff?

- Za kulisami, wykańcza tę nową sukienkę. Będzie potrzebna dopiero w drugim akcie. Tiffany mówi, że skończy ją na czas. Lecę, mam jeszcze masę roboty.

Arlene patrzyła przez chwilę za Candy. Jej kręcone włosy podskakiwały wokół głowy, zdawały się żyć własnym życiem i sprawiały, że Candy wyglądała zawsze, jakby się czegoś przeraziła, albo jakby poraził ją prąd.

Była siódma trzydzieści i aktorzy, rozproszeni po scenie i widowni, zaczęli rozgrzewkę.

- La-la-la-la-la, tra-la-la-la-la, fa-la-la-la-la - nuciła Marcia, za każdym razem o oktawę wyżej. Corinne śpiewała gamy. Paula wykonywała ćwiczenia rozciągające. Przez chwilę Arlene nie mogła nigdzie dostrzec Richarda, ale potem zobaczyła go, siedzącego w jednym z tylnych rzędów. Podeszła do niego.

- Lubię przed spektaklem posiedzieć chwilę w spokoju - powiedział cicho. - Zabawne, ilu bym nie miał za sobą występów, przed premierą, zanim kurtyna pójdzie w górę, zawsze jestem zdenerwowany - dodał z wyrazem lekkiej, ale prawdziwej, aktorskiej paniki w oczach.

- No to zostawię cię w spokoju - powiedziała równie cicho i już chciała odejść, kiedy chwycił ją za ramię i lekko ścisnął.

- Dziękuję - powiedział. - To mi naprawdę dobrze zrobiło, że tu jestem i gram w tej sztuce - uśmiechnął się do niej.

- Dzięki - odparła. - Naszej kasie też to dobrze zrobiło. Powodzenia.

- Piętnaście minut! Proszę o zejście z widowni - rozległ się z głośnika dźwięczny głos Candy.

Arlene wróciła do foyer. Wytropiła Marcusa, który siedział w kącie przy barze. Pomachał do niej.

- Idziesz na przedstawienie, czy wolisz posiedzieć ze mną w barze, pić gin z tonikiem i obejrzeć je na tym monitorze?

- Posiedzę tutaj - powiedziała.

Publiczność zajmowała swoje miejsca, a Marcus zamówił butelkę ginu i miskę cytryn.

- Zdrowie! - zawołał.

Rozległa się muzyka, zgasły światła, na ekranie monitora ukazali się aktorzy.

Przyjęcie po premierze odbyło się w Corkscrew, nocnym klubie położonym niedaleko teatru. Wszyscy byli strasznie nakręceni, ich energia rozsadzała lokal.

Arlene patrzyła z pewnej odległości, jak Marcia udziela przebaczenia Davidowi. David szlochał. Było to wzruszające. Prawie. Arlene cieszyła się, że Isobel wzięła środek uspokajający, bo w przeciwnym wypadku nie byłaby chyba w stanie znieść tego podniecenia.

Okolo trzeciej Arlene i Isobel wchodziły do taksówki. Kiedy otwierały drzwi do holu, Isobel potknęła się o jednego z kotów Cartwrightów. Jej własny przerażony wrzask zagłuszył pisk kota.

- Jezu, ale mnie wystraszyłaś - powiedziała Arlene. Weszły po schodach, na których znowu czuć było kocimi sikami, bo Isobel opuściła się ostatnio w porządkach.

- W lodówce mam jeszcze naszą prywatną butelkę szampana - powiedziała Arlene. Wyciągnęła ją i otworzyła z donośnym „puf”. Nalała szampana do dwóch płytkich szerokich kieliszków.

- Wiesz, Isobel, że ten kształt kieliszków do szampana pochodzi od odlewu piersi jednej z kochanek Napoleona? - Arlene podniosła kieliszek do światła. - Ładny. - Zakołysała nim lekko. Była trochę pijana.

Isobel wzięła kieliszek, ale ponieważ była w nieco gorszym stanie, ręka jej drżała i trochę szampana chlapnęło na podłogę.

- Szkoda, że nie miała większych piersi, mam kłopoty z utrzymaniem w nim tego - zachichotała. Postawiła kieliszek na stole i spróbowała wychłęptać z niego szampana, ale z marnym skutkiem.

- Gdybyś była psem, Isobel, byłabyś pudlem.

- Gdybyś ty była psem, byłabyś owczarkiem.

- Dlaczego owczarkiem?

- Bo gonisz owce, a one się ciebie boją.

- Och...

- Zdradzę ci pewną tajemnicę, Arlene.

- Jaka tajemnicę? Lubię tajemnice.

- Ani razu nie wzięłam valium.

- Och!

- Pomyślałam sobie, że szkoda by było zmarnować cudowne doznania tego wieczoru. Wezmę valium jutro, kiedy i tak nie będę miała czego doznawać.

- Och. To dobrze, Isobel.

- A więc stało się - powiedziała Isobel. - Dziecko przyszło na świat.

- Tak. Zdrowy dzieciak.

Rozległ się brzęczyk u drzwi wejściowych.

- Kto to może być? - spytała Isobel, zdumiona. - Jest czwarta nad ranem.

- To Timothy, mój gazeciarz. Zawsze mu mówię, żeby przyniósł mi gazety z samego rana po premierze.

- Ale po co? - spytała Isobel.

- Żeby zobaczyć recenzje, oczywiście - odparła Arlene, po czym pozdrowiła Timothy'ego przez domofon i otworzyła drzwi na dole.

- Recenzje! Zupełnie zapomniałam - powiedziała Isobel. -Może jednak przyda mi się to valium.

Timothy znalazł się na górze niemal natychmiast, bo wbiegł na schody po trzy stopnie na raz, rozpędzając na prawo i lewo piszczące koty. Truchtem wpadł do mieszkania. Pracował dla swojego wuja, Pata, i to z Patem Arlene zawarła umowę, ale oczywiście najgorszą robotę odwałał Timothy. Na tym polega kapitalizm.

- Masz tu obie, Elaine - powiedział Timothy, wręczając jej dwie gazety.

- Dzięki, ureguluję u wuja w przyszłym tygodniu, a tak przy okazji, mam na imię Arlene, nie Elaine.

- To teraz robiłaś przedstawienie w teatrze?

- Tak, w teatrze Lunar. Przyślę ci bilety, jeśli chcesz.

- Mogę dostać szklankę wody? - spytał, ignorując jej propozycję.

Isobel poszła do kuchni i wróciła zaraz ze szklanką pełną wody.

- Dzięki, laleczko - powiedział i puścił do niej oko. Wychylił całą szklankę jednym haustem.

Złapał torbę i truchtem wybiegł z mieszkania, wołając:

- To na razie, Elaine.

- Laleczko! - powiedziała Isobel.

- Myślę, że jest na LSD - powiedziała Arlene. - To jedyne wytłumaczenie.

- Laleczko! - powtórzyła Isobel. - Mogłabym być jego matką.

- Proszę - Arlene podała jej gazety. - Możesz przeczytać pierwsza.

- Ani myślę, do cholery. - Isobel upuściła gazety, jakby to były rozżarzone węgle.

Arlene podniosła je i szybko znalazła odpowiednie strony.

- Ta jest entuzjastyczna - powiedziała i podała gazetę drżącą z emocji Isobel. - Ta też - Podała jej drugą gazetę. - Obawiam się, że to będzie hit.

Isobel szybko przebiegła wzrokiem kolumny

- Rany! - powiedziała. - Są świetne. Wiesz, Arlene, że ja nigdy nie miałam ani jednej złej recenzji z żadnej z moich książek? To niesamowite, ale miałam naprawdę dużo szczęścia.

Arlene dopełniła kieliszki.

- Piszą cudowne rzeczy o aktorach. Na pewno będą zadowoleni. Jest też pochlebna wzmianka o Marcusie: „Płynna reżyseria Marcusa Harmony'ego”. Marcusowi się to spodoba - powiedziała Isobel. - A może nie? Co to właściwie znaczy „płynna”?

- Nie, to pozytywne określenie - powiedziała Arlene. - „Płynna” znaczy „dobra”.

- Ale może znaczyć też „wodnista”?

- Nie, nie, „płynna” jest w porządku.

- Albo grząska.

- Uwierz mi.

- O, a tu piszą jeszcze o „falującej, przypominającej macicę scenografii Neila O'Mahony'ego”. Neil będzie zadowolony. Mówił mi, że nie jest pewny, czy ktokolwiek się zorientuje, co to miało być - dodała Isobel. - Cieszę się, że się zorientowali. Cieszę się, że wiedzieli, że to macica.

Sobotni wieczór

Isobel chodziła do teatru co wieczór. Siedziała na widowni, przeżywając sztukę tak intensywnie, jak aktorzy na scenie. Przeżywała dramat Nuali, ból Marka, odrętwienie Colleen. Każdego wieczoru, kiedy gasły światła i rozlegały się pierwsze akordy muzyki towarzyszącej rozpoczęciu sztuki, rozbudzone emocje nakręcały sprężynę jej własnego bólu. Uwielbiała to. Czuła, że żyje. Siedząc tam, w ciemności, doznawała najgłębszego katharsis.

Arlene natomiast po spektaklu premierowym nigdy nie była już w stanie oglądać żadnego przedstawienia. Sama nie wiedziała, dlaczego.

W pierwszą sobotę po premierze siedziała w domu i postanowiła, że wcześniej położy się spać. O dziesiątej trzydzieści leżała już w łóżku przy zgaszonym świetle. Musiała zasnąć natych-

miast, bo kiedy się obudziła i zobaczyła przy swoim łóżku sapiącą ze złości Isobel, nie miała pojęcia, która jest godzina.

Isobel machała jej przed nosem gazetą.

- Co to? - spytała Arlene.

- „Sunday Echo”. Kupiłam na mieście.

- Och - powiedziała Arlene - ja zawsze kupuję ją dopiero rano, bo ta edycja często nie zawiera recenzji z Dublina.

- Cóż, ta je akurat zawiera - powiedziała Isobel i cisnęła gazetę na łóżko. Arlene podniosła ją i otworzyła.

RECENZJE

W teatrze Lunar można obecnie zobaczyć nową sztukę Isobel Coole *Na księżycu*. Jest to historia Nuali, przedwcześnie rozwiniętej, prowadzącej podwójne życie dziewiętnastolatki. Za dnia posłuszna córka, pomagająca ojcu w zbieraniu funduszy na rzecz kampanii antyaborcyjnej, nocę spędza w dyskotekach, biorąc narkotyki. Akcja sztuki rozgrywa się na tle prowadzonej w 1983 roku kampanii „Prawo do życia”, przy wtórce koszarnej muzyki dyskotekowej początku lat osiemdziesiątych. Sztuka przedstawia tytaniczny konflikt między tradycją (wiejską) i nowoczesnością (miejską), który ukształtował wiele ludzkich losów na tej wyspie, nigdy jednak nie nawiązuje do obecnego pluralizmu; brak jakiegokolwiek zbieżności między losem społeczności a losem jednostki. Ponieważ autorka pominęła kontekst kulturowy, sztuka zasadza się wyłącznie na aspekcie ludzkiej kondycji, przez co staje się beznadziejnym melodramatem. Historia irlandzkiej dziewczyny, wciśnięta między realia angielskich klinik aborcyjnych z jednej strony i amerykańską muzykę popularną z drugiej, została opowiedziana bardzo powierzchownie. Brak jej szerszego tła społecznego Irlandii wczesnych lat osiemdziesiątych (gdzie są, na przykład, strajki głodowe?). Ojciec, ograniczony lichwiarz, nigdy nie wznosi się ponad oklepany stereotyp.

Współczułem aktorom, skazanym na grę w tej łzawej farsie, skazanym na grę w tej łzawej farsie co wieczór. Tylko sardoniczna Paula Costello w roli Cathy wychodzi z tego obronną ręką. Inni beznadziejnie grzęzną w tym dramatycznym trzęsawisku. Ostatnia scena między Nualą i jej ojcem jest wręcz komiczna.

Nigdy jeszcze kurtyna spadająca po ostatnim akcie nie wyświadczyła większej przysługi i widowni, i aktorom.

Tommy Hatchett

Arlene podniosła wzrok.

- Jezu! Nie zostawił na nas suchej nitki!

- Jak ktoś w ogóle mógł być tak okrutny? - spytała Isobel ze łzami w oczach.

- Cóż, facet nie na darmo nazywa się Tommy Hatchett*.

- Tommy Hatchett? Co to w ogóle ma być? Pseudonim?

* *hatchet* (ang.) - topór, siekiera (przyp. tłum.).

- Nie, to jego prawdziwe nazwisko. Jest także pani Hatchett i jakieś małe ostre Hatcheciątka.

- Nie ujdzie mu to na sucho - sapnęła Isobel

- Owszem, ujdzie. Nic nie możemy zrobić. To jego praca. Pisze recenzje, a jeśli spektakl mu się nie podoba, nie może tego ukrywać.

- Mówisz, jakbyś była po jego stronie.

- Nie, Isobel. Jestem tylko realistką. Dwie recenzje w tym tygodniu były bardzo dobre, a w niedzielę ukazą się dwie następne, też niezłe. Cztery na pięć. Bardzo dobra średnia.

- Skąd wiesz, że te niedzielne recenzje będą dobre?

- Wiem. Mam wtyczki we wszystkich gazetach.

- Wiedziałaś, co knuje ten Hatchett?

- Tak. Ale nie znałam szczegółów. Nie wiedziałam, że ta recenzja będzie aż tak zła.

- Inni też używali określenia „melodramat”, ale w bardziej pozytywnym sensie. Chociaż właściwie inne recenzje są pochlebne dla aktorów i reżyserii, i całej reszty, ale nie mówią nic o samej sztuce.

- Och, Isobel, przesadzasz. To tylko zła recenzja. Zdaje się, że nie jesteś do tego przyzwyczajona.

- Nie, nie jestem. Wszyscy mówią, że dobrze piszę. Kto to w ogóle jest ten Hatchett? Czego on sam dokonał?

- Niczego. To tylko smutny pismak, któremu wydaje się, że jest Frankiem Richem Dublina. Na szczęście jego wpływy nie sięgają poza jego biuro.

- Nigdy nie czytałam niczego gorszego. A to jest w gazecie. Wszyscy to przeczytają. Nie będę mogła pokazać się na ulicy.

- Przestań o tym myśleć. Miałam już miliony złych recenzji.

- Jasne, dobrze ci mówić, bo to nie ty wywalilaś swoje flaki na scenę.

- To prawda.

- Niczym nie ryzykowałeś. To już nie była prawda.

- Posłuchaj, Isobel. Bilety zostały wyprzedane na cały tydzień. Telefon się urywa, ludzie rezerwują bilety na kilka tygodni do przodu. Ten facet to dupek i nie powinnaś się nim w ogóle przejmować.

- Powtórzył „łzawa farsa” dwa razy.

- To tylko chochlik drukarski. Przynajmniej tego nie bierz do siebie.

Arlene westchnęła i wstała z łóżka. Poszła do salonu i nalała trochę czerwonego wina do kieliszka.

- Masz, chlapnij sobie. To lekarstwo. Isobel wzięła kieliszek.

- Musisz trochę stwardnieć, Isobel. Nie możesz brać wszystkiego tak cholernie poważnie. Zadręczysz się na śmierć.

- Chyba masz rację. - Isobel uspokoiła się trochę. Była bardzo zmienna w nastrojach. Przeżywała potężne emocjonalne burze, które szybko mijały, rozplywając się w powietrzu.

- W łazience leży taki śliczny srebrny wisiorek.

- Co? A, to. Uważam, że jest koszmarny. Dostałam go od Martina Campbella.

- Och, jest cudowny. Taki oryginalny.

- Nie jest oryginalny. Jest pospolity do bólu. Każda szesnastolatka, która chce zostać aktorką ma broszkę z maskami Komедii i Tragedii.

Isobel skoczyła na równe nogi, pobiegła do łazienki i wróciła z wisiorkiem w ręku.

- Ale to nie jest Komedia i Tragedia - zawołała. - Zobacz!

Arlene spojrzała na srebrny wisiorek. Rzeczywiście, Isobel miała rację. To nie była Komedia i Tragedia. Wisiorek przedstawiał dwie maski Komедii. Było w tym coś dziwnie niepokojącego, jakby zburzony został odwieczny porządek rzeczy. Obie błazeńskie maski uśmiechały się do niej, promieniując pozytywną energią. Jak dwa roześmiane duchy, dwaj głupcy.

Proszona kolacja A

Nie mam pojęcia, czemu Isobel nie chciała przyjść. Była już gotowa do wyjścia, ale o siódmej dostała lekkiego bólu głowy i postanowiła, że jednak zostanie w domu - powiedziała Arlene przepaszająco, kiedy przybyła do Marcii z butelką starego i bardzo dobrego czerwonego wina, którą Martin wydobyl dla niej ze swojego skarbcza na tyłach sklepu.

- Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku - powiedziała Marcia.

- Tak, myślę, że tak. Chyba po prostu chciała się wcześniej położyć.

Dom pod numerem trzynastym na Hope Street wyglądał teraz dużo pogodniej niż podczas ostatniej wizyty Arlene. Na kominku trzaskał ogień i wszędzie panował lekki rozgardiasz, nadając wnętrzą przytulny wygląd. Przepelniony wdzięcznością David został na powrót zainstalowany w domu.

- Czego się napijesz? - spytał David.

- Kieliszek czerwonego - odparła Arlene.

David poszedł po wino. Zachowywał się nienagannie. Pomagał Marcii, krzątając się w kuchni.

- Dzięki - powiedziała Arlene, kiedy wręczył jej kieliszek. Zadzwoił dzwonek i w drzwiach stanął Richard.

- Niedzielne wieczory! Uwielbiam je - oznajmił. -Lubię grać w każdy dzień tygodnia, ale chyba najbardziej w niedzielę, jeśli wiecie, co mam na myśli.

- Pokój to tylko dłuższe zawieszenie broni - powiedziała Arlene.

- Proszę. - David podał jej kolejny kieliszek czerwonego wina. Dostała już jeden, ale postanowiła nie wspominać o tym Davidowi, który wykazywał kilka ze znanych objawów silnego stresu na raz.

- Dzięki - uśmiechnęła się i postawiła drugi kieliszek obok pierwszego. David i Marcia poszli do kuchni zająć się kolacją.

- Byłem dziś na lunchu z moim agentem. Przyleciał, bo chce, żebym zagrał w pewnym filmie. W grudniu. Wahalem się, ale zaczął histeryzować i twierdzi, że rujnuję swoją karierę.

- Więc przyjmiesz tę propozycję?

- Tak, w końcu się zgodziłem. Nasza sztuka schodzi z afisza pod koniec listopada. Czuję, że już za długo tu siedzę.

- Interesujące - powiedziała Arlene. - Co to za film?

- *Mansfield Park*. Ekranizacja powieści Jane Austen.

- Są jeszcze jakieś powieści Jane Austen, które nie zostały sfilmowane?

Weszła Marcia.

- David zadał sobie mnóstwo trudu, żeby zrobić to purée z marchewki - powiedziała przyciszonym głosem. - Zdaje się, że znalazł ten przepis w rubryce Sophie Grigson, podawała go w gazecie w ubiegłą niedzielę. Moim zdaniem to ohyda, jak te cholerne papki dla niemowląt, ale proszę, przy nim nie mówcie nic złośliwego.

- Jasne - powiedziała Arlene. - Co? My mielibyśmy powiedzieć coś złośliwego? Wyjdź stąd.

- Osobiście nie przepadam za rozgotowaną marchewką, ale trudno. - Marcia wzruszyła ramionami i wyszła. Arlene czuła napięcie wiszące w powietrzu.

- No to świetnie - wróciła do przerwanej rozmowy - że masz już na oku coś innego. Więc wracasz teraz do Londynu?

- Tak. Ale pobyt tu dobrze mi zrobił. Czuję się teraz dużo lepiej, przybyło mi sił. Miło mi się pracowało przy tej sztuce. To taki niskonakładowy, kameralny projekt. Zazwyczaj pracuję pod większą presją.

Ależ oczywiście, możesz mnie traktować protekcyjnie, dlaczego nie, pomyślała Arlene.

- Przepraszam, to zabrzmiało trochę protekcyjnie.

- Nie ma sprawy, mam grubą skórę.

- Więc Isobel nie przyjdzie?

- Nie.

- Mam nadzieję, że nie została w domu z powodu tej głupiej recenzji.

- Na pewno nie - odparła Arlene, choć w głębi ducha podejrzewała, że Richard dobrze zinterpretował nieobecność Isobel. Została w domu zraniona i posepna.

Marcia i David wnieśli do pokoju tacę z parującą przystawką i przeszli do dużego stołu. Arlene ostatnio rzadko odwiedzała Marcję, ale kiedyś była w jej domu częstym gościem i wiedziała, że czeka ich prawdziwa uczta. Marcia była doskonałą kucharką. Na początku swojej kariery, kiedy jako aktorka zarabiała bardzo niewiele, pracowała wieczorami w eleganckiej restauracji. Ale gdy jej rówieśnice były najczęściej kelnerkami. Marcia, która nie chciała, by ktoś widział, jak dorabia sobie poza sceną, wolała kryć się w kuchni. Nabyła tam umiejętności, które, jak uważała, mogłyby jej się przydać, gdyby musiała kiedyś zmienić branżę. Na szczęście nie musiała, choć odgrażała się czasami, że „porzuci ten niewdzięczny zawód, wyjedzie do Kerry, otworzy elegancką knajpę i zdobędzie w końcu trochę uznania”.

Wszyscy z zapalem zabrali się za przystawkę. Był to pyszny makaron z sosem z ryby.

- A więc Isobel ma ból głowy - powiedziała Marcia zgryźliwie. - To pewnie znowu jakieś fanaberie.

Nikt nie podjął tematu.

- To cudowne, że bilety sprzedają się tak dobrze - Marcia zmieniła temat. - Uwielbiam grać przy pełnej widowni. Moja interpretacja rozwija się na zasadzie *per capita*.

- Skoro już o tym mowa - odezwał się Richard. - Pamiętam najbardziej żenującą chwilę w mojej karierze. To było w osiemdziesiątym drugim, a może trzecim? W każdym razie na początku lat osiemdziesiątych. Grałem wtedy w przedstawieniu opartym na poezji eksperymentalnej w galerii sztuki w Tempie Bar. Wiedzieliśmy, że tego wieczoru ma przyjść znany międzynarodowy agent, żeby nas zobaczyć. Byliśmy tym bardzo przejęci, bo wszyscy czekaliśmy na swoją wielką szansę. Niestety bilety zarezerwowały tylko cztery osoby, ale za kwadrans ósma zadzwoniła, żeby odwołać rezerwację, bo uciekł im autobus. Wyglądało na to, że będziemy grać tylko dla tego agenta. W przedstawieniu graliśmy w trójkę i już zaczęliśmy się zastanawiać, czy w ogóle warto...

- ...ale wtedy ja się tam pojawiłam - powiedziała Arlene. -Z grupą dwudziestu ludzi. Wzięłam ich z wernisażu, który odbywał się w innej galerii na tej samej ulicy. Dosłownie ich stamtąd wyrwałam, obiecując, że po spektaklu dostaną darmowego drinka...

- Agent przyszedł i usiadł w tłumie gości w stylu studentów uczelni artystycznych. Spektakl chyba mu się podobał. No i później zaprosił mnie na kilka przesłuchań. W końcu to rzeczywiście on dał mi moją szansę, o ile dobrze pamiętam. Pamięć często mnie zawodzi. Po przedstawieniu podszedł do nas, uścisnął nam dłonie i poszedł, a my zostaliśmy z dwudziestoma studentami, którym już dobrze zaschło w gardłach. Czekali na swoje paliwo, a Arlene nie było nigdzie widać...

- ...ale kiedy zaczęli się już niecierpliwić, wkroczyłam ze skrzynką czerwonego wina.

- To była najgorsza chwila w mojej karierze - powiedział Richard. - Ciągle to pamiętam. Bardzo się ucieszyłem, kiedy zamknęli tę galerię. Ile razy tamtędy przechodziłem, to wszystko do mnie wracało. A tak przy okazji, skąd wzięłaś to wino? Pewnie potem mi powiedziałaś, ale zapomniałem.

- Kupiłam je - odparła Arlene.

- Och. A ja myślałem, że wyczarowałaś je jakoś, tak jak tych ludzi. To zabawne.

- Nie, kupiłam je - powtórzyła Arlene. - Za pieniądze.

Marcii i Davidowi wydało się nagle całkiem realne, że Arlene i Richard byli kiedyś małżeństwem. Popatrzyli na siebie ukradkiem, pozbierali talerze i dyskretnie wycofali się do kuchni.

- To było tak dawno temu - powiedział Richard.

- Tak - odparła Arlene.

- Jestem naprawdę pod wrażeniem tego, co teraz robisz, Arlene. Podziwiam cię.

- Przeszłość - powiedziała - już dawno minęła. Byłam wtedy kimś innym.

- Tak.

Na stół wjechało danie główne w towarzystwie purée z marchewki.

- Mmm! Pycha. Przecier z marchewki. Mój ulubiony, zaraz po przecierze z groszku - powiedziała Arlene.

David rzucił Marcii wyniosłe spojrzenie.

- To jest purée z marchewki - skorygował.

Richard wolał nie wypowiadać się na temat marchewki, zwłaszcza że Arlene zrobiła to tak elegancko. Później wszyscy z apetytem zjedli tradycyjne danie składające się z pieczeni i smażonych ziemniaków. Kiedy już odprężyli się po posiłku, Marcia wstała, by wygłosić mowę.

- Gościem honorowym wieczoru jest Arlene - zaczęła. - Chcę ci podziękować, Arly, za to, że przyszałaś do mnie i skłoniłaś mnie, żebym zagrała w tej sztuce. Jak wszyscy wiecie, byłam pogrążona w głębokiej depresji, a Arlene przyszała tu i zaprosiła mnie, nie, zmusiła mnie, żebym...

Zadzwoiła komórka Arlene.

- Nie mogę uwierzyć - zawołała Marcia z wściekłością - że zostawiłaś włączoną komórkę.

- Przepraszam - powiedziała Arlene. - Lepiej odbiorę. - I poszła po zostawioną w przeciwnym kącie pokoju torbę. Marcia mruczała pod nosem, że ktoś powinien chirurgicznie usunąć ten cholerny telefon z organizmu tej głupiej kobiety.

- Halo? Czy to pani Morrissey? Tu sierżant O'Hanlon. Obawiam się, że mamy tu mały problem. Właśnie otrzymaliśmy telefoniczną wiadomość od pana Tommy'ego Hatchetta. Zdaje się, że Isobel Coole wtargnęła do jego domu, gdzie przeszkodziła w przyjęciu. Nie chce stamtąd wyjść. Zadzwoił do nas, żebyśmy usunęli ją siłą, więc, oczywiście, pomyślałem, że najpierw zawiadomię o tym panią.

- Dziękuję, sierżancie.

- Przykro mi z tego powodu - ciągnął sierżant O'Hanlon. Jeśli woli pani, żebyśmy interweniowali, to oczywiście nie ma problemu, ale pomyślałem, że zechce pani sama się tym zająć.

- Dziękuję.

Arlene wyłączyła telefon i odwróciła się do pozostałych, którzy wyczuli już, że coś jest nie tak.

- Isobel jest w domu Tommy'ego Hatchetta. Wtargnęła na przyjęcie. Richard, pojedziesz ze mną, żeby ją stamtąd zabrać?

- Jasne. W ramach dniówki.

- Ta Isobel Coole wymaga wiele uwagi - zauważył David.

- A co z deserem? - spytała Marcia. - Zrobiłam „Pawłową”. Jeśli sądzą, że uda wam się zbiec, zanim skosztujecie mojej „Pawłowej”, to jesteście w błędzie.

- Zaraz będziemy z powrotem - powiedział Richard.

- Z dodatkową gębą do nakarmienia - dorzuciła Arlene.

Proszona kolacja B

Isobel szła podjazdem do nowoczesnego domu na Bushy Street w Rathgar. Był to dom Tommy'ego Hatchetta. Poznała jego adres, zaglądając do notosu Arlene. Znalazła tam też wiele innych interesujących nazwisk i adresów. Willows, siedziba Hatchettów, był wolno stojącym domem z ogrodem, a wielkie drzewa rosnące od frontu nadawały mu wygląd niedostępnego gotyckiego zamczyska.

Stojąc na progu Isobel zawahała się, potem jednak śmiało nacisnęła dzwonek. Po kilku sekundach drzwi otworzyła młoda, mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna.

- Tak? - spytała. Była ubrana na czarno, miała czarne włosy i czarną szminkę na wargach, a na reszcie twarzy bardzo jasny, prawie biały podkład.

- Czy to dom pana Tommy'ego Hatchetta? - spytała Isobel.

- Spóźniłaś się. Już zaczęli - powiedziała dziewczyna.

- Gdzie jest pan Hatchett?

- Patriarcha jest w jadalni, gdzie zasiada za wysokim stołem modernizmu wraz ze swymi braćmi w kapitalizmie, spożywając zamordowaną krowę z jarzynami.

Isobel patrzyła na dziewczynę w osłupieniu.

- Ja pozostaję na górze, przygotowując pogrzeb dla tego martwego zwierzęcia, stąd właśnie ta kredka - wskazała na usta. -Możesz się do mnie przyłączyć, jeśli chcesz. Jestem Melissa.

- Nie, dziękuję - powiedziała Isobel łagodnie.

- Kiedy przybędą obcy - powiedziała Melissa - dostaniemy za swoje. Znowu zaczniemy hodować byki rozplodowe. Wiesz, że krowom już nie wolno normalnie się kochać? Są napastowane seksualnie przez specjalne maszyny, które właczają w nie bycze nasienie... Jadalnia jest tam, za tymi drzwiami... a feministki w ogóle się tym nie interesują. Nie robią nic dla swoich krowich sióstr.

- Myślę, że najpierw zapukam - powiedziała Isobel.

- Ale tam. Po prostu wejdź - odparła Melissa. - I pamiętaj, pogrzeb jest na górze. Zaplanowałam, że rozpocznie się po deserze. Według obrządku hinduistycznego. Krowy w Indiach są święte. Albo w Pakistanie?

Isobel nie mogła oderwać oczu od tej niesamowitej osoby. Obrządek pogrzebowy bardzo ją zainteresował, ale oparła się pokusie. Nie wolno jej zapominać, po co tu przyszła. Wślizgnęła się do jadalni. Było tam sześć osób, a u szczytu stołu siedział niewysoki, przysadzisty mężczyzna z małą, okrągłą głową i kroił pieczeń wołową. Tommy Hatchett wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Pani Hatchett siedziała naprzeciwko niego. Wszyscy goście byli mniej więcej w tym samym wieku. Przed nimi stały puste talerze; najwyraźniej zjedli już pierwszą porcję pieczeni. Tommy Hatchett kroił teraz dokładkę. Powoli, jeden po drugim, goście zauważyli Isobel. Ostatni dostrzegł ją Tommy, pochłonięty krojeniem.

- Witaj, kochanie. Pewnie jesteś koleżanką Melissy? Słyszałam dzwonek - odezwała się pani Hatchett.

- Nie jestem koleżanką Melissy - odparła Isobel.

- Och - zdziwiła się pani Hatchett. Isobel uśmiechnęła się przepraszająco.

- Kim w takim razie jesteś?

- Jestem Isobel Coole.

Tommy Hatchett zerwał się na równe nogi i odłożył nóż. Zapadła cisza. Po chwili Tommy podniósł nóż. Na wszelki wypadek.

- Ach, więc jesteś pisarką? Tak, widziałam cię w telewizji - powiedziała pani Hatchett, która była już odrobinę wstawiona. - Sądziłam, że jesteś jedną z koleżanek Melissy, bo one wszystkie mają takie czarne włosy. Wszyscy młodzi ludzie mają teraz takie włosy.

- Co pani tu robi? - zapytał Tommy Hatchett.

- Istotnie, dobre pytanie - przyznała pani Hatchett.

- Przyszłam porozmawiać z pani mężem na temat recenzji z mojej sztuki, którą napisał.

- Och, czy był nieprzyjemny?

- Nieprzyjemny nie jest odpowiednim określeniem - powiedziała Isobel. Uprzejmość pani Hatchett zabiła ją z pantaląku. Poczwała się nagle dziwnie słaba. - On ją zmiażdżył, unicestwił.

- Tommy, co ty tam napisałeś? - spytała pani Hatchett.

- To nie do wiary - powiedział Tommy Hatchett. Isobel postanowiła skupić się tylko na nim.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - rzucił ze złością.

- Dlaczego? - zapytała Isobel swoim najbardziej zranionym tonem.

- Przepraszam, ale albo natychmiast opuści pani mój dom, albo wezwę policję. To prywatny dom, mamy właśnie gości na kolacji, jak pani widzi. Jeśli chce pani podyskutować za mną o moich recenzjach, chętnie się z panią spotkam w poniedziałek rano w moim biurze. Może też pani napisać do mnie albo do gazety-

Arogancja Hatchetta na nowo rozwścieczyła Isobel. Prychnęła, odrzuciła głowę do tyłu i obnażyła zęby. Wydawała się dziwnie odmieniona, nie była już tą skromną, tajemniczą pięknoscią.

- Myśli pan, że może wypisywać takie rzeczy w gazetach i ujdzie mu to na sucho? Więc przyszłam właśnie powiedzieć panu, że nie.

Pani Hatchett odwróciła się do jednego ze swoich gości. Ona i Tommy Hatchett przechodzili właśnie trudny okres przystosowania się do zmian, jakie zaszły w ich małżeństwie. Vera Hatchett wróciła niedawno do pracy, co powodowało wiele napięć.

- Typowe, znowu napisał jedną z tych swoich okropnych recenzji, a to taka miła dziewczyna.

- Jestem człowiekiem - ciągnęła Isobel - i mam uczucia. W swoją pracę wkładam serce i duszę. Ciężko pracowałam nad tą sztuką przez cały rok. A dla pana to tylko kilka godzin w teatrze, po tym, jak wypił pan trochę za dużo whisky w barze.

To była prawda. Hatchett wypił dwie whisky przed spektaklem. Tylko dwie. Ale teraz przypomniał sobie, że wypił trzecią w czasie przerwy. Isobel dowiedziała się tego wszystkiego od Nicka, barmana z teatralnego bufetu.

- Po spożyciu alkoholu nie wolno prowadzić samochodu, skąd więc przekonanie, że może pan osądzać moją pracę, kiedy jest pan pijany?

- Może usiądziesz i zjesz coś, kochanie? - zaproponowała Vera - Nie chciałabym się wtrącać w nie swoje sprawy, ale jesteś taka szczuplutka. Nałożę ci porcję pieczeni - Vera zaczęła ładować na talerz mięso i ziemniaki.

- Chcę tylko, żeby pan wiedział, Hatchett - wysyczała Isobel -jak bardzo panem gardzę. Pańska wiedza, na temat tego, czym jest prawdziwa twórczość, jest taka mała. - Zaprezentowała to za pomocą kciuka i palca wskazującego.

- Lubisz purée z marchewki? Zrobiłam je dzisiaj pierwszy raz, znalazłam przepis w gazecie z ubiegłego tygodnia - powiedziała Vera. - Przyniosę je z kuchni, żeby było naprawdę gorące.

- Vera, proszę, przestań ją częstować, zaraz zadzwonię na policję.

- Posłuchaj, Tommy, nikt, kto przyszedł do mojego domu nie wyjdzie z niego głodny. Siedzaj, kochanie, o tu, przy mnie. Posuń się, James, zrób miejsce. Co to ja mówiłam... ach, tak! Puree z marchewki. Wszystkim bardzo smakowało.

- Dla mnie - mówiła Isobel - proces twórczy jest aktem samospalenia, wykonywanym pod wpływem wewnętrznego nakazu wyrokiem. Nie rozumie pan? Nie może pan obrzucać błotem mojej pracy, bo to tak, jakby mnie pan obrzucił błotem.

- Taki mam zawód. Moja gazeta wysyła mnie do teatrów. Wykonuję swoją pracę.

- Szczerze mówiąc, Tommy, powinieneś chyba odpowiedzieć tej dziewczynie, przepraszam, kobiecie, na jej zarzuty - odezwał się Jeffrey Cohen, jeden z gości.

- Mowy nie ma, do cholery. Zaraz wezwę policję. - Hatchett wstał od stołu.

- Żądam odpowiedzi przynajmniej na jedno pytanie - powiedziała Isobel. - Co strajki głodowe mają wspólnego z moją sztuką?

- Absolutnie nic. I o to mi właśnie chodziło! - Tommy wyrzucił ręce do góry. - Nie mogę uwierzyć, że w ogóle o tym rozmawiam. Idę zadzwonić na policję.

Wyszedł do holu i zgodnie ze swoją zapowiedzią zadzwonił na policję.

- Bardzo interesująca kwestia - powiedziała Samantha Cohen. - Prawo artysty do odpowiedzi na krytykę krytyka.

- Oczywiście, nie ma problemu - powiedział Tommy, wracając do pokoju. - Ale wszystko we właściwym czasie i miejscu, nie w moim prywatnym domu.

W drzwiach stanęła Melissa, patrząc w milczeniu na zgromadzone w jadalni towarzystwo.

- Witaj, Mel - powiedziała Vera Hatchett. - Przyszłaś nam zaśpiewać jakąś piosenkę?

- Mamo, nie śpiewałam piosenek gościom od dziewięćdziesiątego pierwszego roku i nie mam zamiaru teraz cofać się w rozwoju - odparła Melissa. - Przyszłam tylko odsłonić okna, żebyście mogli coś zobaczyć

Podeszła do okna i pociągnęła za sznurek. Zastony rozsunęły się z cichym szumem, ukazując wielki transparent zwieszający się z okna sypialni Melissy na piętrze.

MIĘSO = MORDERSTWO

WOŁOWINA = WYNATURZENIE

POMYŚL O MALTRETOWANYCH WYMIONACH

WESPRZYJ SVOJE KROWIE SIOSTRY!

- Przygotowałam pogrzeb dla waszej kolacji - powiedziała Melissa.

- To bardzo ładnie z twojej strony, kochanie - powiedziała Vera. - Jesteś taka twórcza.

- Przyszłam zapytać, czy ktoś z was nie chciałby wziąć w nim udziału?

- Myślę, że nasi goście wolą raczej zostać na dole z dorosłymi, kochanie.

Melissa westchnęła i wyszła z jadalni

- Staje się coraz bardziej podobna do ciebie, Vero - stwierdził Jeffrey.

- Tak uważasz? - powiedziała Vera. Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Ha! To na pewno policja - podskoczył Tommy.

- Jakie to żenujące - powiedziała Vera. - Wezwaliśmy policję, żeby usunęła z domu jednego z naszych gości.

- Chcę, żeby po obejrzeniu mojej sztuki na trzeźwo odwołał to wszystko, co o niej napisał.

- Porozmawiam z nim, kochanie, i spróbuję go przekonać - obiecała Vera.

Wrócił Tommy, prowadząc za sobą Richarda Powera.

- Richard, a co ty tu robisz? - spytała Isobel.

- Czy to jest Richard Power? - zapytała Vera Hatchett.

- Tak - odparł Jeffrey.

- Wygląda całkiem nieźle, prawda? Słyszałam, że jest już po pięćdziesiątce. Moim zdaniem wygląda najwyżej na czterdzieści lat - powiedziała Vera konfidencjonalnie.

- Przyjechałem, żeby cię stąd zabrać, Isobel - oznajmił Richard. - Mam cię zaprosić do Marcii na deser.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem?

- Wygląda na to, że pan Hatchett zadzwonił do sierżanta O'Hanlona, a on z kolei zadzwonił do Arlene, więc przyjechaliśmy po ciebie.

- Gdzie jest Arlene?

- Czeka w taksówce. Nie chciała iść ze mną.

- Jest zła?

- Bardzo.

Isobel odwróciła się do Very Hatchett.

- Dziękuję pani za gościnność, pani Hatchett.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Tommy Hatchett zaczął tracić głowę. - Panie Power, może chce pan wziąć stąd tę histeryczkę, która zepsuła nasze przyjęcie?

- Biedny Tommy. Ma nadciśnienie. Takie rzeczy są dla niego bardzo stresujące - powiedziała Vera.

Richard w końcu przepchnął Isobel przez drzwi.

- Mój kapelusz! - zawołała Isobel.

Richard wrócił, żeby go zabrać. W holu minął Melisę, która szła właśnie do Isobel.

- Jeśli szuka pan jej kapelusza, to Melisa już go zniosła - powiedziała Vera.

- Proszę mi pozwolić jeszcze raz bardzo państwa przeprosić. Pani Coole ma temperament artystki.

Melissa podeszła do stojącej na progu Isobel.

- Nie zapominaj, że trzeba troszczyć się o zwierzęta - powiedziała i nałożyła na głowę Isobel biało-czarny kapelusz w cętki dalmatyńczyka.

- To nie jest prawdziwe futro dalmatyńczyka - powiedziała Isobel. - To tylko taki żart.

- To sztuczne futro - odparła Melissa. - A futro nigdy nie jest tylko żartem.

Richard zaprowadził Isobel do taksówki. W środku siedziała Arlene, gotując się ze złości.

Richard wsiadł pierwszy, żeby usiąść między dwiema kobietami.

- Gdzie jedziemy? - zapytała Isobel

- Do Marcii na „Pawłową” - odparł Richard Arlene milczała.

Taksówka zatrzymała się przed domem Marcii. Arlene zapłaciła taksówkarzowi, podziękowała mu i cała trójka wysiadła z samochodu.

- Dobranoc panu - powiedziała do taksówkarza, który zamknął okno i odjechał.

Arlene odwróciła się do Isobel.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! Isobel milczała.

- Skąd miałaś jego adres?

- Znalazłam.

- Grzebałaś w moim notesie?

- Nie grzebałam.

- Nie kłam.

- No dobrze, grzebałam.

- To idiotyczne i dziecinne. Niedojrzałe.

Richard przestępował z nogi na nogę.

- Może wejdziemy do środka?

- Mówię ci, ten Tommy Hatchett dobrze się zastanowi, zanim znowu napisze taką recenzję - oznajmiła Isobel wyniośle.

Arlene osiągnęła temperaturę wrzenia.

- Jesteś żalosna, Isobel. Tak bardzo jesteś zaabsorbowana sobą, że wydaje ci się, iż masz prawo wdrzeć się do czyjegoś domu tylko po to, żeby zadowolić swoje cenne ego.

- Przestań mnie pouczać! Nie będę tego słuchać! - parsknęła Isobel. - Dla ciebie wszystko jest w porządku, liczysz sobie wpływy do kasy, mnożysz swoje cenne pieniądze. Nie podejmujesz żadnego ryzyka, Arlene. Jesteś pasożytem.

- Nie zrobiłabyś tego, co zrobiłaś, gdyby nie ja.

- A ty nie zrobiłabyś tego, co zrobiłaś, gdyby nie ja - odparła Isobel.

- Posłuchajcie - wtrącił się Richard - chyba obie jesteście przemęczone. Wejdźmy do środka i przynajmniej ogrzejmy się trochę.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek dotkniesz mojego notesu albo czegokolwiek, co do mnie należy, nigdy ci nie wybaczę - powiedziała Arlene. - Musisz zrozumieć. Isobel, że tak jak ty nadajesz znaczenie swojemu życiu poprzez swoją sztukę... - urwała.

Isobel zaczęła płakać.

- ... tak ja nadaję znaczenie swojemu życiu poprzez moją pracę - dokończyła Arlene.

- To był tylko tępy, podły krytyk - łkała Isobel.

- Może dla ciebie, ale dla mnie to był cenny kontakt zawodowy.

Isobel zawodziła coraz głośniej.

- Przestań, Arlene, to okrutne - powiedział Richard.

Chcę mieć dziecko - powiedziała Arlene. Dick spojrział na nią znad spaghetti.

- Wyrośniesz z tego - odparł i wciągnął pojedynczą nitkę makaronu.

- Chcę, żebyśmy mieli dziecko - nalegała Arlene.

- Arlene, skłoniłaś mnie, żebym się z tobą ożenił w nadziei, że to nas zwiąże. Ale nie związało. Nie namówisz mnie do tego, żebym miał z tobą dziecko. Spójrz prawdzie w oczy; nie jesteśmy normalni. I nigdy nie będziemy.

- Ale ja chcę mieć dzieci, Dick.

- Więc uważasz, że byłoby w porządku wprowadzić dziecko do takiego burdelu?

- Nie mów tak. To nie jest burdel.

- Ależ jest. Ty już nie umiesz zachowywać się wobec mnie przyzwoicie, a ja z trudem znoszę twoją obecność.

- To nieprawda. Mówimy takie rzeczy, ale to nie jest prawda.

- To prawda.

Od ślubu Dicka i Arlene minęły już prawie dwa lata. Nie powiodły się podejmowane na początku próby przeobrażenia mieszkania w Donnybrook w miłosne gniazdko. Lepy na muchy, zawieszane entuzjastycznie dwa lata wcześniej, zeszytywniały pod sufitem wraz ze swymi ofiarami i wisiały smętnie w powietrzu ciężkim od papierosowego dymu. Teraz sypiali na ogół w osobnych pokojach, choć od czasu do czasu jedno z nich, w ciemnościach nocy, zakradało się do pokoju drugiego, by skraść trochę przyjemności. Zaspokoić perwersyjny apetyt.

Wybaw nas, myślała Arlene. Z nami jest coś nie tak. Sami nie potrafimy tego zrobić, nie wiemy, jak być ludźmi.

Ich nagie ciała spletały się ze sobą tak mocno, jak to tylko możliwe. On szeptał w jej ucho słodkie wyznania nienawiści, a ona kąsała go w szyję, krótko, ostro, z odrazą.

Dickowi wiodło się wspaniale. Dostawał mnóstwo propozycji, niektórych nie był już w stanie przyjąć. Arlene negocjowała w jego imieniu, robiła notatki w jego kalendarzu, organizowała spotkania, dbała o garderobę. Zamawiała dla niego wizyty u fryzjera. Czyściła jego buty. Prasowała koszule i bieliznę. On nadal pił, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Stawał się wtedy bezradny jak dziecko. Później miał już tyle pracy, że zaczęło mu brakować czasu na picie. Uspokoił się, wytrzeźwiał, złagodniał. Kiedy zbliżała się druga rocznica ich ślubu, znalazł trochę czasu i poprosił ją słodko, żeby wyjechała z nim na weekend.

- Musimy porozmawiać.

Pojechali za miasto, do wielkiego eleganckiego hotelu, stojącego wśród zieleni. Wydawało się, że umieją się ze sobą porozumieć. I wtedy, przy kolacji, Dick jej to powiedział.

- Uważam, Arlene, że powinniśmy dać sobie z tym spokój. Powinniśmy się rozstać.

Arlene zupełnie się tego nie spodziewała.

- Chyba musimy przyznać, że popełniliśmy błąd.

- Jeszcze może nam się udać, jeśli się postaramy - odparła. - Jeśli będziemy tego chcieli.

- Nie - powiedział. - Nie pasujemy do siebie. Ja w tej chwili w ogóle nie nadaję się do tego, żeby dzielić z kimś życie. Zwłaszcza z tobą.

- Dlaczego zwłaszcza ze mną? Spojrzał na nią chłodno.

- Zupełnie mną zawładnąłeś. Straciłem własne ja, straciłem szacunek dla samego siebie. Muszę to odzyskać. Chcę odejść.

Zamówili drinki i poszli do pokoju.

- Szacunek dla samego siebie! - prychnęła Arlene. - Nigdy go nie miałeś. To ja cię wyciągnęłam z pijackiego otepienia i nadałam kierunek twojej karierze. Gdyby nie ja, nie byłoby żadnych świetnych propozycji z Anglii.

- Nie przeczę - odparł Dick. - Wiem, że wiele ci zawdzięczam, ale sugeruję, że powinniśmy się rozstać ze względu na ciebie i ze względu na mnie.

- Przestań - powiedziała. - Przestań. - Sięgnęła do jego spodni. Zawsze miał ochotę na seks. Był nienasycony. Był przewidywalny. Uwiedzenie Dicka Whelana było jedną z najłatwiejszych rzeczy na świecie, o czym dobrze wiedziało pół Dublina.

- Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy - powiedział. - Nie potrafię odejść od ciebie sam, bez pomocy z twojej strony. Próbowałem nas uratować, ale jesteśmy skończeni. Utoniemy.

Zgasły światła i rozpoczęła się gra.

- Nienawidzę cię - powiedziała, pieszcząc jego ciało.

- Nienawidzę cię - powiedział, kiedy w nią wchodził - Rządzisz się i narzucasz, aż mi się niedobrze robi.

Jesteś moim więźniem, moją własnością, beze mnie jesteś niczym, myślała.

- Chciałbym, żeby cię bolało - powiedział.

- Ale nie boli - odparła.

Ich seks był gwałtowny i namiętny, jak zawsze. Jakby od wieków się nienawidzili i mieli w tym ogromną wprawę.

Upadali coraz niżej, aż dotarli do mrocznych miejsc, których istnienia nawet nie podejrzewali. On przyprawdzał do domu inne kobiety, choć wcześniej obowiązywał co do tego niepisany zakaz, i kochał się z nimi hałaśliwie, podczas gdy Arlene masturbowała się w pokoju obok.

Ciągle nie chciała przyznać, że poniosła klęskę.

- Nie jesteś w stanie mnie zranić - mówiła do niego. - Śmieszą mnie twoje wybryki, bo to siebie kompromitujesz, a nie mnie, kiedy...

Pewnego wieczoru Arlene spojrzała w lustro. Jej dwudziestotrzyletnie życie leżało w gruzach wokół niej. Nienawidzę tego, co robię teraz, nie mam przyszłości i nie jestem zachwycona tym, czego dokonałam w przeszłości. Jestem zbyt inteligentna, żeby tkwić w tym błocie.

Rozległ się zgrzyt klucza w drzwiach. Stała w kuchni i starała się wyczuć, w jakim jest nastroju. Milczenie na ogół zwiastowało albo złośliwość, albo dalsze milczenie, a później łóżko. Kiedy był pijany, potrafił być czuły, ale także straszny. Tego wieczoru nucił coś pod nosem. To był na ogół dobry znak. Odezwie się do niej.

Wszedł do kuchni i postawił na stole sześciopak piwa.

- Dlaczego kobiety mają cipę i dupę? - zapytał z uśmiechem.

- Nie wiem - odparła.

- Żeby można je było podnosić jak sześciopak - roześmiał się głośno i objął ją.

Arlene też się zaśmiała.

- To obrzydliwe - powiedziała radośnie.

- Jimmy, ten barman, mi to opowiedział. To obrzydliwe, ale bardzo śmieszne - wybełkotał i znowu się roześmiał.

- Chcesz kawy? - zapytała.

- Wypiję jeszcze jedno piwo - powiedział.

- Mam ci otworzyć?

- Hau - zaszczekał, co miało oznaczać zgodę.

Rzeczywiście był w dobrej formie.

- Jesteś w dobrej formie - powiedziała.

- Ten reżyser z Ameryki wziął mnie na kolację.

- Kto? - spytała ostro.

- Taki jeden. Upiłem się dopiero, jak sobie poszedł. Nie martw się.

- Kto? - powtórzyła. - W kalendarzu nie było żadnego spotkania.

- Nie. Bo to była tajemnica.

- A on ma jakieś nazwisko?

- To też jest tajemnica.

Arlene otworzyła też piwo dla siebie.

- Hau - powiedział.

- Hau - odparła.

- Hau, hau.

- A czy ten tajemniczy reżyser o tajemniczym nazwisku, nie chce przypadkiem nakręcić jakiegoś tajemniczego filmu?

- Hau, hau.

- A ty dostaniesz w nim rolę?

- Hau.

- To znaczy tak, czy nie?

- Ha-au.

- Czy to znaczy może? - zapytała.

- Hau - potwierdził. - Gdybyś była psem - powiedział - byłabyś terierem. Jap, jap, jap!

- A ty byłbyś rottweilerem - odparła. - Wrrrrr.

Dick wyciągnął z szafki spodek, wlał do niego piwo i zaczął je chleptać jak pies. Potem wskoczył na krzesło i głośno zawył.

Arlene odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać.

Wył jeszcze przez chwilę, ale ciszej. A potem zaczął dyszeć i trącać ją nosem w szyję.

- To pewnie film o wilkołaku - powiedziała.

- Hau.

- A ty masz zagrać wilkołaka.

- Hau, hau - zaczął rozpinać jej bluzkę zębami. Udało mu się rozpiąć jeden guzik. Potem drugi.

Arlene wskoczyła na stół, przykucnęła i zaczęła skowyczeć.

- Ouu, ouu, ou, ouuuu. Otworzył sobie kolejną butelkę piwa.

- Ouuuu, ou, ouuu - ciągnęła.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się pod nosem. Arlene zobaczyła ten uśmiech i zrozumiała, że Dick zaraz stanie się złośliwy.

- Jesteś żalosna - powiedział. - Dlaczego siedzisz na stole, pokazujesz majtki i skamlesz, jak jakiś głupi pies?

Otworzył lodówkę, wyjął następną butelkę piwa i podał ją Arlene.

- Otwórz to - warknął.

Miała ochotę odmówić, ale instynkt podpowiedział jej, żeby tego nie robiła. Kiedy był w takim nastroju, starała mu się nie sprzeciwić.

Zeszła ze stołu i zaczęła grzebać w szufladzie ze sztućcami w poszukiwaniu otwieracza do butelek.

- Nie mogę go znaleźć - powiedziała.

- Liczę do dziesięciu. Raz, dwa, trzy...

- Ty go ostatnio używałaś - powiedziała, rozglądając się dookoła.

- Cztery, pięć, sześć, siedem...

- Dick, nie mogę go znaleźć.

- Osiem, dziewięć, dziesięć. Czas minął - oznajmił i wstał, głośno się śmiejąc.

- Dick, przestań, proszę - powiedziała Arlene.

Złapał ją za włosy i zaczął wpychać jej głowę w zimną, tłustą wodę w zlewozmywaku.

- Przestań! - zdążyła krzyknąć, zanim jej głowa znalazła się pod powierzchnią wody. Trzymał ją tak, a ona próbowała wierzgać, ale bez skutku. Machała rozpaczliwie ramionami, a pomyje ze zlewozmywaka chlustały na podłogę. Pociągnął ją do góry. Zaczęła się krztusić i spazmatycznie chwytać powietrze. Kaszłała i pluła, a z oczu płynęły jej łzy.

- Ty draniu - wykrztusiła, kiedy znowu mogła mówić. Wtedy wepchnął ją pod wodę po raz drugi. Tym razem była w takim stanie, że natychmiast łyknęła wodę - tłustą mieszaninę płynu do mycia naczyń i resztek jedzenia.

On zabije mnie, pomyślała. Zabije mnie i nic mnie to nie obchodzi.

Znowu podciągnął ją do góry, a ona dławiła się i krztusiła, kaszłała i pluła wodą. Dick się śmiał.

- Hau, hau - powiedział.

Arlene nie odpowiedziała. Usiadła na krześle w kuchni i z wielkim trudem łapała powietrze. Wiedziała, że jeśli go sprowokuje, znowu skończy z głową w zlewozmywaku. Wiedziała, że to już koniec.

Siedziała przy stole przez całą noc, a po jej twarzy płynęły łzy. Było ich tak wiele, że zaczęła się zastanawiać, skąd bierze się ta ciecz i czy tak długi płacz nie grozi odwodnieniem. Myślała, że nigdy nie przestanie płakać.

Następnego ranka Dick wszedł lekkim krokiem do kuchni. Patrzyła, jak się krząta. Wyglądał bardzo radośnie. Jakby mu ulżyło.

- Ty draniu - powiedziała.

- I ja życzę ci miłego dnia, kochanie - odparł.

- Musisz odejść, musisz się wyprowadzić.

- A czemuż to zawdzięczam to uroczne powitanie?

- Dobrze wiesz, do cholery.

- O czym ty mówisz?

- O wczorajszym wieczorze.

- Ale o co ci chodzi?

- Nie pamiętasz?

- Cóż, byłem na spotkaniu z tym reżyserem. Potem wróciłem do domu i poszedłem do łóżka, ty już spałaś, o ile sobie przypominam. O co ci chodzi?

Arlene spojrzała na niego uważnie. Naprawdę nie pamięta? Wyglądał tak niewinnie. Ale w końcu jest aktorem.

- O nic - powiedziała w końcu. Jeśli on nie pamięta, ona też o tym zapomni. - Po prostu musisz się wyprowadzić. Musisz stąd odejść. Musimy się rozstać.

Kiedy wrócił do domu po południu, miał ze sobą pożyczoną walizkę.

- W porządku - powiedział. - Zgadza się. Anglia. W tym tygodniu wyjadę do Londynu

- Ale ty masz zobowiązania tutaj. Za dwa tygodnie zaczynasz próby.

- Wycofam się z tego. Zastąpią mnie kimś innym. Zawsze chętnie nam przypominają, że aktorów łatwo można zastąpić.

- Skąd pewność, że dostaniesz pracę w Londynie? - Chciała, żeby odszedł, ale nie chciała, żeby odszedł.

- Znam tam jedną agentkę. Powiedziała, że jeśli przyjadę, coś mi załatwi.

Planował to od dłuższego czasu, pomyślała. Chciał uciec.

- Mam problem - powiedział.

- Problem z alkoholem - uzupełniła.

- Nie, to coś więcej. Mam problem z całym moim życiem. Muszę się od ciebie uwolnić. Zabijasz mnie.

- To nieprawda. To nie ja cię zabijam. To ty sam się zabijasz, i mnie też. Zabijasz nas. Traktujesz mnie jak wycieraczkę.

- Jak mógłbym traktować cię inaczej, skoro rozkładasz mi się pod nogami? Nie mogę wejść do domu, żeby na ciebie nie nadeprnąć.

- Chciałam ci tylko pomóc.

- Nikt cię o to nie prosił. Nie chciałem gosposi ani żadnej pieprzonej praczki.

- Jak możesz tak do mnie mówić? Beze mnie byłbyś nikim. To ja cię stworzyłam, zbudowałam twoją karierę. Harowałam dla ciebie jak niewolnica.

- Chciałem mieć żonę partnerkę. Nie niewolnicę.

Zawsze potrafił odwrócić kota ogonem. Ubiegłej nocy mało jej nie zabił, a teraz odgrywa rolę ofiary. Od dłuższego czasu szukał wyjścia z tej sytuacji, pomyślała. I w końcu je znalazł.

Odszedł. Arlene przez kilka tygodni prawie nie wychodziła z domu. Nie chciała się z nikim spotykać, z nikim rozmawiać. Tak strasznie się wstydziła. Kiedy odszedł, zniknęło też wszystko inne. Praca na jego rzecz zajmowała jej tyle czasu, że prawie przestała pracować jako inspicjentka i teraz na żadnej liście jej nazwisko nie figurowało jako pierwsze.

W teatralnej społeczności szybko rozeszła się wieść o jego odejściu i ludzie zaczęli do niej dzwonić, żeby zapytać, jak się czuje. Nie była w stanie tego znieść. Litość. To straszne, wzbudzać litość. Wolałaby, żeby zostawili ją w spokoju.

Jak na ironię dostała propozycję pracy, od jednej z byłych kochanek Dicka. Przyjęła ją. Miło było znowu chodzić do pracy. Ludzie lubili z nią pracować, bo była nieprawdopodobnie skuteczna i zawsze można było na niej polegać. Położyła więc uszy po sobie i cicho robiła swoje.

Napisał do niej, że zdaje sobie sprawę z tego, ile jest jej winien, i załączył czek. Chciała zadzwonić do prawnika i załatwić separację, ale w końcu podarła list i czek, i odpisała, że nie życzy sobie utrzymywać z nim żadnych kontaktów. Niech za swoje czeki kupi sobie czyste sumienie gdzie indziej. Może się przyłączyć do Amnesty International albo do jakiejś innej cholernej organizacji. Ona nie wyświadczy mu tej przysługi, nie wyda jego pieniędzy. Kilka miesięcy później przyszedł kolejny czek, z bardzo oficjalnym listem od jego prawnika. Ten czek także podarła. Niech się wynosi z jej życia.

Zmieniła nazwisko i we wszystkich dokumentach znowu figurowała jako Arlene Morrissey. Zaczęła wszystko od początku. Obcięła włosy. Zbliżały się jej urodziny, nadszedł czas, żeby coś zmienić. Skończy dwadzieścia cztery lata.

Kilka miesięcy później włączyła telewizor i zobaczyła go, jak uśmiechał się do niej z ekranu. Grał w jakiejś angielskiej operze mydlanej, mówił z angielskim akcentem. Zadrzała. Poczekała do napisów końcowych. Richard Power. A więc on też zmienił nazwisko. Nie było już pana i pani Whelan. Nie istniał żaden z elementów tego tandemu. Zadrzała znowu i wyłączyła telewizor. Ależ byłam głupia, pomyślała.

Nigdy o tym nie mówisz - powiedziała Isobel.

- Nie ma o czym.

- Na pewno jest, Arlene, musisz to z siebie wyrzucić.

- To już przeszłość, Isobel. Bez znaczenia. Przestań mnie męczyć.

- Ale, Arlene, to nie mogło być bez znaczenia. Małżeństwo, nawet krótkie, musi coś znaczyć.

- Och, kurwa, zamknij się.

- Dobra. Więcej o tym już nie wspomnę. - Isobel już dawno przestała brać sobie do serca obcesowość Arlene. - Kolacja gotowa.

Arlene i Isobel pogodziły się w końcu po epizodzie w domu Tommy'ego Hatchetta. Przepręły się i znowu zapanował pokój.

Isobel ciągle mieszkała u Arlene. Teraz jednak energicznie i ostentacyjnie szukała sobie mieszkania. Po całym salonie wały się gazety z zakreślonymi długopisem ogłoszeniami.

Usiadły do kolacji. Isobel przestała jeść mięso, cytując coś dziwnego, co zasłyszała u Tommy'ego Hatchetta na temat wołowiny, więc Arlene została przestawiona na dietę składającą się z różnych odmian fasoli i innych roślin strączkowych.

- Znowu idziesz dzisiaj do teatru? - spytała Arlene.

- Jasne - odparła Isobel

- To niesamowite. Nigdy cię to nie nudzi?

- Nie. To fascynujące. Przedstawienia zawsze trochę się różnią między sobą. Każdego wieczoru jest inaczej. A został jeszcze tylko tydzień. Będzie mi tego brakowało. Bardzo polubiłam wszystkich, aktorów i ekipę.

Po kolacji Isobel włożyła płaszcz i kapelusz, i wyszła. Arlene została w domu z uczuciem niedosytu. Miała na coś ochotę, ale sama nie bardzo wiedziała, na co. Wiedziała, że będzie jej brakowało Isobel, kiedy się w końcu wyprowadzi. Nie powinna na to pozwolić. Nawet teraz, kiedy Isobel wyszła, mieszkanie wydawało się puste.

Przestań się nad sobą rozczulać, powiedziała sobie, i postanowiła pójść na frytki. Był koniec listopada. Dzień był mglisty i deszczowy, ale wieczorem trochę się rozpogodziło. Wilgotne liście leżały na trawnikach, kleiły się do chodników. Śluza na kanale zatrzymała opadłe liście i w ciemności wydawało się, że na woda nosi liściasty pancierz.

Arlene kupiła frytki i usiadła obok Paddy'ego.

- Jak leci?

- Cholernie mokro - odparł Paddy.

- Wiesz, co on zrobił? - spytała Arlene.

- Kto?

- Dick, stary drań. Obrabował bank mojej młodości.

- To straszne - odparł Paddy - kiedy ktoś obrabuje ci bank młodości.

- Teraz ciągle przyłazi, co mnie wkurza, ale z drugiej strony nie mogę się powstrzymać od zastanawiania się, jak by to było, znowu się w nim zakochać...

- To kiepski pomysł - powiedział Paddy.

- Bo tak sobie myślę, że gdybym do tego wróciła, może udałoby mi się odzyskać uczucia, które straciłam.

- To nie takie złe nic nie czuć - stwierdził Paddy. - Z punktu widzenia posągu.

- Och.

- Kiepski pomysł - powiedział Paddy.

- Masz rację, Paddy. Zawsze jesteś taki rozsądny. - Arlene wyrzuciła torebkę po frytkach do kosza na śmieci i ruszyła do domu. Postanowiła uraczyć się czymś jeszcze i wstąpiła po drodze do delikatesów.

- Cześć - powiedział Martin. - Jak tam przedstawienie?

- Świetnie. Wszystkie bilety wysprzedane.

- To magia - powiedział Martin. - Masz naprawdę dobrą rękę do tych rzeczy.

- Martin, chciałabym jakieś naprawdę dobre czerwone. Coś, co chowałeś na specjalną okazję.

- A co to za okazja, jeśli wolno spytać?

- Nie ma żadnej okazji - odparła Arlene sucho. - Właśnie dlatego wino ma być takie dobre.

Wino będzie okazją.

Martin popatrzył na nią z ukosa.

- Chyba mam coś w sam raz - powiedział, poszedł na zaplecze i wrócił zdmuchując kurz z butelki. - A masz jakieś towarzystwo na tę okazję? - zapytał.

- Pilnuj swojego nosa - odparła Arlene przyjaźnie, ale stanowczo.

Skłonił głowę.

- Jak dla ciebie, dycha. Od kogoś innego wziąłbym osiemnaście.

- Prawdziwa okazja - uśmiechnęła się, podając mu pieniądze. Wyszła ze sklepu z pakunkiem pod pachą i poszła do domu. Czowała się trochę skrępowana na myśl, że właśnie ma zamiar wytrąbić w samotności całą butelkę wina.

Na automatycznej sekretarce była nagrana wiadomość.

- Dzień dobry, pani Morrissey, to znowu ja, pani Życzliwy... Świr! Nie dzwonił od wieków. Ucieszyła się, że dał o sobie znać.

- Nie dzwoniłem przez jakiś czas, ale widziałem panią dziś nad kanałem i pomyślałem sobie, że powinna pani o czymś wiedzieć. Pani współlokatorka ma cichy romans z pani byłym mężem. Przykro mi, jeśli to zła wiadomość, ale uważam, że nie powinna się pani dowiedzieć o tym ostatnia. Brzdęk.

Co? Arlene usiadła na krześle. Richard i Isobel? Richard przychodził ostatnio bardzo często, ale sądziła, że przychodzi do niej. Co? Do diabła! Ale nagle wszystko zaczęło mieć sens. Isobel była ślicznym stworzeniem, to jasne, że spodobała się Richardowi. I była tak spragniona miłości...

Arlene otworzyła wino. Czowała się jak ostatnia idiotka. Jak mogła nie zauważyć, co się święci? A więc to dlatego Isobel co wieczór chodzi do teatru. Ale dlaczego jej o niczym nie powiedziała?

Czowała się oszukana, zdradzona. Wypiła wino, ubrała się i pojechała taksówką do teatru.

Kiedy dotarła na miejsce, ludzie zaczynali już wychodzić, wylewając się na ulicę gęstym tłumem. Wielu z nich ocierało łzy. Melodramat czy nie, byli naprawdę wzruszeni. Po raz kolejny na sali był komplet, trzysta pięćdziesiąt miejsc po dwanaście funtów każde plus sto tańszych dostawek, to będzie razem jakieś... - Arlene powstrzymała się od dalszych obliczeń. Jej mózg automatycznie zamieniał się czasem w kalkulator.

Weszła do środka i usiadła przy barze. Zamówiła gin z tonikiem. Była już trochę wstawiona.

Podeszła do niej Marcia.

- Cześć, Arlene, co ty tu robisz?

- Wpadłam na chwilę, towarzysko - powiedziała Arlene. Weszła Corinne i Paula.

- Cześć, Arlene - powiedziała Corinne. - Miło cię widzieć. Skoro ty tu jesteś, zostanę na drinka. Dzisiaj przedstawienie naprawdę się udało. Znasz ten mój monolog z finału? Po ilości pociągnąć nosem w czasie pierwszej pauzy zawsze wiem, jak mi idzie. I dzisiaj było fantastycznie! Wszyscy byli bardzo poruszeni, a jedna kobieta w pierwszym rzędzie dosłownie zanosila się od płaczu. Wprawiło mnie to w doskonały nastrój i przy ukłonach posłałam jej piękny uśmiech. - Corinne rzeczywiście była w świetnym nastroju. - Lepiej zadzwonię do domu, że wrócę później. Mam nadzieję, że mąż nie zagrozi mi rozwodem. Mogę pożyczyć twój telefon?

- Jasne - Arlene podała jej komórkę. - Ja stawiam - powiedziała. - A gdzie jest Isobel i Richard?

- Richard był w naszej garderobie, kiedy wychodziłam - powiedziała Marcia.

- W takim razie pójdę na chwilę na górę. - Arlene wstała.

Ruszyła korytarzem do garderoby numer jeden. Drzwi były lekko uchylone, zatrzymała się więc przed nimi, nasłuchując.

- Bardzo mnie rozczarowałaś - dobiegł ją z garderoby głos Richarda. - Myślałem, że mogę ci ufać.

- Cóż, nie możesz - odpowiedziała Isobel.

- Teraz już to wiem.

- Patrzyłeś na mnie od dawna. Dobrze wiem, co znaczy takie spojrzenie.

- Jesteś taka do niej podobna, kiedy była młodsza. Nie mogę przestać na ciebie patrzeć.

- Jesteś zazdrosny, bo wiesz, że miałam wielu mężczyzn. Nie możesz tego znieść.

O czym oni mówią, do diabła? Zastanawiała się Arlene. Nagle doznała olśnienia. To sztuka. Richard gra ojca, a Isobel córkę, to była ta scena. Scena końcowa. Ta, o którą było tyle zamieszania.

- Nie bij mnie, proszę. Ja cię kocham - powiedziała Isobel.

- Więc rozłóż nogi dla tatusia.

Serce Arlene zaczęło walić jak młotem. Isobel dostała swoje zakończenie. Prawdziwe zakończenie. To w sztuce było tymczasowe, miało tylko doraźnie uratować sytuację. A w międzyczasie Isobel znalazła swojego tatusia do kochania.

Pas de trois

Przykro mi, że nie miałam okazji powiedzieć ci o tym aż do wczorajszego wieczoru, ale ile razy zaczynałam mówić o Richardzie, ty zaraz zmieniałś temat. Od dawna chciałam z tobą o tym porozmawiać - powiedziała Isobel.

Arlene przez całą noc usiłowała odzyskać równowagę ducha, ale bez rezultatu. Zamiast tego otworzyła na śniadanie butelkę wina.

- Nie ma sprawy - odparła.

- Wyprowadzę się w najbliższym czasie - powiedziała Isobel. - Wyjeżdżam z Richardem do Anglii. Chcemy się pobrać.

- To świetnie. Jakie to romantyczne! - Arlene zacisnęła zęby.

- Wiedziałam, że się ucieszysz, Arly. - Isobel błędnie odczytała jej reakcję. - Na początku zastanawiałam się, czy to nie będzie dla ciebie trudne, ale po namyśle doszłam do wniosku, że skoro jesteś taka chłodna dla Richarda, to chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu. Tak się cieszę.

- Kiedy to się zaczęło?- spytała Arlene.

- Tamtego wieczoru u Hatchettów. Okazał mi tyle zrozumienia, był taki delikatny. Wcale nie uważał, że zwariowałam. Przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby uważał, że postąpiłam słusznie.

Arlene nie wiedziała, co powiedzieć, więc otworzyła drugą butelkę wina. Było wczesne popołudnie, ale okoliczności zaliczały się do szczególnych.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Arlene. Isobel Coole. Pani Power.

- Pani Power - powiedziała Arlene ze śmiechem. Isobel zarumieniła się lekko.

- To drań, Isobel. Nie rób tego. Zabije cię, tak jak mnie.

- O czym ty mówisz, Arlene?

- Nie rozumiesz, Isobel, że ja jestem martwa? Nie zauważyłaś, że we mnie nie ma już życia? To wampir. Wyssie ci krew i skończysz jako żywy trup, tak jak ja, błakając się po świecie bez kropli krwi w żyłach. - Poruszyła ręką, w której trzymała kieliszek, i trochę czerwonego wina chlapnęło na dywan. - Sól, szybko! - wykrzyknęła i skoczyła po solniczkę.

- Przestań, Arlene. Richard to bardzo miły człowiek. Jest delikatny, czuły, troskliwy. Zawsze pyta, co u ciebie. Bardzo go to interesuje.

- Ależ wampiry zawsze są bardzo miłe. Dlatego udaje im się przekonać wieśniaków, żeby im znosili swoje plony.

Isobel spojrzała na Arlene. Zdała sobie sprawę, że mimo wczesnej pory jest pijana.

- Ale ty też jesteś wampirem - ciągnęła Arlene. - Błakasz się po ziemi i wysysasz krew z ludzi. Nawet wyglądasz jak wampir, z tymi długimi czarnymi włosami i srebrnymi paznokciami.

- Arlene, jesteś pijana.

- Ta-ak.

- I tak naprawdę, źle to przyjęłaś.

- Czy nie nadszedł już czas, abym i ja, w końcu, miała swój mały dramat? Swój punkt kulminacyjny? Czy ja nie mam prawa, tak jak cała reszta, wyć, krzyczeć i wierzgać?

- Oczywiście, że tak.

- Nie rób tego, Isobel.

- Jesteś zazdrosna!

- Nie jestem zazdrosna, ty idiotko. On mnie w ogóle nie interesuje. To o ciebie się martwię.

- Mówisz do mnie tak, jakbym była dzieckiem, Arlene. A ja sama potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Nie nabierzesz mnie. Jesteś ofiarą losu. Czy nie musiałam cię wyciągać z różnych koszmarów?

- One i tak krążą wokół mnie. Moje demony pójdą za mną wszędzie, obojętne, czy będę tutaj z tobą, czy będę sama, czy z Richardem. Nigdy się od nich nie uwolnię. Richard nie jest w stanie pogorszyć mojej sytuacji. Właściwie nawet ją poprawił.

- Richard Power, Florance Nightingale *des nos jours*.

- Jest na pewno najbardziej interesującą i zabawną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Jest zabawniejszy ode mnie? Ty niewdzięcznico.

- Oszczędź mi, proszę, tych zachwyków, bo zwymiotuję - powiedziała Arlene. - Chcesz kieliszek wina?

- Nie - odparła Isobel. - I myślę, że masz już dosyć.

- Z całą pewnością nie.

- Pomyśl o swojej wątrobie.

- Rzadko o niej rozmyślam.

- Napiję się herbaty - powiedziała Isobel.

Kiedy Isobel robiła w kuchni herbatę Arlene zdołała się pozbierać. Było jej trudno zachowywać się jak należy, teraz, kiedy była pijana, ale postanowiła spróbować.

- Przepraszam, Isobel, jestem okropna. Ale szczerze mówiąc, trochę za dużo tego wszystkiego się na mnie zważyło.

- Rozumiem, Arlene. Myślałam po prostu, że to nie będzie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Przepraszam, powinnam była bardziej liczyć się z twoimi uczuciami. Ale miałam wrażenie, że tak niewiele cię w życiu obchodzi. - Isobel pokazała trochę pazurki.

- To dla mnie rzeczywiście bez znaczenia. Tylko że właśnie przechodzę kryzys osobowości.

- Arly, to może nie jest najlepszy moment, ale i tak cię o to zapytam. Zostaniesz moją druhną?

Arlene nie wierzyła własnym uszom. Była tak zaskoczona, że przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Oczami wyobraźni zobaczyła nagle, jak kroczy przez kościół w różowej sukience druhny.

Zaczęła się śmiać.

- Lepiej nie - powiedziała.

Arlene spotkała się z Richardem w kafejce na mieście.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział.

- No to słucham - powiedziała Arlene, siadając przy stoliku.

- Sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak planowałem - powiedział.

- Chyba nawet ty nie jesteś aż tak zdeprawowany, żeby zaplanować coś takiego.

- O czym ty mówisz?

- Zostaw ją w spokoju - powiedziała Arlene. - Zostaw ją. Nie pozwolę ci tego zrobić. Powstrzymam cię jakoś.

- Ale ona mnie chce, Arlene.

- Ona nie chce ciebie i dobrze o tym wiesz. Ona chce miłości swojego ojca, a ty ją tylko dla niej odgrywasz. - Arlene wyciągnęła z torebki zniszczoną brązową kopertę, a z niej kartkę maszynopisu

- Co to jest? - spytał Richard.

- Pierwszy szkic sztuki, który Isobel dała mi na samym początku. To scena końcowa. Potem dużo z niej powycinała. Marcus chciał, żeby wyciszyła bardziej kliwe fragmenty.

AKT 3, SCENA 6

Scena tonie w mroku. Spoza sceny dochodzi głos Nuali, brzmiący jak z zaświatów (jeśli to możliwe) i lekko drżący.

Nuala: Mój ojciec często dla mnie śpiewał, kiedy byłem dzieckiem. Pamiętam te piosenki, były takie radosne. A ja byłem taka dumna, i tak bardzo go kochałam. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek spotkam mężczyznę, który będzie mógł się z nim równać. Który będzie dorastał mu do pięt. Tatusiu, tatusiu. Wiem, że już cię nie ma, a jednak czuję, że ciągle tu jesteś. Odnajdę cię pewnego dnia i znowu mnie pokochasz. Obejmę cię i wybaczę ci wszystko, a ty wybaczysz mnie. I będziemy już zawsze, zawsze razem...

- No i co?

- Och, przestań udawać niewiniątko, Dick, dobrze wiem, do czego jesteś zdolny. Jeśli ją skrzywdzisz, odpowiesz mi za to.

Richard zaciągnął się papierosem.

- Niesamowite - powiedział. - Przyjechałem tu sprawdzić, czy przeżyłaś, czy wszystko u ciebie w porządku, a ty jesteś taka silna, taka twarda. Nic cię nie rusza.

Słodycz w jego głosie sprawiła, że Arlene włosy stanęły dęba.

- Co do jednego, Arlene, miałaś rację. Isobel jest twarda jak stal. Nie mam złudzeń. I nie musisz się obawiać, że ją zniszczę. Jeśli już musisz się o kogoś martwić, to raczej o mnie.

- Różnica między wami dwojgiem - wycedziła Arlene - jest taka, że ona próbuje pogodzić się ze swoim życiem poprzez sztukę. To może głupia strategia, ale ma tę zaletę, że jest czysta. Ty, natomiast chcesz odbudować swoje życie, żeby móc je wykorzystać dla swojej sztuki. Może staniesz się lepszym aktorem, ale to nieludzkie.

- Chyba nie ma sensu, żebym coś wyjaśniał - stwierdził Richard - skoro ty wszystko już tak dokładnie przemyślałaś.

- Pamiętasz, Dick... - urwała, ale po chwili podjęła: - tę noc, wiele lat temu, ostatnią noc przed twoim odejściem? Pamiętasz, co się wtedy wydarzyło?

- Pamiętam bardzo niewiele z czasów, kiedy piłem - odparł. - W ogóle niewiele pamiętam. Bardzo się z tego cieszę.

- Ja pamiętam wszystko. Nie przypuszczałam, że tak będzie, ale tak właśnie jest.

Ostatni wieczór

Cóż, skoro ty postanowiłaś być taka cholernie uprzejma i wyrozumiała, ja będę się wściekać w twoim imieniu - powiedziała Marcia. - Nie przeszkadzało mi specjalnie, że mieli swój mały romansik, każdy ma do tego prawo, w końcu musimy coś robić naszymi narządami płciowymi, na litość boską. Ale ślub to już trochę za wiele. Nie mogę uwierzyć, że miała czelność poprosić cię na druhnę.

- Uspokój się, Marcia. Gównu mnie to obchodzi.

- Omówiłam to wczoraj z Davidem, i on jest tego samego zdania. Musisz ich powstrzymać. W każdym razie nie mogą tego zrobić tutaj, pod twoim nosem. Niech spieprzają na Wyspy Normandzkie albo gdziekolwiek, gdzie będą mogli się pobrać po cichu i dyskretnie.

- Isobel chce mieć wspaniały ślub w kościele, w parafii, gdzie dorastała. Zdaje się, że jest tam jakiś *padre*, za którym przepadała jako dziecko. Dyskrecja nie leży w jej naturze.

- Jak mogą się pobrać w kościele, skoro on jest rozwiedziony?

- My mieliśmy tylko ślub kościelny.

- Jest jakaś różnica?

- Tak. Może to ja pojedę na wakacje na Channel Islands, a im zostawię tę wyspę.

- Nie możesz go przynajmniej trochę oskubać? Gdybyś go uderzyła po kieszeni, zaraz zrobiłoby ci się lepiej.

- Nie, nie chcę.

- No dobrze, ale przynajmniej mnie zrobiłoby się trochę lepiej, w twoim imieniu.

Arlene i Marcia piły gin z tonikiem na zmianę z herbatą, w barze teatru Lunar. Była szósta. Tego wieczoru odbędzie się ostatni spektakl. Arlene czuła dojmujący smutek, jak zawsze, kiedy sztuka schodziła z afisza. Jakby ktoś umierał, chociaż nie bardzo wiadomo kto.

- Nasze biedne stare przedstawienie udaje się na wieczny spoczynek - powiedziała Arlene. - Wiele się w tym czasie wydarzyło.

- Rzeczywiście - zgodziła się Marcia.

Wszedł Richard, z szerokim uśmiechem na ustach. Wyglądał na bardzo szczęśliwego. Kiedy je zobaczył, jego uśmiech przygasł na sekundę, ale po chwili wrócił ze zdwojoną siłą.

- Cześć - powiedział ciepło.

- Cześć - odparła chłodno Marcia.

- Cześć, Richard - powiedziała słodko Arlene. Richard próbował odgadnąć, w jakim jest humorze.

- Napij się tej fantastycznej herbaty. Nick! Jeszcze jedną filiżankę tego cudownego naparu!

Marcia siedziała w milczeniu, nadaśana.

- Ostatni Raz! - powiedziała Arlene. - Jak wiecie, znowu zarezerwowałam dla nas Corkscrew*, możemy się więc potem bawić, bawić, bawić!

- Naprawdę uważam, że ten klub ma fatalną nazwę - odezwała się Marcia. - Przywodzi mi na myśl hordę mężczyzn z prowincji Munster, zabawiających się na orgii.

* *corkscrew* (ang.) - śrubokręt (przyp. tłum.).

Arlene usiadła obok Isobel, żeby razem z nią obejrzeć ostatni spektakl.

Zgasły światła, publiczność przycichła. Przez chwilę na sali panowała cisza, tajemnicza, ak-samitna cisza oczekiwania, aż nagle rozdarł ją przeciągły dźwięk samotnego saksofonu, wznoszący się ponad widownią jak ptak. Potem, powoli, znowu rozbłysły światła ukazując scenę. Saksofon zamarł i zaczęło się przedstawienie.

Arlene patrzyła, jak Richard gra z Corinne Cooper, która naprawdę wyglądała zupełnie jak Isobel. Zwłaszcza z pewnej odległości. Pięknie zaśpiewała swoją wersję *Ave Maria*. Była tak szczupła, że w białej sukience wyglądała jak dziecko. Z jej ust płynął głos anioła. Nuala, rozdarta między pragnieniem, by zostać ukochaną córeczką tatusia i biologicznym nakazem, by stać się dorosłą.

Ave Maria

Gratia Plena

Dominus Tecum

Benedicta tu in mulieribus

Et benedictus fructus vestris tuae, Jesu.

A kiedy Richard/Mark Delaney po skończonej pieśni krzychał i klaskał w dłonie, było jasne, jak bardzo ten człowiek kochał swoją córkę. Dlaczego ten człowiek nie mógłby żyć, gdyby nie kochał swojej córki.

Arlene po raz pierwszy poczuła, że Corinne dzień za dniem śpiewa pieśń Isobel, zamknięta w rytmie powtórzeń, w odgrywaniu przeszłości; tej bezpowrotnie utraconej, na której odtwarzanie została skazana postać ze sztuki. Dla Isobel. Arlene spojrzała ukradkiem na Isobel, która siedziała jak zaczarowana, prawie nie oddychając.

Przerwa.

Isobel uśmiechnęła się do Arlene.

- Chodź, postawię ci drinka - powiedziała Arlene.

W barze był tłum ludzi. Arlene rozejrzała się wokół. Wszyscy elegancko ubrani, przyszli tu na randkę, z żoną lub z mężem, albo z całą rodziną. Z przypadkowo dobraną grupą znajomych. Przyszli tu dla rozrywki. Upiększyli się przed tym miłym wydarzeniem, ozdobili, włożyli wyjściowe stroje. Mimo że sztuka była smutna, był to rodzaj cudownego, uderzającego do głowy smutku, którego tak radośnie jest doświadczać. Kiedy już przez to przeszli, kiedy zwiedzili już jego najciemniejsze okolice, wyłaniali się z niego odnowieni, oczyszczeni. Po pierwsze dlatego, że przeżywając coś tak głęboko, odnowili swoje człowieczeństwo. A po drugie dlatego, że przepęlniała ich wdzięczność za to, że to nie ich tragedia.

- Smutno mi - powiedziała Isobel - że to już prawie koniec. Kochałam to. - Jej oczy lśniły radośnie.

- Ja też - powiedziała Arlene. Jej oczom nie było dane lśnić.

Po przerwie sztuka, scena za sceną, zmierzała ku nieuchronnemu zakończeniu. Ku koszmar-nemu, brutalnemu, pozbawionemu nadziei finałowi. Arlene ta sztuka nagle wydała się przerażająca. Smutna parada osobistych tragedii wystawionych na widok publiczny. Publiczne wyznanie, dzięki któremu Isobel udzieli sobie prywatnego rozgrzeszenia i będzie mogła w garderobie odegrać swój epilog, między rozrzuconymi kostiumami i chusteczkami do demakijażu. Tam zespoli się w miłosnym akcie z wilkołakiem. Uch! Dreszcz odrazy, który zelżał już trochę, wrócił z nową siłą.

Zaczął się przyjęcie po ostatnim przedstawieniu. Panował radosny, euforyczny nastrój, graniczący z histerią.

- Będzie mi was wszystkich brakowało - powiedziała Carmel, pijana, jak nigdy dotąd.

- Do następnego projektu. Obiecuj, że będziesz miała czas, kiedy znowu będę cię potrzebo-wać - poprosiła Arlene.

- Obiecuję - przyrzekła Carmel.

Marcia i David przyszli razem, odgrywając przedstawienie zwane małżeństwem. Ustalone rytuały i zasady. Byli naprawdę szczęśliwi, jak dwa stare, wygodne fotele. Isobel jaśniała jak gwiazda. Cały czas u boku Richarda, czarująco uśmiechnięta, promieniejąca radością. Marcus sie-

dział w kącie i sprawiał wrażenie lekko strapionego, jakby nad jego głową wisiała mała czarna chmurka.

Świetnie, pomyślała Arlene. Zdaje się, że Marcus jest w odpowiednim nastroju. Pójdę z nim pogadać.

Marcus istotnie zmagał się z małą czarną chmurką.

- Chyba z tym wszystkim skończę, Arlene.

- Co?! Samobójstwo? Nie mówisz poważnie.

- Nie ze sobą, idiotko. Z teatrem. Z tym najemnictwem.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś pracować poza teatrem. To bez sensu. Byłbyś jak złota rybka wyjęta ze swojego akwarium.

- To takie nierealne. - Marcus objął otoczenie szerokim gestem.

- Cóż, chyba właśnie o to chodzi.

- Pewnie tak.

- Co innego mógłbyś robić?

- Mógłbym pojechać z Manuelem do Hiszpanii i pracować w jego hotelu.

- Nie mogę uwierzyć, że miałeś romans z Hiszpanem o imieniu Manuel. To w złym guście i zupełnie do ciebie nie pasuje.

- On nie może wytrzymać zimna i wilgoci, które tu panują.

- Fakt, że pracuje w hotelu, jest jeszcze bardziej żalosny.

- Mówi, że to nie jest klimat dla miłości.

- Rozsądny chłopak, ma absolutną rację.

- Tutaj ma ciągle czerwony nos. I zimne ręce.

- Mało romantyczne.

- Rzeczywiście.

- Jeśli nie może strawić listopadowej dublińskiej mżawki - powiedziała Arlene - to na dłuższą metę chyba nic z tego nie będzie.

- Chyba nie.

- Zapomnij o nim.

- Powinienem, zwłaszcza że ma żonę i dziecko.

- To okropne, Marcus. Nie możesz romansować z mężczyznami, którzy mają żony i dzieci.

- Dlaczego nie? Kobiety ciągle romansują z żonatymi mężczyznami.

- Fakt.

- To dlaczego ja nie mogę? Tylko dlatego, że jestem ciotą?

- Nie, oczywiście, że ty też możesz. Przepraszam. To było bardzo nietolerancyjne z mojej strony. Wybacz. Ale ty jesteś tylko w połowie ciotą. O ile wiem.

- Jestem w wystarczającym stopniu ciotą. Arlene uśmiechnęła się do niego.

- Tak czy inaczej, ten rozdział jest już zamknięty - powiedział. - Nie dlatego, że Manuel jest żonaty, rozumiesz, ale dlatego, że nie znosi zimna.

- Co robisz później? - spytała Arlene.

- Już jest później - odparł. - Jest wpół do trzeciej nad ranem.

- Nie, później - później.

- Nic.

- Może pójdziesz ze mną coś przetrącić?

- Chętnie. Stęskniłem się za tobą, Arlene. Brakuje mi naszych rozmów. Zdawało mi się, że Hedda całkiem tobą zawładnęła.

- Nie nazywaj jej tak, proszę.

- To nie w porządku nazywać ją tak teraz, kiedy pan Power zmienił się w żabę? Czy też raczej w księcia.

- Nie, to w ogóle nie jest w porządku. I nigdy nie było.

- Wrzuciłbym coś na ząb.

Arlene i Marcus udali się na późną wyzerkę, składającą się z kiełbasek z frytkami. Arlene, odkąd Isobel z nią zamieszkała i przejęła władzę w kuchni, straciła jakieś cztery kilo. Teraz wrzucała w siebie kiełbaski, rozkoszując się myślą o powrocie do dawnej wagi.

Tak, jak się spodziewała, Marcus poszedł z nią do domu.

- Należę do grupy podwyższonego ryzyka, bo jestem biseksualny - powiedział, rzucając się na jej łóżko.

- Opakuję cię w celofan i zacałuję na śmierć - odparła.

Uświadomiła sobie, że odkąd wprowadziła się do niej Isobel, z nikim się nie kochała. A to było ponad osiem miesięcy temu. Zdążyła już zapomnieć, jak to jest. Seks przestał figurować w jej menu.

Marcus posłał jej spod kołdry szeroki uśmiech. Jaki z ciebie miły facet, Marcus, pomyślała. Wiedziała, że on nie ma na to specjalnej ochoty. Ale nigdy jej tego nie okaże. Bardzo uprzejmie z jego strony.

- Jestem zbyt zmęczona - powiedziała. - Chodźmy spać.

Boże Narodzenie i Nowy Rok

Grudzień przyniósł ze sobą przenikliwy chłód. Arlene wróciła do swojego życia składającego się z pracy, snu i samotności. Upchnęła wszystkie rzeczy Isobel w małym pokoiku, który znowu przeistoczył się w rupiecarnię. Od prawnika Richarda przyszło mnóstwo papierów. Podpisała wszystkie. Czemu nie? Koniec. Koniec to dobra rzecz. Daje poczucie zamknięcia. Tego, eee, końca. Pogrzebać trupa. Nie zostawiać go na wierzchu, bo zacznie się rozkładać i utrudniać innym życie. Bo będzie brzydko pachniał.

Teraz Isobel mieszkała z nim w Londynie. Obiecała, że wróci po swoje rzeczy, ale nie wróciła. Arlene podejrzewała, że Isobel zostawiła to wszystko, różową pierzynę i pudła na kapelusze, na wypadek, gdyby musiała kiedyś poszukać sobie miejsca na awaryjne lądowanie.

W dzień Bożego Narodzenia mnóstwo ludzi przysłało jej zaproszenia na obiad. Marcia i David - miłe i szczerze. Corinne Cooper i jej mąż - heroiczne, bo nie byli ze sobą tak blisko. Marcus, do domu swoich rodziców w Westmeath - krótkie, ale uprzejme. Jej bracia z Kalifornii - oni zapraszali ją co roku; kiedyś do nich pojedzie i obaj dostaną zawału. No i oczywiście Isobel, w imieniu swoim i Richarda. Postanowiła pójść do Marcii i Davida. Uznała, że tam powinno być bezpiecznie.

Resztę przerwy świątecznej spędziła czytając nowe sztuki, których w czasie, kiedy była zajęta, urosła cała sterta. Miała ochotę podjąć się kolejnego poważnego zadania, ale jakoś nic nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia, nie podniosło ciśnienia krwi. Doszła do wniosku, że zanim zacznie coś nowego, powinna zaczekać do Nowego Roku.

Po wyjeździe Isobel kurz i bałagan na nowo zadomowiły się w jej mieszkaniu. Z dołu dolaływał coraz silniejszy smród kociej uryny. Konserwy znowu podbiły kuchnię. W kratkach odpływowych zbierały się włosy. Brud zwyciężył.

Sylwester zaczął się od swawolnej zadymki. Arlene patrzyła przez okno na wirujący śnieg. Drzewa nad kanałem przykrył biały puch, a droga poniżej nabrała baśniowego wyglądu. W śniegu było coś cudownego, co przypominało jej o czasach, kiedy była dzieckiem. Zabrzęczał interkom. Na małym ekranie ukazała się Isobel. Uśmiechała się ślicznie, na jej błękitnej czapce migotały białe płatki. Królowa Śniegu, pomyślała Arlene.

- Cześć - powiedziała.

- Niespodzianka! Niespodzianka!

Serce Arlene zabiło szybciej. Nacisnęła guzik, wyszła na podest i czekała, aż Isobel wdrapie się na schody.

- Wredne koty - powiedziała Isobel. Jeden z nich zapiszczał przeraźliwie, kiedy przypadkiem nadepnęła mu na ogon. Z odrazą zmarszczyła nos. - Jesteś jedyną osobą na całej ziemi, którą spodziewałam się zastać w domu w sylwestra. - Wyciągnęła przed siebie rękę z butelką czerwonego wina. - Kupiłam ją specjalnie dla ciebie w delikatesach u Martina.

Arlene wzięła butelkę i spojrzała nieśmiało na Isobel.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

- Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć.

- Och - powiedziała Arlene radośnie.

- I zabrać mój komputer.

- Och - powiedziała Arlene mniej radośnie. - A gdzie Richard? - Dopiero teraz wydało jej się dziwne, że Isobel pojawiła się u niej sama.

- Występuje w noworocznym programie na żywo Euro-Broadcast. Mogłam z nim pojechać, ale nie pojechałam. Zamiast tego postanowiłam wybrać się do ciebie - powiedziała Isobel wesoło. - Później możemy go obejrzeć w telewizji, jeśli chcesz. Jaka jest różnica czasu między Pragą a Dublinem?

Zdjęła czapkę i płaszcz, błękitny wełniany komplet, w którym było jej bardzo do twarzy.

- Co masz zamiar dzisiaj robić? - zapytała.

- Nie mam żadnych planów. Nie wybieram się na żadne spotkania w stylu *auld-lang-syne**.

Starzy przyjaciele niech się lepiej odpieprzą - powiedziała Arlene.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała Isobel trochę kokieteryjnie.

- Dla pani robię wyjątek, panno Coole.

- Mogę z tobą zostać? Mogłybyśmy pójść coś zjeść, a potem wrócić tutaj.

- Jasne, Isobel.

* *Auldlangsyne* (irl.)- stare dobre czasy, tradycyjna pieśń o starych przyjaźniach, śpiewana przy różnych okazjach (przyp. tłum.).

- Chciałam spędzić sylwestra z tobą, bo w minionym roku byłaś dla mnie bardzo ważną osobą, no i jesteś świetną kumpelką.

- Doskonale! Nie planowałam niczego, więc...

- Więc...

- Więc chodźmy.

Arlene przeszła samą siebie i załatwiła stół w zarezerwowanej już w całości restauracji La Corsica.

- Mają w menu kupę wegetariańskich dań. I to gówno z tofu.
- Jak ci się układa z Dickiem? Przepraszam, z Richardem? -zapytała Arlene, siorbiąc zupę.
- W porządku.
- Ciągłe dobrze cię traktuje? Isobel zaczęła się śmiać.
- Wyznaczyliście już datę tego wielkiego wydarzenia?
- Nie. Prawnicy Richarda jeszcze nad tym pracują. Są jakieś prawne problemy z tym, żebyśmy pobrali się tutaj.

Arlene naląła wina do kieliszków.

- Jak ci się podoba w Londynie?
- Jest świetnie. Jestem bardzo zajęta. Zaczęłam pisać nową powieść.
- O czym?
- O facecie, który dzwoni, ale się nie przedstawia. O Świrze.
- Zostaw go w spokoju. To mój Świr - powiedziała Arlene dość ostro. - Nie pozwolę ci go porwać i uwięzić w swojej fikcji. On należy do mnie.
- On nie będzie w ogóle podobny to tego Świra. To tylko punkt wyjścia. Stworzę własnego Świra.
- Pewnie byłby pod wrażeniem, gdyby odnalazł się w jednej z twoich powieści, bo jestem pewna, że je czytał. Powiedziałabym, że odrabia prace domowe.
- Dzwonił ostatnio?
- Nie powiem ci.
- Och.
- Nie, odkąd zadzwonił i powiedział, że pieprzysz się z Dickiem. - Arlene powoli zakołysała kieliszkiem.
- On ci to powiedział!
- Tak.
- Skąd o tym wiedział? Byliśmy bardzo dyskretni.
- Więc jak ci się układa z Richardem?
- Już mnie o to pytałaś. Świetnie.
- Przepraszam.
- Jestem w ciąży - powiedziała Isobel i oblała się rumieńcem.
- Co?!
- I jestem taka szczęśliwa.
- Jezu. Szybko wam to poszło.

- Cóż, mam trzydzieści dwa lata, a Richard też nie jest pierwszej młodości. Pomyślałam, że równie dobrze możemy pójść na całość.

- Brak mi słów.

- Jeszcze mu nie powiedziałam. Wczoraj zrobiłam test, to dopiero czwarty albo piąty tydzień. Co to był za rok!

- Dla ciebie, rzeczywiście.

- Zabawne, Arlene, potrzebowałam tego związku z Richardem, żeby móc tworzyć. Żeby zostać obdarowaną dzieckiem. Żeby zamknąć za sobą przeszłość. Potrzebuję dziecka, które mogłabym kochać, Arlene.

A więc sztuka jeszcze trwa. Pojednanie córki z ojcem niepokojąco wcześnie zaowocowało potomstwem.

- Jesteś pewna, że on tego chce, Isobel?

- Tak. Na pewno. Naprawdę chce zostać tatą.

- Ale czym?

Isobel zarumieniła się i spojrzała na Arlene. Wiedziała, że Arlene wie.

- Zastanawiam się, czy mój ojciec mnie teraz widzi?

- Isobel, wiesz, że on gra. Gra rolę.

- Przestań.

- Isobel, wracaj do Irlandii. Możesz mieszkać w małym pokoiku jak długo zechcesz.

- Nie rozumiesz, Arlene. Jestem z nim szczęśliwa.

- Chciałaś ojca, a on postanowił odegrać jego rolę - powiedziała Arlene.

- A czy w tym wszystkim kryje się coś więcej? Chcemy czegoś w naszym życiu i ktoś to dla nas odgrywa. Ty chciałaś przyjaciółki i ja odegrałam tę rolę. Co nie znaczy, że moje zachowanie było fałszywe czy nieszczerze, bo tak jak w przypadku najlepszej gry aktorskiej na scenie, uczucie wyrażone w duchu czystości, ze szlachetnych pobudek, jest najpiękniejszą rzeczą na świecie. Tak samo jest wtedy, gdy odgrywamy nasze role w życiu.

- Och.

- Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że jeśli obsadzę kogoś w najważniejszej sztuce, sztuce mojego życia, i ten ktoś okaże się nieodpowiedni, powinnam go wywalić?

- Tak.

- Cóż, uważam, że Richard jest idealny w sztuce mojego życia i nie mam zamiaru go wywalić.

Arlene nie lubiła słuchać swoich własnych wykładów psychologicznych z ust kogoś innego.

- Poza tym jest napalony jak diabli i to mnie naprawdę kręci - dodała Isobel, uśmiechając się swoim okrutnym uśmiechem. -Żadnego poczucia winy! Z tym już skończyłam! - Zaczęła się śmiać.

Arlene też się roześmiała.

- Wiesz, że kiedy byliśmy małżeństwem, chciałam mieć z nim dziecko, ale on się nie zgodził?

Isobel wybuchnęła nieopanowanym chichotem.

- Popelniłaś błąd, mówiąc mu o tym. Powinnaś była po prostu zajść w ciążę, tak jak ja. Poinformować go o *fait accompli*.

- Znienawidziłam go w końcu.

- Dlaczego?

Arlene zastanawiała się przez chwilę nie nad pytaniem, ale nad tym, jak sformułować odpowiedź.

- Bo tak. I ciągle go nienawidzę.

Isobel przespała się na kanapie. Arlene zbudziła ją następnego ranka filiżanką herbaty.

- Szczęśliwego Nowego Roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego! - zawołała.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - odparła Isobel i spojrzała na zegarek. - Cholera! Już wpół do dziesiątej. O jedenastej mam samolot.

Zerwała się na równe nogi, wypła łyk herbaty i zaczęła biegać po pokoju, zbierając swoje ubrania.

- Przyjadę znowu i wtedy zabiorę swoje rzeczy z małego pokoju - powiedziała, naciągając ubranie na swoją delikatną popielatą bieliznę. Podniosła komputer zapakowany w specjalny neseser.

Arlene odprowadziła ją na schody.

- Pa, Arly. Kocham cię - powiedziała Isobel.

- Pa.

Isobel pochyliła się, żeby ją pocałować. Najpierw pocałowała ją delikatnie w policzek, a potem w usta. Arlene zaskoczył ten dziki pocałunek. Isobel pocałowała ją namiętnie, z całej siły przyciskając usta do jej warg, jakby chciała ją w siebie wessać, wypić jej duszę. Isobel pocałowała ją jak nienasycony kochanek.

Potem odsunęła się od niej i zaczęła zbiegać ze schodów. Na pierwszym podeście odwróciła się, uśmiechnęła i powiedziała bezgłośnie „kocham cię”. I pobiegła na dół.

Arlene wróciła do mieszkania, czując się dziwnie słabo. Spojrzała na zagłębienie w kanapie, ślad po śpiącej Isobel.

To nie w porządku z jej strony, że mnie pocałowała. Bolałoby mniej, gdyby tego nie zrobiła. Czy był to wyraz silnego uczucia? Czy balsam na duszę Arlene, który miał ją ułagodzić, na wypadek, gdyby Isobel kiedyś wróciła? Z Isobel nigdy nic nie wiadomo.

Arlene otworzyła butelkę whisky, włączyła jakąś muzykę i zaczęła pić. Czas płynął.

Początek końca

Zapadał zmrok. Arlene siedziała w swoim biurze, wpatrując się tępo w ścianę. Od czasu do czasu wyciągała rękę po szklankę i pociągała łyk whisky. Od czasu do czasu obgryzała paznokcie, z których i tak już zostało niewiele. Co pewien czas zapalała papierosa, zaciągała się głęboko, jakby od tego zależało jej życie i strzepywała popiół na podłogę. Jej umysł był pusty, zupełnie pusty, czysty jak papier do drukarki. Nie czuła nawet, jak obezwładnia ją whisky. Czuła rozkoszne nic.

Nie była w biurze od tygodnia, więc dookoła piętrzyły się sterty papierów. Kupka listów, których nie otworzyła i te, na które nie odpowiedziała. Kosz na śmieci wyglądający jak rozek z topniejącymi lodami - przynajmniej wtedy, kiedy nie chciało jej się skupić na nim wzroku. Zabawne. Mogłoby się wydawać, że skupienie wzroku na jakimś punkcie dokonuje się instynktownie - wystarczy przestać zwracać uwagę na świat dookoła. Teraz dopiero okazało się, jaki to morderczy wysiłek.

Spędziła w łóżku cały tydzień. Nic nie jadła. O niczym nie myślała. W gruncie rzeczy przez tydzień nie była ludzką istotą. To zdumiewające - uważała się za tak istotny tryb w maszynie życia, a teraz odkryła, że wcale tak nie jest. Była nieobecna, a życie toczyło się dalej, spychając ją w zapomnienie. Nie było żadnych dowodów na to, że życiu choć trochę jej brakowało. Przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że życie ma ją gdzieś.

Pociągnęła nosem. Nie tak, jakby zbierało jej się na płacz, ale tak, jakby poczuła nieprzyjemny zapach. Wstała i przeszła się po pokoju, podchodząc do kosza na śmieci i stolika, aż w końcu uświadomiła sobie, że to ona sama wydziela ów nieprzyjemny zapach. Podniosła rękę i powąchała się pod pachą. Tak, teraz nie miała już żadnych wątpliwości.

Powinna wziąć prysznic. Postanowiła, że wróci do domu i weźmie prysznic. Umyje się. Higiena jest najważniejsza, zaraz po... ech, po czymś tam. Tak, przestanie nurzać się w brudzie i użalać nad sobą. Weźmie się w garść. Weźmie się za swoje życie. Spróbowała zrobić pewną siebie minę, ale nie bardzo jej to wychodziło. Wyglądała jak szeroko uśmiechnięta ofiara losu.

Wstała, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- O kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa - wybełkotała ze śmiechem.

Siedząc na podłodze, dokonała szybkiej oceny sytuacji. Miała trzydzieści sześć lat i zawsze czuła się młodo, aż do tej chwili, kiedy nagle wydało jej się, że jest już bardzo stara. Czuła się jak Oisín, jakby po całym życiu spędzonym w Tír na n-Óg, krainie wiecznej młodości, pierwszy raz postawiła stopę na *terra firma* i proces starzenia, sztucznie wstrzymany, teraz gwałtownie przyspieszył, szalejąc w żyłach, uczując w stawach.

Zadzwoił telefon. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. O, wszechmocne automaty. Nic dziwnego, że połowa tego kraju jest bezrobotna. Arlene wytrzymała słuch.

- Cześć, tu Shannon Mercier, chciałabym rozmawiać z Arlene Morrissey. W Nowym Jorku jest teraz 11 rano, środa, ósmego...

Głos był głuchy i odległy, jak zwykle, gdy dzwoni ktoś z bardzo daleka.

- Tak, cóż, tu Komitet Przyjaźni Amerykańsko-Irlandzkiej z Nowego Jorku. Cześć. Planujemy właśnie festiwal, prawda, festiwal sztuki irlandzkiej, tu, w Nowym Jorku, w marcu i zastanawialiśmy się właśnie, czy nie mogłaby pani dostarczyć nam siedmiu przedstawień *Na księżycu*? Tej sztuki Isobel Coole? Zarezerwowaliśmy teatr od siedemnastego do dwudziestego trzeciego marca. Amerykanie, tacy zorganizowani!

- No, to może pani do mnie oddzwoni? Mój numer to: kierunkowy 212, a potem 78 40533. Dziękuję.

A to dobre. Arlene zaczęła się śmiać na cały głos. Paroksyzmy niepohamowanego śmiechu. Ktoś zażyczył sobie, żeby mu dostarczyła siedem przedstawień *księżycu*. Wcale nie musiała o to zabiegać. Po prostu spadło jej to jak z nieba. Niewiarygodne! Jeszcze jakiś czas temu skakałaby do góry z radości. A teraz? Cóż, teraz miała ochotę na jeszcze jedną whisky. Podniosła się z trudem i nalala sobie kolejną porcję. Stuknęła szklanką o butelkę.

- Twoje zdrowie, przyjaciółko - powiedziała.

- Brzdęk - odparła butelka.

Ale zanim Arlene podniosła szklankę do ust, poczuła obezwładniający ból głowy.

Auuuu! Wpadła w panikę. Migrena nigdy nie atakowała poza domem, z dala od łóżka, gdzie mogła się zaraz położyć. Wprawdzie migrena miała swój własny harmonogram, swój rozkład bólu, zazwyczaj jednak przestrzegała tej jednej prostej zasady.

Serce zaczęło jej bić bardzo szybko. Wzięła torbę i płaszcz i ruszyła schodami w dół. Wyszła na Baggot Street, stanęła na krawężniku i wyciągnęła rękę w stronę jadących ulicą samochodów, żeby zatrzymać taksówkę. Zamknęła oczy. Światła neonów osiągnęły już swą zygzakowaną oślepiającą świetność. Bała się, że jeśli nikt się szybko nie zatrzyma, zemdleje tu, na chodniku.

Opadła na tylne siedzenie taksówki i podała kierowcy kawałek papieru ze swoim adresem. Taksówkarz uznał, że jest pijana, ponieważ kiedy wsiadła, samochód wypełnił silny zapach whisky.

- Kac po świętach! - zachichotał.

- Oeeeś eee - powiedziała, usiłując wyartykułować „odpieprz się”.

Taksówkarz jechał bardzo szybko, wyprzedzając po drodze kogo się dało i w mgnieniu oka zatrzymał się pod domem.

- Tośmy są na miejscu, paniusiu - powiedział. - Dwa funty czterdzieści.

Arlene wyciągnęła z torebki jakiś banknot. Nie wiedziała, jaki to nominał, i miała to gdzieś.

- To za dużo - powiedział taksówkarz. - Masz trochę w czubie, ale nie wezmę tyle za dwa kilometry.

Arlene przez cały czas miała zamknięte oczy. Zignorowała taksówkarza i wysiadła. Odmknęła na chwilę powieki, żeby zobaczyć, w którą stronę ma iść, ale był to beznadziejny wysiłek. Świat przejawiał symptomy styczniowej gorączki - lśniące mokre chodniki, jasno oświetlone domy, nagie drzewa. Kompletny brak perspektywy. Zupełnie nieczytelny układ, enigmatyczna mozaika. Znowu wpadła w panikę. Jak zdoła wejść do domu?

- Nie mogę wziąć dwudziestu funtów za ten kawałek Baggot Street - powiedział taksówkarz, który wysiadł z samochodu i stanął koło niej. - Tylko dlatego, żeś się trochę ubzdryngoliła. To nie byłoby w porządku.

Arlene wysunęła dłoń i zacisnęła palce na rękawie taksówkarza.

- Mii... eeea - powiedziała i wyciągnęła rękę w stronę, gdzie, jak sądziła, znajdowała się jej głowa.

- Migrena? - zapytał. - Więc to cię męczy, skarbie? A ja żem myślał, że masz w czubie. Jedną chwilę.

Zamknął samochód, wziął ją pod ramię i podprowadził pod drzwi wejściowe.

- Moja żona też czasami tego dostaje. Okropna rzecz. Zawsze musi iść się położyć. - Pogrzebał w torebce Arlene, znalazł klucz a potem pomógł jej wejść na górę i do mieszkania.

- Bez urazy, ale przy skłonności do migren lepiej nie pić za dużo. - Weszli do salonu, który przedstawiał przerażający widok. Wszędzie wały się butelki po winie, pudełka po pizzy i kartoniki po chińskim jedzeniu na wynos. Jeden z kotów Cartwrightów zdołał się już wślizgnąć do mieszkania i pożywił się właśnie resztkami krewetek w curry, balansując ryzykownie na gzymsie kominka.

Taksówkarz pomógł Arlene dojść do sypialni i położyć się na łóżku. Zdjął jej buty, rozpiął guzik pod szyją i w talii, i przykrył ją kołdrą.

To okropne, że migrena nawiedziła ją poza domem, gdzie była zupełnie bezbronna. To nie było czyste zagranie. Ciągle nie śmiała otworzyć oczu, bała się tego, co mogła zobaczyć. Taksówkarz sprawiał wrażenie miłego człowieka, ale równie dobrze mógł być seryjnym mordercą.

- Zostawię małe światło w holu i wstąpię później, zobaczyć, czy wszystko w porządku - powiedział, zaciągając zasłony przed wchodzącą do pokoju nocą.

- Uuu... eę - powiedziała, usiłując mu podziękować.

Świr

Arlene nie miała pojęcia, jak długo spała. Bolała ją głowa i bardzo chciało jej się pić. Powlokła się do kuchni, żeby nalać sobie wody. Czuła się znacznie lepiej niż podczas wcześniejszych migren, miała jaśniejszy umysł. Tak, migrena doskonale odkurza mózg. Nie, nie chce wody. Otworzyła lodówkę i znalazła butelkę soku z owocu passiflory*. Bardzo stosownie, pomyślała. Nalała sok do szklanki i wychyliła go duszkiem, z wdzięcznością.

* *Passiflora* (łac.) - męka Pańska (przyp. red.).

Potem przypomniała sobie taksówkarza. Jaki miły człowiek. Co za szczęście, że właśnie on się przy niej zatrzymał. Drobny akt dobroci, pozostawiony bez nagrody. To musiał być duch zesłany przez jej matkę chrzestną, czarodziejkę, albo jej anioł stróż. W zależności od tego, czy się przyjmie judeochrześcijański, czy Andersenowski punkt widzenia. Tak czy inaczej, pojawił się w odpowiednim momencie.

Weszła do salonu i ogarnęła wzrokiem panujący tam chaos. Trzeba będzie tu posprzątać. Wziąć kąpiel. W ramach wstępu do poważniejszych działań wywaliła za drzwi kota i nadała mu kierunek w dół schodów.

Zadzwoił telefon - fortepian. Da - da - da - da, da - da, de -de...

Zaczekała, aż odezwie się automatyczna sekretarka. To na pewno Marcia z kolejną misją czynienia dobra, albo ktoś inny ma zamiar naszpikować ją swoim współczuciem. Automatyczna sekretarka zaszumiała cicho, a potem:

- Piip. Cześć, to znowu twój Życzliwy. Nie widziałem cię przez jakiś czas, a kiedy cię w końcu zobaczyłem, wyglądałaś marnie, więc dzwonię, żeby...

Pod wpływem nagłego impulsu, Arlene chwyciła słuchawkę.

- Zaczekaj. Proszę, nie odkładaj słuchawki - powiedziała. Po drugiej stronie zapadła cisza. - Dzwonisz sobie, kiedy chcesz, zostawiasz wiadomości, ale to nie w porządku, że się rozłączasz,

kiedy podnoszę słuchawkę. Znosiłam te twoje telefony prawie przez rok, więc chyba też mam prawo odkręcić wentyl. W końcu raz ty mógłbyś mnie wysłuchać.

W słuchawce nadal panowała cisza.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś wszystko wiedział, panie Świrze, więc jest szansa, że zrozumiesz, co mówię. Czuję się okropnie - teraz, kiedy już zaczęła, nie mogła przestać. - Przyjechał tu, bo ponoć chciał się upewnić, że u mnie wszystko w porządku. Było w porządku, do cholery, zanim on się nie pojawił na scenie i nie namieszał mi w głowie. A potem pojawiła się ona, nigdy jej nie prosiłam, żeby się do mnie wprowadziła, i wplątała mnie we wszystkie swoje problemy. Stałam się wrakiem człowieka, już nawet nie jestem w stanie wyjść z łóżka.

Umilkła. Po drugiej stronie ciągle było cicho.

- Jasne, możesz powiedzieć: a co cię to obchodzi, już ich nie ma, zabrali się z powrotem tam, skąd przyszli. A ja jestem dokładnie tam, gdzie byłam przed tym całym gównem. I miałbyś rację, do pewnego stopnia, ale ja czuję coś innego. - Znowu urwała i przez chwilę słuchała ciszy, wszechogarniającej ciszy na obojętnej, milczącej linii. Bezcielesnej ciszy wielkiej telekomunikacyjnej przestrzeni. - Teraz się już rozłączę, i nie mam zamiaru dziękować ci za to, że mnie wysłuchałeś, bo ja słuchałam cię od dawna. - Dała mu jeszcze sekundę czy dwie, żeby mógł się odezwać, a potem odłożyła słuchawkę.

Czuła się dość dziwnie. Trochę lepiej i trochę gorzej, na zmianę. Obeszła salon z plastikową reklamówką, zbierając z roztargnieniem śmieci. I znowu zadzwonił telefon. Odebrała natychmiast.

- Tak? - powiedziała.

- Cunningham's, o ósmej - powiedział Świr.

- O wpół do dziesiątej - odparła, zerkając na zegar. Była za kwadrans siódma. Co on sobie wyobraża, ten Świr? To ona dyktuje warunki.

- Wpół do dziesiątej - zgodził się Świr.

- We wnęce - dodała Arlene i odłożyła słuchawkę.

Porzuciła próby posprzątania mieszkania i puściła wodę do wanny, ponieważ doszła do wniosku, że musi się natychmiast doprowadzić do porządku. Kąpiel była cudowna. Pławiąc się w jej luksusie, Arlene zużyła całe mydełko o zapachu moreli. Woniejac jak konfitura owocowa, wyszła z wanny i poszła poszukać czegoś do ubrania. Ponieważ przez ostatnie tygodnie snuła się po domu w pizamie i starych legginsach, w jej szafie wisiało pełno opakowanych w folię rzeczy przyniesionych z pralni chemicznej. Wyciągnęła czarno-biały kostium i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła podniecenie, jakie towarzyszy wychodzeniu na randkę. Nałożyła na twarz grubą makijaż i kiedy w końcu przyjrzała się sobie w lustrze znowu wyglądała normalnie i kosztownie. Ciężki makijaż nadawał jej nieco przerażający wygląd. Dobrze, pomyślała. Idę na spotka-

nie ze Świrem, który wydzwania do kobiet, siedzących samotnie w swoich mieszkaniach. Lepiej, żeby wyglądała trochę przerażająco.

Otworzyła okno w salonie i wystawiła głowę, żeby sprawdzić, jaka jest temperatura. Mróz zelżał i było całkiem znośnie. Dużo przyjemniej, niż przedtem. Bardziej dla ludzi. Pójdzie do pubu pieszo.

Wyszła wcześniej, z półgodzinnym zapasem. Chciała dotrzeć tam pierwsza, żeby widzieć, jak Świr będzie wchodził i dać nogę wyjściem dla personelu, gdyby w drzwiach stanął hrabia Drakula.

Ciągle była słaba; kiedy schodziła po schodach, klucząc między kotami, drżały jej nogi. Drzwi mieszkania Cartwrightów były lekko uchylone. Kiedy je mijała, stanął w nich pan Cartwright.

- Helen nie żyje. Zmarła wczoraj - powiedział.

- Och - powiedziała Arlene.

- Przepraszam, to pani mieszka tu na górze, prawda?

- Tak, to ja.

- Helen nie żyje - powtórzył.

- Strasznie mi przykro.

- Kiedy ją brali do szpitala wiedziałem, że już nie wróci.

- Kiedy poszła do szpitala? - zapytała Arlene.

- W drugi dzień świąt. Powiedzieli, że to tylko drobny zabieg, ale ja wiedziałem, że ona już z tego nie wyjdzie.

- Strasznie mi przykro.

- Pomyślałem, że powinienem pani powiedzieć. Skoro mieszka tu pani na górze, mogłaby się pani zastanawiać, co się z nią stało. - Odwrócił się powoli i wszedł do mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Arlene zadrżała. Coś w jego powolnych ruchach kazało jej pomyśleć, że wkrótce pewnie pójdzie za siostrą.

Ten fatalny początek przygasił jej dobry nastrój, ruszyła dalej w dół schodów, ale już bez zapału. Pierwszy raz któreś z Cartwrightów odezwało się do niej na temat nie związany z pogodą. Ból otwiera ludzi, pomyślała. Nie, żeby pan Cartwright był szczególnie rozmowny, ale jednak.

Szła szybko Baggot Street. Pogoda była przyjemniejsza niż w czasie świąt, ale w powietrzu ciągle czuło się chłód.

W Cunningham siedziało paru stałych bywalców, zbierających się zawsze w czwartkowe wieczory. Arlene pomachała do stojącej za barem Sheili i uśmiechnęła się do niej szeroko. Sheila tylko skinęła głową w odpowiedzi. To nie było w jej stylu.

Arlene podeszła do barku.

- Cześć, Sheila! Dawno tu nie zaglądałam.

- Tak, brakowało nam tu twojej krzywej buźki. Czego się napijesz?

- Tego, co zawsze.

Sheila zrobiła jej drinka. Wydawała się bardziej przygarbiona niż przedtem, jakby przygniało ją brzemień jakiejś kłębki. Arlene rozejrzała się po sali. Kilku znanych jej bywalców, włączając w to Martina Campbella z delikatesów, siedziało przy stolikach. Pomachała do niego, a potem odwróciła się do baru i wspięła na wysoki stołek. Miała jeszcze pół godziny.

- No, co nowego? - spytała Sheila. - Robisz jakieś nowe przedstawienie?

- Na razie nie - odparła Arlene. - Dlatego ostatnio tu nie przychodziłam. Nie byłam w biurze.

- Nagle Arlene zauważyła, że usta Sheili drżą lekko.

- Co się stało? - zapytała.

- Mam straszną wiadomość - wyszeptała Sheila martwym głosem. - Pamiętasz Lindę, moją córkę, tę, co ma szesnaście lat? Ma AIDS.

Arlene patrzyła na nią w osłupieniu.

- Wygląda na to, że od roku była seropozytywna, ale utrzymywała to w tajemnicy przede mną. Teraz wystąpiły już prawie wszystkie objawy, więc musiała mi powiedzieć.

- Boże - powiedziała Arlene.

- Nie ma Boga - odparła Sheila.

- Och, Sheilo... - Arlene łzy napłynęły do oczu.

- Mówię ci, Arlene, wolałabym nigdy nie mieć dzieci. Bo cała radość, jaką mi dają, nie jest w stanie wynagrodzić tego bólu.

Po twarzy Arlene zaczęły płynąć łzy. Nie była w stanie nic powiedzieć.

- Wiesz, ja nie potrafię płakać - powiedziała Sheila - bo żeby płakać, musisz mieć w sobie jeszcze trochę życia, a ja go już nie mam.

- Och, Sheilo - zapłakała Arlene.

- Tak mi przykro, że zepsułam ci wieczór, a pewnie przyszłaś zapomnieć o swoich własnych problemach. Makijaż ci się rozmazał, idź do toalety i umyj twarz.

- Ale, Sheilo...

- No, idź. Doprowadź się do porządku.

Nie wiedząc właściwie dlaczego, Arlene zrobiła to, co powiedziała jej Sheila. W damskiej toalecie było chłodniej niż w barze. Zadrżała. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Makijaż spływał jej po twarzy. Pociągając nosem, wytarła go papierowymi serwetkami. Jej nos lśnił jaskrawą czerwienią. W ogóle w jej wyglądzie było coś dziwnego, ale sama nie wiedziała, co.

Wróciła na salę. Było już dwadzieścia po dziewiątej, postanowiła więc zaszyć się w swoim kącie i zaczekać na tego, z kim była umówiona, ktokolwiek to jest.

- Chodźmy razem na kawę - powiedziała do Sheili.

- Dobrze, przyjdź po południu, wtedy jest prawie pusto.

- Dobra, więc jutro - powiedziała Arlene i poszła do swojego kąta.

Damy z lat dwudziestych wiszące w kącie wydawały się bardziej wyniosłe niż pozostałe, bo nie złagodził ich jeszcze papierosowy dym. Arlene przyniosła ze sobą gazetę, żeby się czymś zająć, ale nie była w stanie czytać. Przewracała tylko strony, aż dotarła do nekrologów. Był tam. Nekrolog Helen Cartwright. Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia, o dziesiątej rano. Smutne, pomyślała Arlene, ale nie tak smutne, jak ta historia z córką Sheili, która ma dopiero szesnaście lat. Zapowiadał się okropny wieczór. Nieszczęścia zawsze chodzą trójkami. Spojrzała na zegarek. Wpół do dziesiątej. Gdzie ten Świr? Podniosła głowę i zobaczyła go, w obramowaniu wejścia do wnęki. Martin Campbell, człowiek z delikatesów.

- Cześć - powiedział nieśmiało.

- Cześć - odparła Arlene ostrożnie, niepewna, czy Martin chce tylko pogadać, czy też istotnie to z nim ma tu rendez-vous.

- Bałem się, że mnie znienawidzisz - powiedział Martin łagodnie. - Za to, że wydzwaniałem do ciebie w taki sposób, ale musiałem jakoś nawiązać z tobą kontakt.

- Martin, ty jesteś tym Świrem? - spytała Arlene. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Musiałem nawiązać z tobą kontakt.

- A nie mogłeś po prostu zagadać do mnie w sklepie, umówić się ze mną na randkę czy coś w tym stylu?

- Wiele razy chciałem się z tobą umówić, zapraszałem cię do kina albo na koncert, ale ty zawsze mówiłaś, że jesteś bardzo zajęta.

- Nie pamiętam, żebyś mnie gdzieś zapraszała.

- Wierz mi, naprawdę cię zapraszałem.

- Nie pamiętam!

- Zaprosiłem cię na koncert Sinead O'Connor w Tivoli, w ubiegłym roku. I na koncert Lyle'a Lovetta parę miesięcy temu.

- Tak, to pamiętam, ale zawsze mówiłeś, że masz wolny bilet, bo klient dał ci wejściówki. Albo że chcesz się zrewanżować, bo ja zawsze przysyłam ci bilety na moje przedstawienia. Do głowy mi nie przyszło, że chciałeś się ze mną umówić.

- Kocham cię, odkąd zobaczyłam cię po raz pierwszy. Sześć lat temu wpadłaś do mnie do sklepu i oznajmiłaś, że „właśnie zamieszkałaś w tej okolicy, więc lepiej, żeby się ta okolica miała na baczności”.

- Och...

- Widzę cię prawie codziennie, jak przechodzisz koło delikatesów. Czasami, oczywiście, wchodzisz do środka.

- A skąd ci przyszło do głowy, żeby do mnie dzwonić?

- Pewnego dnia widziałem, jak płakałaś. Tłumaczyłaś się, że coś ci wpadło do oka. Ale ja widziałem, że jesteś zdenerwowana. Pomyślałem: ta wspaniała kobieta potrzebuje przyjaciela, potrzebuje anioła stróża. Więc postanowiłem nim zostać.

- Tak, chyba sobie przypominam. Naprawdę coś mi wpadło do oka. Rzęsa. Udało mi się ją wyjąć, kiedy dotarłam do domu.

- Mogę usiąść?

- Jasne.

Usiadł i sprawiał wrażenie najszczęśliwszego człowieka na ziemi.

- No, a jak to się stało, że otworzyłeś delikatesy? - spytała Arlene (która postanowiła zmienić temat).

- Cóż, zrobiłem to głównie z powodu wina i sera. Już w bardzo młodym wieku zostałem degustatorem win, potem pracowałem przez pewien czas w fabryce serów, a w końcu moja ciotka Isa, którą kiedyś poznałaś, posunęła się trochę w latach i sprzedała swój wielki dom. Dała mi wtedy trochę pieniędzy, żebym otworzył sobie jakiś własny interes. Doszedłem do wniosku, że takie delikatesy to coś dla mnie. Miałem doświadczenie, znałem się na tym, a w tej części miasta, gdzie mieszkają głównie zamożni ludzie, jest duży popyt na takie rzeczy.

- Jasne.

- Interesują mnie zwłaszcza sery. Mam największy wybór serów na Southside. Właśnie dostałem nowy gatunek gorgonzoli.

- Próbowałam wielu z twoich pyszności, jak wiesz.

- Ser zawsze mnie fascynował. To takie romantyczne. Wiesz, że dawniej mleczarką zostawała zawsze najpiękniejsza dziewczyna w rodzinie? Żeby się wcześniej zaraziła krowianką i nie zachorowała na ospę, która tak szpeci później jej rówieśnice...

Arlene nie rozumiała, czemu fakt, że to Martin okazał się Świrem, tak ją zaskoczył. Był prawdopodobnie najbardziej świrniętym człowiekiem, jakiego знаła. Wszystko pasowało jak ulał.

- ...poza tym jadła dużo tłuszczu z nabiału, co nadawało jej figurze pewnej krągłości, która dawniej bardzo się podobała.

Arlene zamówiła następną kolejkę. Oto prawdziwy zwrot w akcji. Martin był bardzo miły i chciał dobrze. Sześć lat! - pomyślała. Kochał się w niej od sześciu lat!

- Może mogłabyś pójść na chwilę do mnie? - spytał. - Zobaczyć moje mieszkanie?

Zgodziła się i poszła za nim, mijając innych gości i szklane damulki, palące swoje odwieczne papierosy.

Mieszkanie Martina było podobne do tego, które zajmowała Arlene, ale znajdowało się po drugiej stronie kanału. I trochę dalej, za mostem. Było skąpo umeblowane, a nowoczesne sprzęty i elementy instalacji dziwnie kłóciły się z wysokim sufitem i rzeźbionymi gzymsami. Z okna od ulicy widać było Paddy'ego.

- Miło tu - powiedziała Arlene i uśmiechnęła się do Martina, który przyniósł butelkę jednego z jej ulubionych czerwonych win i dwa kieliszki. Potrzebowała tego, w tej chwili naprawdę tego potrzebowała.

- Czciłbym cię na kolanach, gdybyś mi na to pozwoliła - powiedział łagodnie. Arlene wychyliła wino duszkiem, czując się dość dziwnie.

Martin zapalił świece i zgasił światło.

- Chodź - powiedział wyciągając do niej rękę. - Chcę ci coś pokazać.

Ujęła jego dłoń i pozwoliła się zaprowadzić do sypialni. Na ścianach wisiało kilkanaście powiększonych do wielkich rozmiarów fotografii Arlene - siedzącej na ławce obok Paddy'ego, spacerującej nad kanałem. Były też zbliżenia jej twarzy.

Patrzyła w osłupieniu na gigantyczne zdjęcia. Były straszne, przerażające, groteskowe. Na wszystkich sprawiała wrażenie poważnej i smutnej.

- Czy ja naprawdę tak wyglądam?

- Kiedy jesteś sama. Kiedy przychodzisz do sklepu, albo z kimś rozmawiasz, jesteś inna. Bardziej ożywiona, uśmiechnięta. Ale kiedy sądzisz, że nikt na ciebie nie patrzy, twoja twarz jest właśnie taka. A ja pomyślałem sobie, że taka jest bardziej...

- Bardziej jaka?

- Bardziej prawdziwa.

- Chodź - powiedział i zaprowadził ją z powrotem do salonu. Włączył telewizor i włożył do odtwarzacza kasetę wideo. Na ekranie najpierw pojawiły się zygzaki, potem obraz nabrał wyrazistości. To była ona, idąca wzdłuż kanału, jedząca frytki, znowu z wyrazem głębokiego smutku na

twarzy. Kiedy zatrzymała się, żeby pozdrowić jakiegoś znajomego, jej twarz na moment ożyła, ale potem znowu wrócił na nią smutek.

- Wyglądam okropnie - powiedziała Arlene. - Dlaczego nikt mi nigdy nie powiedział, że wyglądam jak upiór?

- Nikt cię takiej nie widzi, poza mną. Nawet ty możesz to zobaczyć tylko dzięki moim narzutom.

- Wyłącz ją - powiedziała Arlene. - Ona jest straszna.

- Ona to ty - odparł Martin. - I potrzebuje miłości. Podszedł do niej i znów zaprowadził ją do sypialni. Tam zaczął pieścić jej ramiona i całować jej szyję. W pierwszej chwili nie poczuła nic, ani odrazy, ani podniecenia. Odwróciła się do niego. Delikatnie zsunął ramiączka sukienki, a jej ciało odpowiedziało na to, zgodnie ze swoją naturą, niezależnie od jej nieczulej woli.

Jestem martwa, pomyślała, kiedy ją pocałował. Odsunął się trochę i uśmiechnął tym swoim szerokim uśmiechem. W odpowiedzi uśmiechnęła się drwiąco.

Jesteś błaznem, pomyślała. A kim w takim razie jestem ja?

- Jesteś najwspanialszą kobietą na ziemi - powiedział, dysząc lekko.

Jestem obłąkana. O to chodzi. Jestem obłąkana. Przynależę tu, powiedziała sobie, do tej siedziby cieni. Wraz ze świrami i zбочeńcami. Ponad ramieniem Martina dostrzegła duże zdjęcie swojej pograżonej w kamiennym smutku twarzy. Widzisz? Oto, do czego się doprowadziłam.

Koniec

Nie zwykłeś widywać mnie tu tak późno - powiedziała Arlene do Paddy'ego. Usiadła na ławce, z frytkami kupionymi w otwartej do późna tureckiej knajpcie. - To, co najbardziej mi się w tobie podoba, Paddy, to że nigdy mnie nie rozczarowałeś - powiedziała. - Jesteś tu zawsze, kiedy tędy przechodzę. Siedzisz sobie i rozmyślasz.

- Mam zimną dupę - odparł Paddy.

- Zawsze ciepło mnie witasz.

- I zimne stopy.

Arlene roześmiała się i usiadła mu na kolanach, gładząc jego sztywne metalowe kończyny. Pochyliła się i pocałowała jego obojętne wargi. Biedny stary Paddy. Nic nie można dla niego zrobić.

- A tak w ogóle, masz coś przeciw temu, że cię całuję?

- Nie - odparł. - To mnie rozgrzewa. I zawsze miło, jak człowiekowi coś skapnie. Szkoda, że nie mogę się ruszyć, bo byśmy się nieźle zabawili.

- Jesteś moim kumplem - powiedziała, obejmując go za szyję obiema rękami i opierając czoło o jego ramię.

- Pracujemy? - rozległ się głos za jej plecami. Drgnęła i spojrzała na mężczyznę, który zadał jej to pytanie. Był w średnim wieku i miał na sobie szary garnitur. Trochę gruby, trochę łysy, trochę zawiany. Nagle zrozumiała, co znaczyło to pytanie. Ta strona kanału przylegała do Wilton Place, gdzie często zbierały się prostytutki.

- Lubię towarzystwo marginesu - powiedział Paddy. - Sprawia, że czuję się kimś lepszym.

- Nie jestem prostytutką - powiedziała Arlene do mężczyzny. - Widział pan kiedy prostytutkę w czarnej sukience? Mamy rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty. Dzielki nie ubierają się już wieczorowo.

- Najmocniej panią przepraszam - powiedział mężczyzna i poszedł poszukać prawdziwej dziewczyny.

Ładne maniery, pomyślała Arlene, zwłaszcza jak na dziwkarza. Znowu usiadła Paddy'emu na kolanach

- Ciekawe, ile teraz biorą za numer?

- Za moich czasów kosztowało to dwa funciaki i jabłko w karmelu - powiedział Paddy.

Arlene odkleiła się od niego i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę domu. Rzuciła kartonik po frytkach na ziemię, i zaraz potem pomyślała sobie, że to okropne, śmiecić nad jej kanałem. Ale wiatr porwał kartonik, a ona nie miała siły za nim gonić.

Wróciła do domu. Biedna Sheila, pomyślała. Biedna, biedna Sheila. Jutro się z nią zobaczę. Będzie musiała dużo znieść. Arlene zdjęła płaszcz, odłożyła torebkę i podeszła do automatycznej sekretarki.

Światelko migało cyfrą 1. Kto to mógł być? Wcisnęła guzik.

- Dzień dobry. Mówi Shannon Mercier, dzwonię z Nowego Jorku, chciałabym zostawić wiadomość dla Arlene Morrissey. Jestem z Komitetu Przyjaźni Amerykańsko-Irlandzkiej. Próbo-
wałam się z panią skontaktować, dzwoniąc pod inny numer, ale na informacji dostałam także ten. Tak, cóż, planujemy tu festiwal...

Boże! Amerykanie. Uparci. Arlene kompletnie o tym zapomniała. Cóż, świetnie. Chcą *Na księżycu*, więc dostaną *Na księżycu*. Za te pieniądze Richard oczywiście nie będzie osiągalny, ale nic nie szkodzi. Jest wielu aktorów, którzy zagrają tę rolę równie dobrze. A nawet lepiej. On i tak nie jest znany w Stanach, nie ma więc sensu go tam ciągnąć. Nabazgrała numer Shannon Mercier

na kawałku papieru. Zadzwońię do niej jutro, pomyślała, i wgramoliła się do łóżka. Nie czuła się ani dobrze, ani źle. Po prostu średnio.



L R